



*Margaret McPhee*



*Sekret damy  
do towarzystwa*

**Intrygi i tajemnice**

# Prolog

*Maj 1815, Londyn*

Za oknami, w nocnych ciemnościach czekał pies.

Na biurku, w gniazdku uwitym z czarnego sznura, spoczywała brylantowa kolia. Lord Evedon wziął ją i zważył w ręce, spoglądając przy tym na stojącą przed nim kobietę. Klejnoty zamigotały w blasku kandelabrow.

- No i co? - odezwał się w końcu lodowatym tonem. - Co pani na to powie, panno Meadowfield?

Rosalind Meadowfield sprawiała wrażenie kompletnie zdezorientowanej. Nagłe wezwanie do gabinetu lorda Evedona obudziło w jej duszy niepokój, który przerodził się w lęk. Godzina była zbyt późna, a oni byli sami. Poza tym lord Evedon był wyraźnie w złym humorze i pewnie nie bez kozery trzymał w ręku zaginioną kolie swojej matki.

- A więc klejnoty lady Evedon odnalazły się - stwierdziła, nie rozumiejąc, co jeszcze miałyby powiedzieć.

- Istotnie, tak - odparł. W jego spokojnym dotąd głosie zadźwięczały gniewne nuty.  
- A wie pani, gdzie się odnalazły?

- Nie wiem - odparła zdumiona.

Evedon zmrużył oczy i na moment odwrócił wzrok.

- Kradzież sama w sobie jest przestępstwem, panno Meadowfield - powiedział zde gustowanym tonem. - Po co te kłamstwa? Niech pani nie pogarsza jeszcze swojej sytuacji.

Rosalind spojrzała na niego, tknięta złym przecuciem. Serce załomotało jej w piersi.

- Przykro mi, ale nic z tego nie rozumiem, milordzie...

- To zaraz pani zrozumie - przerwał jej ze wzburzeniem. - Diamenty znaleziono w pani sypialni, owinięte w pani bieliznę.

- W moją bieliznę? - Ze strachu ścisnęło ją w dołku. - To niemożliwe!

Nie odpowiedział, tylko wciąż patrzył na nią oskarżycielskim wzrokiem. Ta krótka chwila brzemiennej ciszy wystarczyła, by Rosalind zrozumiała, po co została tu wezwana.

- Nie wierzy pan chyba, że mogłabym ukraść kolię lady Evedon? - wykrztusiła słabym głosem. - Nigdy w życiu bym czegoś takiego nie zrobiła. To musi być jakaś straszliwa pomyłka!

- Nie ma żadnej pomyłki. Graves był przy tym, kiedy znaleziono brylanty w pani sypialni. Zamierza pani kwestionować prawdomówność lokaja, służącego w naszym domu od ponad czterdziestu lat?

- Nie, ale nie potrafię też powiedzieć, jak brylanty znalazły się wśród moich ubrań. - Rosalind splotła kurczowo ręce, nagle zlodowaciałe. - Przysięgam, że mówię prawdę.

- A to, co ma oznaczać? - zapytał, podnosząc z biurka sznur, połyskujący jedwabiscie w blasku świec.

Trzymając za jeden koniec, puścił resztę i Rosalind z przerażeniem zobaczyła, że zawiązano na nim pętlę. Z jej ust wyrwał się mimowolny jęk.

- No więc? - Poruszył palcami i pętla zakołysała się lekko.

- Nigdy w życiu nie widziałam tego sznura. Nie wiem, skąd się tu wziął. - Serce waliło jej jak młotem.

W jednej chwili cała przeszłość stanęła jej przed oczami; wszystko, co z takim trudem starała się ukryć.

Evedon prychnął z niedowierzaniem.

- Ostrzegałem matkę, żeby nie przyjmowała dziewczyny bez żadnych referencji, ale lady Evedon to zbyt dobra i ufna istota. Co jeszcze ukradła jej pani przez te wszystkie lata, będąc jej damą do towarzystwa? Różne drobiazgi, których braku nikt nie zauważył? A teraz, kiedy wiek nadwątlił umysł mojej czcigodnej matki, rozzuchwaliła się pani i postanowiła to wykorzystać?

- Kategorycznie zaprzeczam! Ja...

- Panno Meadowfield, nie chcę tego słuchać. - Evedon nie pozwolił jej dokończyć.

- Wyszło szydło z worka: jest pani kłamczuchą i złodziejką!

Rosalind zrobiła się purpurowa i jeszcze mocniej splotła ręce, aby ukryć ich drżenie.

- Brylanty się znalazły, dzięki Bogu - ciągnął dalej - ale jeśli chodzi o szmaragdy, mieliśmy mniej szczęścia. Może więc ma pani w sobie choć tyle przyzwoitości, żeby się przyznać, gdzie je pani ukryła?

Patrzyła na niego w osłupieniu, zbyt wstrząśnięta, aby zebrać myśli.

- Mówiłam już, że ich nie mam...

- Więc już je pani sprzedała? - Jedwabny sznur prześlizgnął się pomiędzy rozpostartymi palcami i spadł na biurko. Rzeźbione nogi fotela zazgrzytały na wyfroterowanej posadzce. Evedon schował kolię do kieszeni i wstał zza biurka.

- Oczywiście, że nie! - Cofnęła się instynktownie, tylko o krok, ale to wystarczyło, aby powiększyć dzielący ich dystans. - Nie wzięłam niczego, co należy do lady Evedon.

- Wątpię, by miała pani dosyć czasu na pozbycie się szmaragdów. A ponieważ z całą pewnością nie ma ich w pani pokoju, to gdzie je pani ukryła? - Obszedł biurko i stanął przed nią, patrząc na nią z góry.

- Nie jestem złodziejką - wyszeptała, bo zaschło jej w gardle. - Zaszło jakieś straszliwe nieporozumienie.

Evedon był jednak niewzruszony

- Niech pani opróżni kieszenie, panno Meadowfield.

Wytrzeszczyła oczy, serce tłukło jej się jak oszalałe.

To nie mogła być prawda, to jakiś koszmar!

- Powiedziałem, proszę opróżnić kieszenie - powtórzył, akcentując wyraźnie każde słowo, jakby zwracał się do półgłówka.

Ręce jej się trzęsły i policzki pałały, kiedy wyjmowała chusteczkę do nosa, a potem wywróciła kieszeń na drugą stronę, na dowód, że jest pusta.

- A inne?

- Nie mam innych kieszeni.

- Nie wierzę, panno Meadowfield. - Polana trzasnęła w kominku.

Evedon stał przez chwilę w milczeniu, a potem nagle chwycił ją za ramię i przyciągnął bliżej, aby obmacać jej stanik i spódnicę.

- Lordzie Evedon! - zaprotestowała i spróbowała się wyrwać, ale on ścisnął ją jeszcze mocniej.

- Tak łatwo nie zrezygnuję. Chcę wiedzieć, gdzie je schowałaś.

- Ależ ja ich nie wzięłam! - wykrzyknęła, szamocząc się rozpaczliwie.

Pies nadal szczekał na dworze. W domu, jakby do wtóru, rozległy się kobiece krzyki. To stara lady Evedon krzyczała na piętrze.

Rosalind przestała się szarpać, mimo to lord Evedon wciąż ją trzymał.

- Niech mnie pani nie próbuje wystrychnąć na dudka, panno Meadowfield, bo to się pani nie uda. Jeżeli teraz mi pani nie powie, gdzie są szmaragdy, może będzie pani bardziej skłonna do zeznań rano, kiedy przyjdzie tu konstabl.

W domu tymczasem zrobił się ruch. Zza drzwi słychać było podniesione głosy i tupot zbliżających się kroków.

Rosalind poczuła, że uścisk Evedona osłabł na chwilę, i wreszcie zdołała się wyrwać. Poleciała jednak na biurko z takim impetem, że chcąc utrzymać równowagę, uchwyciła się stosu książek i wylądowała wraz z nimi na podłodze. W palcach ścisnęła list, który wysunął się spomiędzy pożółkłych stronnic.

Lord Evedon zbladł, na jego twarzy odmalowało się przerażenie. A potem gwałtownym ruchem wyrwał jej list z ręki.

W tej chwili ktoś głośno zapukał do drzwi.

- Milordzie! - rozległ się głos lokaja Gravesa.

Evedon szybko wsunął list do kieszeni. Na czole załśniły mu kropelki potu.

- Ogarnij się trochę! - syknął do wstającej Rosalind, która dopiero teraz uświadomiła sobie, że w trakcie szamotaniny rozsypała jej się fryzura, więc znów przykucnęła i zaczęła szukać na podłodze spinek do włosów.

- Milordzie! - powtórzył Graves. - To bardzo pilne.

Lord Evedon błyskawicznie wygładził surduta i kamizelkę, po czym zwrócił się do Rosalind:

- Wstawaj! - Szarpnął ją boleśnie za ramię, nadpruwając rękaw sukni. - I ani słowa o tym mojej matce! Rozumiemy się?

Począł, aż kiwnie głową, i dopiero wtedy pozwolił Gravesowi wejść.

- Najmocniej przepraszam, milordzie, ale chodzi o lady Evedon.

- Znowu ma atak?

Graves zakasłał dyskretnie.

- Obawiam się, że tak. Domaga się przy tym panny Meadowfield. - Mówiąc to, nawet nie spojrzał na Rosalind, lecz ona nie potrafiła zapomnieć, że był przy tym, kiedy znaleziono w jej pokoju klejnoty lady Evedon. Przeszukiwał zatem jej rzeczy, włącznie z bielizną, i uważał ją za złodziejkę. Na myśl o tym poczerwieniała z gniewu i upokorzenia.

- W porządku. - Evedon znów odwrócił się do Rosalind. - Niech pani idzie dotrzymać towarzystwa mojej matce, a do tej drugiej sprawy wrócimy rano.

Skinęła głową, świadoma, że zgromadzona za drzwiami służba zobaczy jej potargane włosy i rozpalone policzki, i uzna to za przyznanie się do winy. Gdy wyszła na korytarz, powitały ją potępiające spojrzenia. Chciała zaprzeczyć oskarżeniom, wytłumaczyć, że jest równie zaskoczona jak oni, ale wszyscy odwrócili się od niej. Nie pozostało jej nic innego, jak tylko pójść na górę za Gravesem. Na karku czuła złowieszczy oddech Evedona.

Kiedy doszli do jej pokoju, lady Evedon już nie krzyczała. Leżała na łożu z baldachimem, wyczerpana. Była drobna i krucha, a jej twarz była nienaturalnie blada.

- Widziałam go. Był tam - zawołała lady Evedon, wskazując na okno.

- Ale kto? - Rosalind popatrzyła w ślad za jej przerażonym spojrzeniem.

- Ten, który mnie ciągle prześladowuje. Nawet na moment nie chce mnie zostawić w spokoju - wyszeptała starszka. - To nie był żaden dżentelmen. On kłamał... Robert oszukał mnie, a ja mu uwierzyłam.

- Ależ mam - odezwał się lord Evedon - tu nie ma nikogo oprócz ciebie, mnie i panny Meadowfield.

- Jesteś tego pewny?

- Absolutnie pewny. To tylko jeden z tych twoich koszmarów. - Z zatroskaną miną nakrył dłonią jej drobną dłoń. - Zaraz pošlę po doktora Spentwortha.

- Nie, nie ma potrzeby. - Lady Evedon pokręciła głową. - Masz rację, to był zły sen, nic więcej.

- Wobec tego wezwiemy go rano, żeby się upewnić, że wszystko jest w porządku.  
- Doskonale rozumiem, co masz na myśli, Charlesie. Uważasz, że tracę rozum!  
- Ależ ja niczego takiego nie sugeruję, mamó. Martwię się tylko o twoje zdrowie.  
- Oczywiście, że tak. - Lady Evedon pokiwała głową, bez większego przekonania. - Jestem po prostu zmęczona, a ten pies obudził mnie swoim wściekłym ujadaniem - powiedziała, całkiem już przytomnie. - Możesz nas spokojnie zostawić. Panna Meadowfield poczyta mi, dopóki nie zasnę. Jej głos koi moje stargane nerwy. - Z nikłym uśmiechem odwróciła się do Rosalind. - Wydajesz mi się blada, moja droga. Źle się czujesz?

- Ja... - zaczęła Rosalind, ale ciężki wzrok lorda Evedona sprawił, że zamknęła usta.

Miał rację, pomyślała z trwogą. Nie mogła powiedzieć lady, będącej w tym stanie ducha, o fałszywych oskarżeniach i całej reszcie.

- Nie, wszystko w porządku, milady.

- Oto twoja lektura. - Evedon wziął książkę z nocnego stolika i wręczył ją matce.

Lady Evedon uśmiechnęła się.

- Dziękuję ci, mój kochany.

- Zostawię Stevensa za drzwiami, żeby mieć pewność, że jesteście bezpieczne. - Evedon rzucił Rosalind ostrzegawcze spojrzenie.

- Będę rada, wiedząc, że jesteśmy pod tak dobrą opieką - powiedziała lady Evedon.

- Dobranoc, mamó... panno Meadowfield. - Lord Evedon skłonił się i wyszedł.

- Proszę, panno Meadowfield. - Staruszka podała Rosalind tomik wierszy Wordswortha\*.

- Milady. - Rosalind lekko drżały ręce, gdy otwierała książkę w skórzanej oprawie.

\* William Wordsworth (1770-1850) angielski poeta uważany za prekursora romantyzmu w literaturze angielskiej (przyp. tłum.).

Zacząła czytać spokojnym, pogodnym tonem i skończyła dopiero wtedy, gdy staruszka usnęła. Pozostała jednak przy jej łóżku, słuchając jej cichego pochrapywania. Myśli kłębiły jej się w głowie, a ręce, choć zdrętwiałe z zimna, były wilgotne od potu. Z

chwila przyjscia konstabla odkrycie prawdy, ze zadna Rosalind Meadowfield nie istnieje, bedzie juz tylko kwestia czasu. Kradziez wartosciowych przedmiotow, nalezacych do pracodawcy, uchodzila za ciiezkie przestepstwo, nie bedzie wiec mogla liczyc na lagodny wyrok, zwlaszcza kiedy odkryja jej prawdziwe nazwisko. Czeka ja wiezienie. Deportacja. A moze nawet szubienica! Na mysl o tym zacisnela pieści tak mocno, ze paznokcie wbiły jej się w ciało.

Przypomniała sobie gniew lorda Evedona, jego brutalną rewizję i bolesny uścisk. To oczywiste, że miał o niej jak najgorsze zdanie. Uważał, że zawiodła zaufanie jego matki, latami okradała ją, a teraz nie chce oddać szmaragdów. Oskarżenie to zabolalo ją podwójnie, bo nie tylko była niewinna, ale i szczerze przywiązana do lady Evedon. Zdążyła przy tym poznać Charlesa Evedona na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie puści płazem żadnej zdrady. Dyskretne zwolnienie ze służby nie było w jego stylu. Już jej powiedział, że zamierza wezwać konstabla. Dopilnuje, by sprawiedliwości stało się zadość. Chce ją posłać za kraty, lecz kiedy prawda wyjdzie na jaw, czeka ją szubienica. Co za przerażającą perspektywa!

Rosalind zacisnęła kurczowo powieki. Wciąż miała przed oczyma jedwabną pętlę, dyndającą nad biurkiem lorda Evedona. Czyżby ktoś poznał już jej tajemnicę? A może to tylko ostrzeżenie, że taki los spotyka złodziei?

Gdy odkładała książkę na leżący na stoliku nocnym najnowszy numer *Timesa*, jej wzrok padł na drobne ogłoszenie w prawym górnym rogu. Czytała je już wcześniej. Och, jak bardzo chciałaby być teraz w Szkocji, na wrzosowiskach, z dala od lorda Evedona i narastającego wokół niej chaosu. Niestety, to tylko pobożne życzenie...

Wstała i skierowała się ku drzwiom, by wrócić do swojego skromnego pokoiku, którego prywatność tak brutalnie pogwałcono. Na myśl o tym, że służba wraz z Gravesem przeszukiwała jej osobiste rzeczy, włącznie z bielizną, poczuła się głęboko upokorzona.

Na dywanie pod drzwiami leżał jakiś papier. Kremowy i lekko pognieciony, odciął się wyraźnie od purpurowo-błękitnego desenia. Od razu się domyśliła, że to list, który znalazła wśród książek i który wyrwano jej z taką furją. Musiał wypaść Evedonowi z kieszeni.



Gdy go podnosiła, sztywny papier zaszeleścił. Jej palce namacały rozłamana woskową pieczęć. List był zaadresowany dużym, zamaszystym pismem do hrabiego Evedona w Evedon House, na Cavendish Square w Londynie. W normalnych okolicznościach Rosalind nigdy by nie przyszło do głowy, aby czytać cudzą korespondencję, jednak tego wieczoru nic nie było normalne. Otworzyła list i zaczęła go czytać w nikłym blasku dogasających świec.

Lady Evedon wciąż cicho pochrapywała, lecz Rosalind już tego nie słyszała. Przeczytała list raz, potem drugi, i wtedy zrozumiała, co było powodem gniewu lorda Evedona, nie mówiąc już o strachu. Te kilka zdań, o których świat miał się nigdy nie dowiedzieć. Garść słów, które mogły go pogrzyść tak, jak on mógł pogrzyść ją.

Składając kartkę, wiedziała już, że klamka zapadła. Nie mogła po prostu odłożyć listu na podłogę i udawać, że go nie zauważyła, bo jeśli go później znajdą, lord Evedon domysli się, że go czytała. Nie chciała także ryzykować, że ktoś jeszcze pozna jego treść, gdyż w grę wchodziło dobre imię lady Evedon.

Nagle zaświtała jej myśl, że gdyby Evedon wiedział, że ona ma ten list, nie wezwałby konstabla. Ani nikogo. Nie mógł przecież dopuścić do ujawnienia kompromitującej prawdy. Stąd ten wyraz desperacji na jego twarzy.

Spojrzała raz jeszcze na gazetę na stoliku nocnym. Po krótkim namyśle wiedziała już, co robić. Oddarła kawałek pierwszej strony, złożyła go w mały kwadrat i schowała do kieszeni, a potem włożyła tam również list.

Na koniec rzuciła jeszcze okiem na lady Evedon. Staruszka spała spokojnie, chociaż na chwilę wolna od prześladowających ją demonów. Rosalind omiotła wzrokiem pokój, po czym podeszła cicho do drzwi.

Stevens odprowadził ją do jej pokoiku na tyłach domu. Przez całą drogę nie odezwał się do niej ani słowem, a ona była nawet z tego zadowolona.

Nie wiedziała, czy przykazano mu pilnować jej z obawy, aby nie umknęła sprawiedliwości, przed której obliczem chciał ją postawić Evedon. Zresztą mogą sobie trzymać straż pod jej drzwiami przez całą noc, to i tak bez znaczenia, skoro okno jej pokoju wychodzi wprost na dach kuchennej przybudówki. Nagle spłynął na nią dziwny spokój. A jednak gdy pakowała swój skromny dobytek i zarzucała na ramiona pelerynę, ręce

wciąż jej się trzęsły. Ostrożnie podsunęła do góry dolne skrzydło okna, starając się nie robić przy tym hałasu, po czym wciągnęła w płuca spory haust chłodnego, wilgotnego powietrza, a wraz z nim obietnicę wolności.

Nawet nie rzuciła pożegnalnego spojrzenia na swój pokoik z wąskim łóżkiem i pustym kominkiem, lecz wbiła wzrok w ciemne niebo, po którym wędrował księżyc. Jeszcze jeden głęboki oddech - i wysunęła się przez otwarte okno, zeskoczyła na dach przybudówki, a z niego na podwórze wybrukowane kocimi łbami.

Żółte światło ulicznych latarni rozpraszało mrok. Rosalind zerknęła nerwowo na Evedon House. Pies przestał wreszcie szczekać i nic już nie mąciło nocnej ciszy. Była jedyną żywą istotą na wymarłych ulicach.

Nie ścigały jej żadne kroki, nie czuła na plecach niczyjego oddechu, a mimo to nie mogła pozbyć się uczucia, że Evedon idzie za nią, że jest śledzona.

Nie oglądając się już więcej za siebie, puściła się biegiem przez miasto.

W sąsiednim zaułku jakiś mężczyzna w czerni czekał, aż biegnąca kobieta go minie, po czym wyszedł ze swojej kryjówki i patrzył w ślad za nią, dopóki nie zniknęła mu z oczu. Dopiero wtedy odwrócił się i ruszył w przeciwnym kierunku, mijając te same latarnie, obok których przed chwilą przebiegała. Ich światło wydobyło z mroku jego złoty kolczyk, a potem równe, białe zęby, kiedy się uśmiechnął.

- Możesz sobie biec, ile sił w nogach, moja droga Rosalind Meadowfield - wyszeptał - ale i tak nie umkniesz przed skandalem. Sprawiedliwości stanie się zadość. - Przesunął kapelusz na bakier i pogwizdując, skręcił za róg ulicy, gdzie czekał na niego czarny powóz. Wskoczył do środka, pojazd ruszył. Już po chwili wtopili się w ciemność spowijającą uśpioną metropolię.

# Rozdział pierwszy

*Munnoch Moor, Szkocja,  
dwa tygodnie później*

Noc była zimna i ciemna, słychać było wycie wiatru. Jakiś człowiek, ukryty wśród drzew, obserwował podwórze pobliskiego zajazdu. Całą jego uwagę pochłaniał dyliżans pocztowy, który właśnie się zatrzymał. Kiedy podsunięto schodki i otworzono drzwi, wyteżył wzrok, jak myśliwy wypatrujący zwierzyny, a gdy ze środka wyłoniła się samotna kobieta, uśmiechnął się. Wiedział już, że dopadł swoją ofiarę.

Dyliżans odjechał z turkotem w nocną ciemność, zostawiając Rosalind na podwórzu zajazdu w Blairadie. Była sama, jeśli nie liczyć chłopaka, który wyszedł na chwilę po worek z pocztą, po czym zniknął w głębi domu. Latarnie kołysały się na wietrze, ich roztańczone światło wydobywało z mroku szare mury. Godzina była tak późna, że z zajazdu nie dobiegały już żadne odgłosy, a w oknach nie paliły się światła. Gdzieś w oddali, na kościelnej wieży, zegar wybił północ.

Rosalind rozglądała się niepewnie. Z rosnącym niepokojem wypatrywała człowieka, który miał ją zawieźć do nowego pracodawcy. Nie wiedziała, co robić, czy nadal czekać na dworze, czy może raczej wejść do środka.

- Panna Meadowfield? - Głos, który nagle rozległ się za jej plecami, należał do mężczyzny, ale jego akcent nie przypominał tego, który słyszała przez ostatnie dni w Edynburgu. Tak mówią ludzie w Yorkshire, pomyślała.

Odwróciła się, lekko przestraszona.

Przy wejściu na podwórze stał wysoki mężczyzna w długim ciemnym płaszczu. Twarz miał ukrytą pod szerokim rondem kapelusza. W całej jego postaci było coś tak mrocznego i złowieszczonego, że mimowolnie zadrżała i oddech uwiązał jej w gardle. Czyżby jej trudy poszły na marne i Evedon dopadł ją mimo wszystko? Rozsądek wziął jednak górę i wytłumaczyła sobie, że to ktoś, kto miał ją odebrać sprzed zajazdu.

- Jest pan z Benmore House? Od pana Stewarta? - zapytała.

Nieznajomy skinął głową.

- Tak. Przyjechałem po nową gospodynię.

- Och, to dobrze. - A więc była już prawie na miejscu.

Już tylko kilka mil dzieli ją od nowego życia, jakie miała zacząć pod dachem pana Stewarta, prowadząc mu dom w Munnoch Moor, na szkockich wrzosowiskach - z dala od Londynu i lorda Evedona.

- Pani pozwoli? - Wysłaniec wziął z jej rąk torbę podróżną.

- Dziękuję.

- Musimy już jechać - powiedział.

- Oczywiście - przytaknęła, ruszając za nim.

Gdy wyszli na drogę, w blasku księżyca zobaczyła jednokonny wózek, ledwie widoczny na tle czarnego lasu. Trzeba przyznać, że trochę ją to zdziwiło, gdyż spodziewała się raczej bryczki.

Mężczyzna, który po nią przyjechał, był wysoki i długonogi, i stawiał długie kroki. Chcąc za nim nadążyć, musiała solidnie przyspieszyć.

Wrzucił jej torbę na wózek, po czym wsiadł i wyciągnął rękę.

Miał księżyc za plecami, więc jego twarz tonęła w głębokim cieniu. Rosalind zawahała się; ogarnęły ją złe przeczucia. Nocne niebo wyglądało jak czarny aksamit obsypany skrzącymi się diamentami. Wyboisty wiejski gościniec zalewała opalizująca poświata.

- Panno Meadowfield! - Mężczyzna ponaglił ją ostrym tonem.

Na moment zawładnęła nią paniczna chęć ucieczki. Przemogła się jednak i powiedziała sobie, że to głupota. To przez te wydarzenia w Evedon House stała się zbyt lękliwa i podejrzliwa. Tutaj może czuć się bezpieczna, bo od Londynu i lorda Evedona dzieli ją prawie pięćset mil. Popatrzyła na silną męską dłoń o długich palcach i bez wahania podała mu swoją.

Uścisk jego ręki był mocny i gorący, czuła to nawet przez skórkowe rękawiczki. Znowu przebiegł ją ten dziwny dreszcz, ale już się nad tym nie zastanawiała, bo wysłaniec pana Stewarta pociągnął ją do góry i posadził obok siebie na drewnianej ławeczce. Szarpnął za lejce i wóz raptownie ruszył z miejsca, a ona bezwiednie uchwyciła się krawędzi deski.

Odnosiła wrażenie, że mężczyzna obserwuje ją kątem oka i lekko zażenowana, oblała się rumieńcem. Wychylona do przodu, widziała parę buchającą z nozdrzy konia i wdychała jego ostry zapach. Odetchnęła głębiej raz i drugi, i przestała tak kurczowo ścisnąć brzeg ławeczki.

- Zimna noc, jak na tę porę roku - powiedziała, byle coś powiedzieć, i spróbowała usiąść nieco wygodniej.

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko pociągnął za lejce i cmoknął. Zaraz potem zjechali na skraj gościńca. Kiedy skręcali w boczną drogę, księżyc oświetlił jego twarz i Rosalind zobaczyła go po raz pierwszy. Był młodszy, niż myślała. Nie mógł być od niej wiele starszy, a ona liczyła sobie dwadzieścia pięć lat.

Musiała przyznać, że był całkiem przystojny: miał pociągłą twarz o męskich, zdecydowanych rysach, wydatne kości policzkowe, pięknie wyrzeźbiony podbródek, prosty nos i zdecydowane usta, na których rzadko gościł uśmiech. Najbardziej uderzające były jednak jego oczy, które w zimnym świetle księżycy lśniły jak srebro, przesywając ją lekko drwiącym spojrzeniem niby dwa lodowate sztylety.

Wstrząśnięta, odwróciła wzrok, a kiedy ponownie na niego spojrzała, jego twarz znowu tonęła w cieniu. Może więc się myliła? A może on wiedział, że okłamała pana Stewarta i przyjechała z Evedon House? Może nawet znał jej prawdziwą tożsamość? Nie, to niemożliwe, skoro minęło dwadzieścia lat, odkąd powieszono jej ojca. A co do reszty - Evedona i jego oskarżeń - była przecież bardzo ostrożna. W liście wysłanym od Louisy z Edynburga podała nieprawdziwe referencje i ani słowem nie wspomniała o jakichkolwiek powiązaniach z rodziną Evedonów.

Może zatem ten człowiek był jedynie zirytowany, bo wyciągnięto go z łóżka w środku nocy i kazano mu ją przywieźć? Tak, z pewnością chodzi tylko o to. Oby jak najszybciej dotarli do Benmore House, bo tam już nic jej nie grozi. Czemu miałyby w to nie wierzyć?

W nocnej ciszy słychać było jedynie stukot kopyt na stwardniałej drodze. Rosalind oderwała wzrok od konia i spojrzała na woźnicę.

- Ma pan nade mną tę przewagę, że zna pan moje nazwisko - odezwała się, aby przerwać krępujące milczenie.

Długo nie odpowiadała, w końcu rzucił:

- Wolversley, ale nazywają mnie Wolf\*. - Jego srebrne oczy przeszyły ją na wylot.

\* *Wolf (ang.)*- wilk (przyp. tłum.).

Poczuła, że pokrywa się gęsią skórką. Mocniej uchwyciła się deski, bo koń znów przyspieszył.

- Jedziemy za szybko? - spytał mężczyzna.

W jego tonie wychwyciła drwiące nuty. A może tak jej się tylko zdawało, bo miała nieczyste sumienie?

- Nie, w sam raz. - Była zdecydowana nie okazywać strachu. To już jej kolejny sekret. - Mógłby mi pan coś powiedzieć o Benmore House?

- Lepiej poczekajmy, aż pani sama zobaczy - odparł, a po chwili dorzucił: - Może za to pani powiedziałyby mi coś więcej na temat nowej gospodyni? Byliśmy bardzo ciekawi tej panny Meadowfield.

Rosalind nie miała szczególnej ochoty odpowiadać na to pytanie, wiedziała jednak, że w nowym miejscu pracy będzie musiała to robić od czasu do czasu, czemu więc nie zacząć już teraz?

- Niewiele jest do powiedzenia, panie Wolversley.

- Wolf - poprawił ją szorstko, a jej znowu dreszcz przebiegł po plecach. - Gdzie pani przedtem pracowała? Pan Stewart mówił, że w Edynburgu.

- Tak, istotnie, byłam gospodynią w pewnym edynburskim domu.

- Może u kogoś, o kim mogliśmy słyszeć?

- Nie, nie mogliście o nich słyszeć - odparła pospiesznie, zdecydowana nie wciągać w to swojej szkolnej przyjaciółki oraz jej rodziny.

Louisa, która знаła prawdę o jej ojcu, okazała się przecież tak dobra, że przyjęła ją pod swój dach po jej ucieczce z Londynu. I to był jej pomysł, aby w odpowiedzi na ogłoszenie z gazety napisać, że Rosalind przepracowała u niej ostatni rok, i wystawić jej

pierwszorzędne referencje. Mimo to Rosalind nie powiedziała jej całej prawdy, lecz tylko tyle, że na skutek przykrego nieporozumienia zmuszona jest szukać płatnej posady.

- A gdzie konkretnie pani pracowała, jeśli wolno zapytać? - nie ustępował.

Serce zabiło jej szybciej.

- Och... w Ainslie Place - odparła z wymuszonym uśmiechem. - To taki mały dom.

- W Ainslie Place? - Wolf zwrócił głowę w jej stronę i znów uderzyła ją jego męska uroda. A także zimny, cyniczny błysk w jego oczach. - To ciekawe...

Nagle przyszło jej na myśl, że ten Wolf może się okazać bardzo niebezpieczny, choć nie potrafiła powiedzieć, w jaki sposób miałby jej zagrażać.

- Cieszę się, że pan tak uważa - powiedziała uprzejmym tonem, rozpaczliwie szukając w myślach jakiegoś bezpieczniejszego tematu.

- A dlaczego pani odeszła?

- Przeczytałam ogłoszenie pana Stewarta w *Timesie* i pomyślałam sobie, że to jest dokładnie to, o co mi chodzi. - To przynajmniej było prawdą.

- Nie podobało się pani tamto miejsce?

- Ależ bardzo mi się podobało, ale byłam już zmęczona życiem w mieście. Dlatego propozycja posady w tak sielskiej okolicy wydała mi się bardzo atrakcyjna. - Ta właśnie izolacja i odległość od Londynu, a także samotniczy charakter pana Stewarta, do czego się szczerze przyznawał, sprawiły, że uznała Benmore za miejsce wręcz idealne. Nie tylko mogła się tam bezpiecznie ukryć, ale i zarobić na życie. - A pan powie mi coś o sobie? - zapytała, chcąc odwrócić jego uwagę od swojej osoby. - Ma pan nietutejszy akcent.

- Pochodzę z Yorkshire - mruknął.

- Od dawna jest pan w Benmore House?

- Od dawna. - Znów to samo budzące dreszcz, twarde spojrzenie.

Jestem przewrażliwiona, pomyślała. Ale to pewnie dlatego, że jestem już bardzo zmęczona.

- Przyjechała pani prosto z Edynburga?

Gdy skinęła głową, nic nie powiedział, a ona nie próbowała już podejmować rozmowy z człowiekiem, który wolał zadawać pytania, niż na nie odpowiadać. Lepsza już

niewygodna cisza niż niewygodne pytania. Pomyślała, że może wcale nie pójdzie jej tak łatwo, jak sądziła. Może już w pierwszym tygodniu wpadnie we własne sidła? Znużona, westchnęła i zamknęła oczy. Było już tak późno. Niechby wreszcie dotarli do Benmore House.

Wóz tymczasem skręcił z głównego traktu i tak długo kołował w mroku, że Rosalind kompletnie straciła orientację. Zaczęła się nawet obawiać, że nigdy nie dotrą na miejsce. Pan Stewart pisał w swoim ogłoszeniu, że Benmore House to wiejska rezydencja na wrzosowiskach, oddalona zaledwie o kilka mil od zajazdu w Blairradie. Może to kwestia nerwów i przemęczenia, ale tych parę mil zdawało się wlec bez końca.

Jechali teraz drogą wiodącą przez las i na jej końcu, na czarnym tle, Rosalind zobaczyła jaśniejszą smugę dymu.

Odetchnęła z ulgą. Benmore House, pomyślała. Już niedługo zaczniesz nowe życie! Ogarnęło ją podniecenie.

Nagle skręcili i jej oczom ukazała się niewielka polanka z domkiem myśliwskim i przylegającą do niego stajnią, w której stały dwa konie. To miała być ta rezydencja, zatrudniająca dwadzieścia osób służby?!

- Przecież to nie jest Benmore House! - wyjąkała zaskoczona.

- Nie jest - potwierdził.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Zaraz pani zrozumie - odparł z lekko drwiącym uśmiechem.

Prawda była jak cios obuchem. Rosalind poderwała się, gotowa zeskoczyć na ziemię, lecz męskie stalowe ramię objęło ją w pasie i pociągnęło do tyłu.

- Niech pani nie próbuje uciekać, panno Meadowfield, bo i tak panią dogonię i spuszczę pani baty! Rozumiemy się?

Milczała, niezdolna wykrztusić słowa. Serce waliło jej, jakby chciało wyrwać się z piersi.

- Nie słyszę odpowiedzi - W spokojnym tonie mężczyzny wychwyciła złowieszczą nutę.

Przełknęła ślinę i skinęła głową bez słowa.

- Jak to dobrze, że się zrozumieliśmy - skwitował.



## Rozdział drugi

Drzwi otworzyły się, skrzypiąc, i z chaty wyszło dwóch mężczyzn.

- O, widzę, że już jesteś z powrotem - odezwał się ten wyższy. Mówił z twardym, szkockim akcentem.

Rosalind przeniosła wzrok na stojącego za nim niższego mężczyznę i serce jej zamarło. To był Pete Kempster, jeden z lokajów lorda Evedona. Teraz nie miała już wątpliwości, że porwano ją na zlecenie.

Wolf wysadził ją z wózka i przekazał pod opiekę wyższego mężczyzny, który chwycił ją mocno za łokieć i pociągnął w stronę chaty.

Zdesperowana, zaczęła się wyrywać, ale on złapał ją za obie ręce.

- To dopiero wściekła kotka - powiedział ze śmiechem, przenosząc ją przez próg.

Gdy odwróciła głowę i spróbowała go ugryźć, cofnął rękę i zawołał do Wolfa:

- A mówiłeś, że to dama!

Z tyłu dobiegł ją cichy śmiech.

- Widocznie się pomyliłem, Struan.

W chacie była tylko jedna izba, o dwóch wąskich oknach, zasłoniętych teraz okiennicami. Ogień płonący na kominku rozpraszał mrok i nocną wilgoć. Przed kominem, wokół wielkiej drewnianej skrzyni, ustawiono trzy duże obrotowe krzesła.

- A więc znaleźliście ją - stwierdził Kempster z lekkim zdumieniem, gdy wysoki Szkot wprowadził Rosalind do środka.

- Czy to aby na pewno ta dziewczyna, której szukamy? - zapytał mężczyzna nazywany przez Wolfa Struanem.

Kempster kiwnął głową.

Rosalind spojrzała mu w oczy. Po raz ostatni widziała go tamtej feralnej nocy, pośród służby zgromadzonej pod gabinetem lorda Evedona.

Nie знаła Pete'a Kempstera zbyt dobrze, choć widywała go dosyć często, kręcącego się po domu. Jego obecność w tej chacie stanowiła dowód na to, że Wolf także był człowiekiem Evedona.

- Witam, panno Meadowfield! - powiedział uprzejmie Kempster.

Jego przystojna twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

Zwalisty Szkot rozsiadł się tuż obok na krześle, wziął ze skrzyni cynowy kubek i zaczął z niego popijać.

Po chwili w izbie pojawił się Wolf, niosąc siodło. Postawił je na podłodze, powiesił kapelusz na gwoździu i zdjął płaszcz. Miał pod nim sfatygowany surdut, wyblakłe skórzane spodnie i wysokie ubłocone buty.

Podszedł do kominka i dorzucił do ognia.

- Gdzie jest coś do jedzenia?

Struan Campbell ruchem głowy wskazał mały stolik.

- Gotowana szynka i ser. My już jedliśmy. Chleb jest trochę czerstwy, ale da się go zjeść.

Wolf nałożył sobie na talerz, nalał piwa do kubka i zaczął jeść, czując na sobie wzrok młodej kobiety. Nie musiał nawet na nią patrzeć, by wiedzieć, jak wygląda. Miał dobry wzrok i świetną pamięć do szczegółów, co mu się przydawało podczas służby w armii, a jeszcze bardziej teraz, przy jego obecnym zajęciu.

Szczerze mówiąc, wyobrażał ją sobie zupełnie inaczej. Szpilki wysunęły jej się z włosów, które opadały teraz na ramiona ciemnymi, falującymi pasmami. Co do oczu, to choć w półmroku trudno było określić ich dokładny kolor, musiały chyba być piwne. Nie była ani wysoka, ani niska, ani gruba, ani chuda. Wprawdzie nie można było nazwać jej piękną, lecz nie była bynajmniej brzydka. Panna Rosalind Meadowfield mogła bez trudu wtopić się w każde tło. Zaleta nie do przecenienia w przypadku dam do towarzystwa... i złodziejek.

Stała w milczeniu na drugim końcu izby, zastygła bez ruchu, jakby liczyła na to, że o niej zapomną.

- Proszę usiąść i coś zjeść - powiedział.

Spojrzała podejrzliwie na stolik.

- Kim pan jest i dlaczego mnie pan porwał? - zapytała, nie ruszając się z miejsca.

- Przecież pani już zna odpowiedź na obydwa pytania - odparł, nie odrywając wzroku od piwa.

- Jest pan człowiekiem lorda Evedona.

- A mówiłem, że pani wszystko wie. - Dopiero teraz spojrział na nią, z cynicznym uśmiechem.

- Wnioskuje tak z obecności pana Kempstera.

- Wniosek całkiem słuszny.

W jej oczach dostrzegł strach i nieufność.

- Po co pana za mną posłał?

Wolf uniósł brwi.

- Kolejne pytanie, na które zna pani odpowiedź.

Pokręciła głową.

- Nie, nie znam. Więc jakie są jego intencje?

Znała je, był tego pewien, mimo to zdecydował się na brutalną szczerłość:

- Intencją jego jest pojmać kobietę, która ukradła biżuterię jego matki.

Z jej ust wyrwał się cichy dźwięk - na poły śmiech, na poły jęk niedowierzania.

- I w tym celu wynajął pana, tak?

- Myślała pani, że po tym wszystkim puści panią wolno? Chyba nie.

Odwróciła wzrok, ale i tak zdążył dostrzec w nim przyznanie się do winy.

- Lord Evedon się myli. Nie jestem złodziejką - powiedziała, podnosząc nerwowo dłoń do ust.

Kłamie, to widać, pomyślał. Wiedział wszystko na temat kłamstwa i sposobu, w jaki można się zdradzić.

- Oczywiście. Pewnie dlatego gotów jest zapłacić tak wielką sumę za dostarczenie pani - oraz szmaragdów.

- Już panu mówiłam, że nie ukradłam szmaragdów!

- Tylko brylanty, które znaleziono w pani pokoju?

- Nie wiem, skąd się tam wzięły. Ktoś musiał mi je podrzucić.

- Każdy złodziej tak mówi.

- Ale to prawda!

Stała wyprostowana, unosząc dumnie głowę - istny obraz skrzywdzonej cnoty. Wolfa strasznie to zirytowało, więc cmoknął szyderczo.

- Okradła pani wiekową wdowę, będąc jej damą do towarzystwa. Czegoś takiego można się spodziewać po ludziach z gminu, takich jak ja, ale od takich jak pani oczekuje się czegoś lepszego. Nie jest pani wystarczająco bogata z domu? Musiała jeszcze pani okradać chorą staruszkę? Nic dziwnego, że lord Evedon jest na panią cięty.

W takich chwilach winowajcy zazwyczaj próbowali się z nim targować, obiecując mu złote góry w zamian za wolność. Wolf nie miał jednak dotąd do czynienia z kobietą i był ciekaw, co Rosalind Meadowfield zechce mu zaproponować. Pieniądze swego bogatego tatuśka czy może coś innego? Jego wzrok prześlizgnął się po bezkształtnej pelerynie, skrywającej jej zgrabną figurę. Oczywiście nie przyjąłby jej propozycji; nigdy tego nie robił. Sprzedajności nienawidził bowiem równie zaciekle jak damulek pokroju Rosalind Meadowfield.

- Jestem niewinna.

Wolf zaśmiał się sucho.

- Oczywiście, że tak.

Położył plasterek szynki na kromce chleba i zaczął jeść, jakby nigdy nic.

Rosalind cała krew odpłynęła z twarzy. Oparła się o ścianę i wbiła wzrok w ogień.

- Przecież pan Stewart mnie oczekuje. Będzie się dopytywał, czemu nie przyjechałam.

- Pan Stewart został poinformowany o pani sytuacji - odparł zimno Wolf.

- I co mu pan powiedział? - zapytała drżącym głosem.

- Ja? Nic - mruknął, z ustami pełnymi chleba. - Evedon to załatwił.

- A teraz chce załatwić mnie - wyszeptała.

Wolf nie pozwolił sobie jednak nawet na odrobinę współczucia. Skoro sobie nawarzyła piwa, musi je teraz wypić.

- Jak mnie pan znalazł? - odezwała się, kiedy skończył jeść.

- To proste. Zostawiła pani gazetę z wyrwanym ogłoszeniem. Nietrudno było dotrzeć do jego treści.

Zamknęła oczy i zamilkła, a gdy je po chwili otworzyła, zapytała:

- Kim pan jest, panie Wolversley? Policyjnym wywiadowcą?

- Nie, nikim tak oficjalnym. Evedon zapłacił mi po prostu za to, żebym panią odnalazł i przywiózł.

- Och, mój towarzysz jest bardzo skromny - wtrącił się Campbell, który słuchał ich z rozbawieniem, popijając z wyszczerbionego kubka. - Zajmujemy się... ogólnie rzecz biorąc... odzyskiwaniem, i jesteśmy cholernie dobrzy w swoim fachu. Nazywają nas „łowcami złodziei”.

- Nie wydawajcie mnie w jego ręce... proszę - powiedziała cicho.

Szkot obdarzył ją bezradnym uśmiechem.

- Przykro mi, ale na tym polega nasza praca, panienko.

- Panno Meadowfield, będzie pani błagać Evedona - rzekł Wolf. - Bo nas pani nie wzruszy.

Słyszając to, Campbell odwrócił wzrok z dziwnie zakłopotaną miną.

Wolf pociągnął spory łyk piwa. Dziewczyna drogo zapłaci za swoją chciwość, pomyślał, ale to już nie mój problem. Takie jak ona zasługują na najsurowszą karę.

- Wyruszamy jutro o świcie - zwrócił się do niej. - I czy się to pani podoba, czy nie, wracamy do Londynu. Nie obchodzi mnie, czy pani jadła, ale ostrzegam, że nawet jeśli pani zemdleje z głodu, nie opóźni to ani o minutę naszej podróży. Jak będzie trzeba, przytrocę panią do siodła.

Po tych słowach odwrócił się do Campbella i Kempstera i zaczął z nimi konferować przyciszonym głosem. Rosalind po chwili wahania zajęła miejsce przy stoliku pod oknem i zjadła resztę chleba, sera i szynki, nie spuszczać przy tym wzroku ze swoich prześladowców.

Po posiłku mężczyźni zaczęli rozkładać na podłodze kołdry. Rosalind zmierzyła wzrokiem odległość pomiędzy swoim stołkiem a drzwiami.

- Nawet o tym nie myśl - usłyszała głos Wolfa, który rozpościerał właśnie płaszcz na zaimprovizowanym posłaniu.

Nie ruszyła się z miejsca, tylko z rosnącym niepokojem patrzyła na krzątanicę wokół siebie. Szczerze mówiąc, mało wiedziała o mężczyznach, bo jej brat zniknął dawno temu, zaś ona i jej siostra po haniebnej śmierci ojca nie miały już ani szans, ani środków na to, aby zadebiutować w towarzystwie. Tak więc całe jej doświadczenie z mężczyzna-

mi ograniczało się do wiekowych przyjaciół lady Evedon i, oczywiście, samego Evedona.

- Mną się nie przejmujcie. Prześpię się na krześle - powiedziała.

Wolf uniósł kpiąco brwi, a potem rzucił:

- Będzie pani spała z nami na podłodze.

- Ale... - zaczęła niepewnie.

Z drugiego końca izby dobiegł ją cichy śmiech Campbella. Kątem oka dostrzegła, że pokręcił głową.

- Nie musi się pani obawiać - odezwał się lodowatym głosem Wolf. - Campbell i ja nie mamy zwyczaju zadawać się z przestępcami. Bez względu na to, co proponują w zamian za uwolnienie.

Insynuacja była tak jednoznaczna, że Rosalind oblała się purpurowym rumieńcem.

W tej samej chwili w kominku buchnęły płomienie, oświetlając wyraźnie przystojną, męską twarz Wolfa, przy której chłopięce oblicze Kempstera wydawało się wręcz zniewieściałe.

Rosalind zobaczyła nagle, że Wolf idzie ku niej z kawałkiem cienkiej liny w rękę. Wstała powoli, gotowa rzucić się do ucieczki.

- Chyba się pani nie dziwi. Nie możemy przecież pozwolić sobie na to, żeby nam pani po raz drugi uciekła.

- Nie musicie mnie wiązać. Nie ucieknę. Macie na to moje słowo.

- Pani wybaczy, ale raczej nie wierzę pani słowom.

Zerknęła w stronę drzwi, on jednak złapał ją i przyciągnął do siebie.

- Nie! - Zaczęła się wrywać, ale Wolf trzymał ją delikatnie, lecz mocno, dopóki się nie uspokoiła. - Proszę - powiedziała błagalnym szeptem.

Nie mogła znieść myśli, że miałaby być zdana całkowicie na łaskę tych mężczyzn.

Wolf zawahał się, potem jednak skinął na Campbella i obaj skrepowali jej ręce za plecami. Wolf sprawdził jeszcze, czy nie zrobili tego zbyt ciasno, po czym zaprowadził ją na posłanie najbliżej ognia, a zarazem najdalej od drzwi, i pomógł jej usiąść. Na koniec związał jej nogi w kostkach i podłożył pod głowę zrolowaną derkę.

- Nie musi się pani nią przykrywać, bo pani modna peleryna jest wystarczająco ciepła - powiedział i odszedł, nawet na nią nie spojrzawszy.

Rosalind długo leżała, zapatrzona w ogień, słuchając pochrapywania śpiących mężczyzn. Wolf zajął miejsce tuż za nią, tak że czuła bijące od niego ciepło. Było jej niewygodnie na twardej podłodze, tym bardziej że miała skrępowane nogi i ręce, mimo to wcześniejsze zmęczenie jakby się ulotniło i jej pobudzony umysł pracował na zdwojonych obrotach.

Dotąd całą swoją nadzieję pokładała w liście, który miał być gwarantem, że Evedon nie podejmie przeciwko niej żadnych kroków prawnych. I rzeczywiście, nie zrobił tego. Wynajął za to dwóch zbirów i polecił ująć ją wraz z listem. W jednej chwili jej plany legły w gruzach. Jak mogła być tak naiwna, by uwierzyć, że Evedon zostawi ją w spokoju? Z chwilą gdy dostanie ją w swoje ręce, odbierze jej list, a ją pošle na szubienicę. Całkiem niepotrzebnie zresztą, bo nie zdradziłaby sekretu jego matki nawet za cenę własnego życia.

W nocnej ciszy słyszała chrapanie Campbella, zagłuszające wszystkie inne dźwięki. Przewróciła się na prawy bok i zaczęła obserwować swoich prześladowców. Kempster spał najdalej, zwinięty w kłębek i odwrócony do ściany. Obok niego leżał na wznak Campbell, chrapiąc z otwartymi ustami. Wolf, zwrócony do niej przodem, miał zamknięte oczy. Słyszała jego cichy, miarowy oddech. Złocisty blask płomieni złagodził jego rysy, czyniąc go najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała. Nie mogła wręcz oderwać wzroku od jego pociągłej twarzy, z dołkiem w brodzie i bladą blizną na policzku. Spojrzenie jej powędrowało w górę - i nagle zastygła, bo spod półprzymkniętych powiek błysnęły jego srebrzyste oczy, w których malowało się ostrzeżenie... i coś jeszcze.

Zawstydzona, oblała się żarem. Serce waliło jej tak mocno, że nie mógł tego nie słyszeć. Nie odezwał się jednak ani słowem, leżeli tylko przez chwilę w milczeniu. W końcu zdołała odwrócić wzrok. Przetoczyła się na drugi bok i znów zapatrzyła w ogień, bardziej niż kiedykolwiek świadoma drażniącej bliskości Wolfa. Ten niebezpieczny mężczyzna miał ją zawieźć do Evedona, będzie musiała podróżować z nim przez cały

kraj. Na myśl o tym zadrżała, zdjęta trwogą, i zaczęła się modlić, aby Bóg obronił ją przed Evedonem... i przed Wolfem.

## Rozdział trzeci

Wolf obudził się o brzasku, czując słodki zapach kobiety. Uśmiechnął się i na wpół przytomny sięgnął po nią, lecz jego palce natrafiły tylko na podbitą futrem pelerynę. Otworzył oczy i w jednej chwili przypomniał sobie Evedona oraz swoją misję.

Rosalind Meadowfield leżała na boku zwinięta w kłębek, zwrócona do niego przodem. We śnie wyglądała młodziej niż na swoje dwadzieścia pięć lat - i tak bardzo niewinnie, choć wygląd może być zwodniczy. Długie włosy ciemną falą okalały jej bladą twarz, a rozpięta peleryna odsłaniała niebieską suknię o prostym, nieco staroświeckim kroju, lecz z pewnością kosztowną i zupełnie nieodpowiednią na taką podróż. Pewnie panią przywykła do jazdy eleganckim powozem lady Evedon. No, to się teraz przekona, jak podróżuje większość ludzi, pomyślał z ponurą satysfakcją.

Na moment zatrzymał wzrok na jej bladej szyi i piersiach rysujących się pod napiętym materiałem i wtedy przypomniał sobie, że Evedon bardzo nalegał na dyskrecję. Nic zresztą dziwnego, bo w wyższych sferach załatwiano takie sprawy w białych rękawiczkach. Po co ktokolwiek miałby się dowiedzieć, że czcigodna lady Evedon została okradzona przez swoją damę do towarzystwa? Ciekawe, co Evedon zrobi z dziewczyną, kiedy mu ją odwiożą?

Dogada się z jej ojcem? A może nawet z nią samą? Myśl ta obudziła w nim lekki niepokój, więc zaraz ją od siebie odsunął. Decyzja lorda Evedona to już nie jego sprawa, a panna Meadowfield ma bogatego papę, który ją obroni.

Evedon powiedział mu, że pochodzi ona z dobrej, zamożnej rodziny, i już to wystarczyło, aby zdecydował się przyjąć tę pracę. Oczywiście wysokość zapłaty także miała swoje znaczenie. Widocznie Evedonowi musiało bardzo na tym zależeć, aby ją dopaść. Na moment zrobiło mu się żal panny Rosalind Meadowfield. Prawie... A potem przypomniał sobie, kim była i ile zła mogą wyrządzić osoby jej pokroju. Gdy spojrzął na nią ponownie, w jego piersi znów biło serce z kamienia.



Sprawiała wrażenie pogrążonej w głębokim śnie, podobnie jak Campbell i Kempster. Żadne z nich nawet się nie poruszyło, gdy Wolf wstał i wymknął się z chaty.

Na wschodzie, tuż nad horyzontem, dostrzegł na czarnym niebie jaśniejszą smugę. Już wkrótce wstanie świt, więc czas najwyższy zbierać się do odjazdu.

Gdy wrócił, kobieta i Kempster nadal spali, ale Campbell był już na nogach i drapał się, ziewając, po głowie. Wolf przywołał go skinieniem, po czym razem wyszli na dwór i zagłębili się w las.

- No więc, jaki jest plan? - Campbell przeciągnął się i znowu ziewnął.

- Jak najszybciej wyruszamy w drogę i kierujemy się na południe. Jeżeli uda nam się pokonać każdego dnia siedemdziesiąt mil, powinniśmy dotrzeć do Londynu za jakiś tydzień.

- I wtedy dostaniemy pieniądze. - Campbell zatarł rękę.

- Tak, wtedy dostaniemy pieniądze - potwierdził Wolf z uśmiechem.

Campbell zniknął na chwilę za grubym drzewem, a gdy się zza niego wyłonił, zapytał:

- A może jednak ona mówi prawdę? Może wcale nie okradła Evedona?

- Ona kłamie - prychnął Wolf. - Ma to wypisane na twarzy. Co się z tobą dzieje, Campbell? Wystarczyły drogie ubrania i elegancki akcent i już zawróciła ci w głowie?

- Zapomniałeś o ładnej buźce - zakpił Campbell.

Wolf roześmiał się i pokręcił głową.

- Nie zapomniałem. Trzeba jechać. Ty zajmij się końmi, a ja obudzę ją i Kempstera.

- Tak jest, poruczniku.

Wolf spojrzał karcąco na zwalistego Szkota.

- Przepraszam, tak mi się tylko wymknęło. Z przyzwyczajenia - powiedział Campbell z rozbijającym uśmiechem. - A teraz trudno mi się odzwyczaić.

Rosalind obudziła się z uczuciem, że ktoś gładzi ją po policzku. A potem sobie przypomniała, gdzie jest, i serce zatrzepotało jej w piersi. Otworzyła oczy i na widok nachylającego się nad nią Pete'a Kempstera w jednej chwili otrzeźwiała.

- Jaśnie panienska raczyła się wreszcie obudzić? - wycedził.

- Co to ma znaczyć? - wyszeptała, zaszokowana.

- A jak myślisz? Tu nie Evedon House. Nie możesz się wylegiwać w łóżku do południa. Budzę cię, kotku.

Zachnęła się, a potem spróbowała usiąść, krzywiąc się z bólu.

- Już się obudziłam, dziękuję, Kempster - rzuciła lodowatym tonem.

- Widzę - mruknął, wyciągając z kieszeni nóż o długim ostrzu.

Serce jej znów przyspieszyło i strach ścisnął ją za gardło. Wbiła wzrok w jego twarz, niezdolna wykrztusić słowa, a gdy uniósł rękę, wstrzymała oddech.

Kempster zarechotał i jednym szybkim ruchem przeciął więzy kępujące jej kostki, a potem rozwiązał jej ręce i pomógł wstać.

- Tak jest lepiej, prawda?

Kiedy się odsunął, zobaczyła Wolfa, który obserwował ich od progu.

- Wyjeżdżamy za pięć minut - powiedział, spoglądając na nią zimnym wzrokiem.

Kempster zdążył już spakować swoje rzeczy, więc wyszedł, aby przytroczyć sakwy do siodła. Wolf zaczął zwijać kołdrę swoją i Campbella.

- Czy jest tu jakieś miejsce na poranną toaletę? - zapytała Rosalind, wygładzając suknię.

- Idź w krzaki, tak jak my - odparł.

- A woda do mycia?

- Mam ją zagrzać i przynieść jaśnie panience? - zakpił.

Czerwona jak burak, ruszyła do drzwi, rozcierając zdrętwiałe nadgarstki. W progu przystanęła i zebrawszy całą swoją odwagę, zwróciła się do Wolfa, który szedł tuż za nią:

- Panie Wolversley, proszę mi pozwolić na odrobinę godności. - Serce biło jej coraz szybciej, wiedziała jednak, że w tej chwili ustala zasady na resztę podróży.

Jego srebrzyste oczy spojrzały na nią przeciągle. Przypomniała sobie, jak patrzyły na nią w nocy, bez zwykłego cynizmu. Teraz wyczytała z nich, że i on to pamiętał. Zawahał się, a potem skinął głową.

- Jedna próba wystrychnięcia mnie na dudka i zapomnę o pani godności, panno Meadowfield.

Na skraju polanki Kempster z Campbellem siodłali konie, poszła więc w przeciwnym kierunku. Gdy dotarła do pierwszych drzew, zerknęła przez ramię. Wolf wciąż stał w progu chaty i patrzył za nią. Mimo dość sporej odległości poczuła na sobie jego baczny, ponury wzrok. Zadrżała, a potem zagłębiła się w las.

Wolf, zajęty pakowaniem, raz po raz zerkał przez otwarte drzwi w stronę drzew, między którymi zniknęła panna Meadowfield. Jeżeli nie pojawi się w ciągu kilku minut, pójdzie za nią i przyprowadzi ją z powrotem, mając za nic jej godność. Przypomniał sobie wzrok, jakim patrzyła na niego w nocy, i kolor jej oczu - nie piwny, jak myślał, lecz stanowiący dziwną mieszaninę brązu, złota i zieleni. Oczy te spoglądały na niego z taką trwogą, a zarazem tak niewinnie, że zdołałyby zmiękczyć serce każdego mężczyzny. Ale nie jego. Nie ufał jej, bo życie nauczyło go, że najbardziej skorumpowane są wyższe sfery. Że za piękną fasadą kryje się odrażające wnętrze, a pozłota pokrywa zgniliznę. Czyż nie tak właśnie było z panną Meadowfield? Ładna mi dama do towarzystwa, która wykorzystwała wiek i słabość swojej pani, a teraz jest zdesperowana, bo grozi jej kompromitacja. To pewne, że będzie próbowała uciec, ale on jest na to przygotowany.

Po dowiezieniu jej do Londynu zainkasują od Evedona całkiem niezłą sumkę. Głównym jednak powodem, dla którego podjął się tego zlecenia, miała być satysfakcja, że chociaż jedna osoba ze znienawidzonej przez niego sfery będzie musiała ponieść konsekwencje swoich niecznych postępów.

Gdy panna Meadowfield pojawiła się wreszcie, jej suknia nie była już tak pognieciona, a włosy zostały upięte w ciasny węzeł i ukryte pod błękitnym czepkiem.

Na widok osiodłanych koni, gotowych do drogi, zamarła, a potem zapytała:

- A gdzie wóz? Myślałam, że pojedziemy wozem.

Kempster uśmiechnął się pod nosem.

- Pojedziemy konno. To rozkaz pana Wolversleya.

Wolf odniósł nagle wrażenie, że twarz jej pobladła, ale z jakiej przyczyny? Przecież wszystkie kobiety z dobrych domów umiały jeździć konno. Każda z nich już w dzieciństwie dostawała kucyka od rodziców. Za to tam, gdzie on dorastał, na ulicach Yorku, dzieci były szczęśliwe, jeśli w ogóle miały rodziców i nie chodziły głodne.

- Chyba umie pani jeździć konno? - zapytał, a gdy nie odpowiadała, ponaglił ją szorstko: - Panno Meadowfield?

Campbell i Kempster przyglądali jej się w milczeniu.

- Ja... ja... - wyjąkała, nie odrywając wzroku od koni.

- Jeżeli pani nie umie, pojedzie pani ze mną.

Potrząsnęła głową. Była blada jak ściana.

- Umiem... - powiedziała ledwo dosłyszalnym głosem.

- Źle się pani czuje?

- Nic mi nie jest, panie Wolversley.

To tylko wybieg, żeby opóźnić nasz wyjazd, pomyślał, jednak ona rzeczywiście opierała się tak ciężko o pień, jakby zaraz miała zemdleć.

- To w czym problem? - zapytał.

Zawahała się, a potem zaczerpnęła tchu i spojrzała mu w oczy.

- Nie ma żadnego problemu. Na moment zrobiło mi się słabo, ale już mi przeszło.

- Zostało jeszcze trochę chleba z wczorajszej kolacji. Niech go pani zje. Zaraz się pani lepiej poczuje - powiedział Wolf.

Potrząsnęła głową.

- Nie, dziękuję. Już wszystko w porządku.

- Wobec tego ruszamy w drogę. - Wolf odwrócił się i wskoczył na konia, a potem patrzył, jak kobieta odrywa się od pnia i wolnym krokiem podchodzi do czekającej cierpliwie klaczki.

Pewnie w tym momencie ktoś ze służby podbiegał i pomagał jej dosiąść wierzchowca, pomyślał zirytowany. Już sam widok damskiego siodła, kolejny symbol jej lepszego statusu, działał mu na nerwy. Kobiety z gminu jeździły okrakiem, jak mężczyźni. Ona tymczasem stała obok klaczy, nie próbując jej dosiąść, ale i nie prosząc o pomoc.

- Jak tak dalej pójdzie, nie ruszymy się stąd przed wieczorem - rzekł pod nosem Kempster.

Wolf milczał, choć w duchu przyznawał mu rację. Chciał jednak, aby ta damulka przekonała się na własnej skórze, jak to jest żyć bez służby, gotowej na każde skinienie.

Nie ma mowy, nie zsiądzie, żeby jej pomóc, bo nie jest jej sługą. Dlatego trwał uparcie w siodle, dopóki Campbell nie zeskoczył na ziemię i nie podszedł do Rosalind.

Potężny Szkot pogłaskał końską szyję.

- To pojętne, spokojne stworzenie - mruknął, po czym nachylił się i podsunął panie Meadowfield swoje splecione ręce.

- Dziękuję - powiedziała.

Postawiła stopę na jego dłoniach, wsparła się na jego ramieniu i dosiadła klaczy.

Ruszyli wolnym tempem, leśną drogą, w kierunku traktu prowadzącego na południe, i choć panna Meadowfield siedziała sztywno w siodle, widać było, że umie jeździć konno.

Wolf jechał na czele kawalkady, Campbell i Kempster z tyłu, Rosalind pomiędzy nim. Świetnie sobie radziła do chwili, kiedy znaleźli się na trakcie i Wolf spiął konia, który ruszył truchtem, a potem klusem.

Widząc to, Rosalind mocniej ścisnęła wodze i klacz zatrzymała się raptownie. Serce biło jej jak oszalałe, a jej dłonie w cienkich skórkowych rękawiczkach zrobiły się wilgotne od potu. Oblizała suche wargi i spróbowała przełknąć ślinę, ale gardło miała ściśnięte.

Campbell i Kempster zrównali się z nią. Zobaczyła, jak Wolf się ogląda, a potem zawraca.

- Niech pani nie nadużywa mojej cierpliwości, panno Meadowfield - powiedział surowo, kiedy do niej podjechał. - Przed wieczorem mamy dojechać do Gretna, więc proszę się pospieszyć.

Rosalind nie ruszyła się z miejsca. Na samą myśl o galopie żołądek podjechał jej do gardła. Odetchnęła głęboko, raz i drugi, i spróbowała stłumić przyływ paniki. Najchętniej zeskoczyłaby z konia i uciekła gdzie pieprz rośnie. Tęsknym wzrokiem popatrzyła na drogę niknącą w oddali.

Wolf zmarszczył brwi i ująwszy ją za podbródek, zmusił, by na niego spojrzała. Jego oczy nie były już srebrzyste, lecz szare jak pochmurny poranek.

- Jeszcze jedna próba opóźnienia tempa, a sam poprowadzę tego pani cholernego konia. - W jego głosie zadźwięczały szydercze nuty.

Puścił ją i odsunął się ze wzgardliwą miną.

Nie mogła dopuścić, żeby przejął kontrolę nad jej klaczą, ale nie zamierzała również pokazywać po sobie, jak bardzo się boi. Niech go diabli, pomyślała ze złością. Co za gbur i arogant!

- Nie byłoby żadnej zwłoki, gdyby siodło zostało prawidłowo założone - oznajmiła jakimś obcym, wyniosłym tonem. - Ześlizguje się podczas jazdy. Przecież lord Evedon chce, abym zawisała na szubienicy, a nie skręciła sobie kark na wiejskim gościńcu.

Mężczyźni zeskoczyli z koni i Wolf, krzywiąc się z irytacji, ruszył w jej stronę. Z bijącym sercem czekała, co będzie dalej. On tymczasem podszedł do niej i wyciągnął rękę, aby pomóc jej zsiąść. Wtedy pociągnęła delikatnie za lejce i klacz obróciła się przodem do kierunku jazdy, jakby było jej spieszno ruszać dalej.

- Proszę ją uspokoić - rzucił Wolf.

W nagłym przyplywie złośliwej satysfakcji Rosalind szarpnęła za wodze i klacz puściła się kłusem.

Usłyszała za sobą przekleństwa Wolfa i okrzyki mężczyzn, ale była już daleko. Serce jej tłuło się ze strachu jak oszalałe, wiedziała jednak, że jeśli chce im umknąć, musi przyspieszyć tempa.

Niestety, zbyt szybko usłyszała za sobą rytmiczny tętent. Zerknęła przez ramię i zobaczyła Wolfa na siwym ogierze.

- Szybciej! - ponagliła klaczkę i spróbowała nie myśleć o prędkości i koniu.

Gdy się znów obejrzała, zobaczyła, że Wolf jest tuż, tuż, więc spięła klacz do galopu, w nadziei, że zdoła ująć pogoni.

Było już jednak za późno. Jeszcze kilka sekund i koń Wolfa zrównał się z jej klaczą, która spróbowała uskoczyć w bok, ale nie miała dokąd, gdyż po jednej stronie gościńca był głęboki rów, a po drugiej gęsty żywopłot.

Zdezorientowane zwierzę wpadło w panikę, dokładnie tak samo jak tamten koń przed laty, i pogalopowało przed siebie, oszalałe ze strachu.

Rosalind poczuła, że siodło naprawdę zaczyna się zsuwać, i koszmar sprzed lat powrócił. Przed oczyma stanęła jej Elizabeth spadająca z siodła, i już wiedziała, co będzie potem. Niezdolna wydać głosu, pędziła przed siebie, szarpiąc bezskutecznie za

lejce. Nagle poczuła, że obejmują ją mocne ramiona i Wolf przejmuje wodze z jej rąk. Klacz od razu zareagowała na jego dotyk i kojący ton. Zaczęła zwalniać, podczas gdy on wciąż mówił do niej niskim, spokojnym głosem, a kiedy wreszcie stanęła, pogłaskał ją pieszczotliwie po karku.

- Już dobrze, moje biedactwo - powiedział cicho. - Nic ci nie grozi.

Hipnotyzujący ruch jego dłoni i kojący ton sprawiły, że także Rosalind zaczęła się uspokajać. W jednej chwili zapomniała o próbie ucieczki i pogoni Wolfa. Zsuwając się z siodła, pamiętała jedynie, że ocalił jej życie. Uczucie ulgi było tak przytłaczające, że nogi się pod nią ugięły i osunęła się na kolana. Żyję, pomyślała, jestem zdrowa i cała! Dotknęła rękami wyboistej drogi, która wydała jej się ostoją bezpieczeństwa. Jak przez mgłę dostrzegła, że Wolf odciąga klacz od rowu, ale nie była w stanie się ruszyć.

- Co pani sobie wyobraża? Co to znowu za sztuczki? - Para zakurzonych skórzanych butów wyrosła nagle tuż przed jej nosem.

Zamrugła, a potem spojrzała w górę.

- Przez swoją głupotę naraziła pani nie tylko swoje życie, ale i życie dobrego konia - mówił dalej Wolf gniewnym tonem, a jego oczy, ciemne teraz jak gradowa chmura, miotaly błyskawice. Przyklęknał i zbliżył twarz do jej twarzy. - Nie warto uciekać, bo i tak panią dopadnę. Campbell mówił przecież, że jesteśmy dobrzy w swoim fachu. Więc bez względu na to, jak głupie plany wyklują się jeszcze w pani głowie, prawda wygląda tak, że w końcu dowiozę panią do Evedona. Wiem, że nie ma pani na to ochoty, ale trzeba było pomyśleć o konsekwencjach, zanim go pani okradła. - Podniósł się i wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać.

Był to pierwszy pomocny gest, odkąd wsiadła na jego wóz w Blairadie.

Rosalind patrzyła przez chwilę na jego opaloną dłoń o smukłych, silnych palcach, a potem odwróciła wzrok i choć kręciło jej się w głowie, podniosła się powoli, bez pomocy.

- Pan nie wie, jak wygląda prawda - powiedziała ze złością, czując, że łzy napływają jej do oczu. - Nie ma pan zielonego pojęcia.

- Wiem więcej, niż się pani wydaje, panno Meadowfield. Wiem o dzieciach, które głodują, kiedy pani się objada przy suto zastawionym stole. O żebrzących przy drodze

kalekich żołnierzach, których pani nawet nie zauważyła z okien swojego eleganckiego popowozu. O kobietach kupczących swoim ciałem, żeby wyżywić rodzinę. O mężczyznach wieszanych za kradzież bochenka chleba, w czasie gdy pani gawędzi z lady Evedon przy ciasteczkach i herbacie. Oto jak wygląda prawda, panno Meadowfield. - Jego oczy przeszyły ją jak dwa sztylety. - Założę się, że to dla pani nowość, więc proszę mnie nie pouczać.

Patrzyli na siebie przez chwilę z nieukrywaną wrogością, a potem Wolf rzucił:

- Niech pani wsiada i już więcej nie próbuje straszyć konia.

Zdrętwiała z przerażenia, ale nie mogła przecież tego po sobie pokazać.

- Wołałabym iść pieszo - stwierdziła, unosząc dumnie głowę.

- Nie mamy aż tyle czasu, więc proszę, bez fanaberii!

Poczuła, że serce bije jej jak oszalałe i robi jej się niedobrze. Zaciśnęła powieki i spróbowała przeczekać falę mdłości.

- Panno Meadowfield!

Otworzyła oczy. Wolf stał przed nią.

- Nie! Nie wsiadę na konia - powiedziała, dziwiąc się swojej odwadze.

- Mam panią związać i przerzucić przez siodło jak worek kartofli?

Cała krew odpłynęła jej z twarzy.

- Nie robi pan tego!

- Ależ zrobię, z największą przyjemnością.

Cyniczny uśmiech, jakim okraślił swoje słowa, uzmysłowił jej, że nie są to czcze pogrożki i że nie ma wyjścia. Odwróciła się, podeszła na miękkich nogach do konia i pozwoliła się podsadzić. A gdy Wolf ujął lejce i podprowadził klacz do miejsca, gdzie czekali Campbell i Kempster, pomyślała, że w życiu nie spotkała człowieka, który byłby jej równie nienawistny.



## Rozdział czwarty

Niebo zaczynało już ciemnieć, gdy zatrzymali się wreszcie przed zajazdem w Gretna. Rosalind była tak straszliwie obolała, że wydawało jej się, iż nie ma na jej ciele miejsca, które byłoby wolne od bólu. W trakcie całodziennego podróży gniew i strach wyparowały z niej, a zmęczenie sprawiło, że zapomniała o dawnych lękach. Nie czekając, aż ktoś pospieszy jej z pomocą, zsunęła się na ziemię i odetchnęła z ulgą, że nie czuje już pod sobą twardego siodła.

Była taka zmęczona, że gdy Wolf chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę wejścia, nawet nie próbowała zaprotestować.

W zajęzdzie panował spory ruch i większość miejsc na sali była zajęta, głównie przez mężczyzn. Część gości zgromadziła się przy barze i popijając piwo, z zaciekawieniem przyglądała się wchodzącym. Rosalind kątem oka dostrzegła, że Wolf mówi coś półgłosem do oberżysty, który wlepia badawczy wzrok w nią, a później w Campbella i Kempstera, by po namyśle przyjąć od Wolfa pieniądze i skinąwszy głową, sięgnąć po klucze. Potem poprowadził ich wąskimi schodami na górę, do dwóch pokoi usytuowanych na samym końcu ciemnego korytarza.

Wolf wszedł do ostatniego z nich. Zlustrował wzrokiem pomieszczenie, następnie podszedł do okna i wyjrzał na dwór, by na koniec sprawdzić drzwi.

- Zostawcie bagaże i schodźcie na dół. Trzeba koniecznie coś zjeść - powiedział do swoich towarzyszy, a gdy ich torby wylądowały z hukiem na podłodze, zwrócił się do Rosalind. - Poczekam za drzwiami, aż skończysz toaletę.

Skinęła głową, wiedząc, że to najlepsze, na co może liczyć, i patrzyła, jak mężczyźni wychodzą z pokoju. Wolf posłał jej jeszcze od progu ostrzegawcze spojrzenie, a potem zniknął za drzwiami.

Po jego wyjściu jeszcze przez chwilę nie ruszyła się z miejsca. Słyszała z korytarza odgłos otwieranych i zamykanych drzwi i przyciszone męskie głosy. Wzrok jej spoczął na podróźnej torbie, którą Wolf rzucił na podłogę, więc ją postawiła na sztorc pod drzwiami, jakby chciała się zabarykadować. Dopiero wtedy zabrała się do toalety, umyła twarz i ręce i przyczesła włosy.

Gdy wreszcie otworzyła drzwi, zobaczyła Wolfa opartego w ciepłej pozie o ścianę, lecz gdy spojrzała mu w oczy, nie dostrzegła w nich cienia wyrozumiałości. Skinął głową w stronę schodów, więc ruszyła wolno mrocznym korytarzem. Usłyszała zgrzyt klucza w zamku, a potem coraz bliższe kroki. Na podeście zawahała się, wtedy Wolf minął ją i poszedł przodem, po wąskich, nierównych schodach.

W połowie drogi zatrzymał się i odwrócił tak raptownie, że o mały włos na niego nie wpadła. Ponieważ stała o stopień wyżej, ich oczy po raz pierwszy znalazły się na tym samym poziomie. Ciepły blask palącej się obok świeczki złagodził rysy jego twarzy. Widziała każdą jego rzęsę i oczy, nie zimne już, lecz jakby zamglone.

Chciała się cofnąć, ale zahaczyła stopą o krawędź stopnia i byłaby upadła, gdyby Wolf nie chwycił jej w pasie. Ku jej zaskoczeniu, nie puścił jej potem, tylko wciąż patrzył na nią dziwnym wzrokiem, w którym zdumienie mieszało się z czymś, czego nie potrafiła nazwać, a co sprawiło, że wstrząsnął ją dreszcz.

Cyniczny grymas zniknął z jego twarzy, z której trudno było teraz cokolwiek wyczytać. Jego ciepły oddech muskał jej policzki i loczki na karku. Poczula męski zapach mydła oraz wyprawionej skóry i serce zaczęło jej głucho łomotać. Choć Wolf trzymał ją bardzo lekko, nie próbowała się już oswobodzić, lecz wpatrywała się w niego jak urzeczona. Jego zamglone oczy hipnotyzowały ją, a dotyk wręcz parzył.

I nagle wszystko się zmieniło. Jego oczy znów zaślnęły zimnym, srebrzystym blaskiem, dłoń opadła, a twarz wykrzywiła się pogardliwie.

- Na dole ma się pani zachowywać jak należy, panno Meadowfield - warknął.

Ta nagła odmiana wstrząsnęła nią mniej niż to, co ją poprzedziło.

- Nawet nie chce mi się na to odpowiadać - wykrztusiła.

- Podobnie jak nie chce się pani nic robić - odparł i kąciki ust lekko mu zadrgały. -

Poza przywłaszczaniem sobie cudzych kosztowności, rzecz jasna. - Po tych słowach odwrócił się i jakby nigdy nic zaczął schodzić na dół.

Rosalind stała w miejscu, rozdygotana. Co się z nią dzieje, na Boga? Dlaczego się nie odsunęła? Jak mogła mu na to pozwolić, żeby patrzył na nią w sposób tak... nieprzystojny? Dlaczego serce wciąż bije jej zbyt szybko i płoną jej policzki?

Wolf tymczasem dopiero na dole zorientował się, że nie poszła za nim.

- Panno Meadowfield! - odezwał się tak cicho, że ledwie go usłyszała, ale jego złowieszczy ton był bardziej sugestywny, niż gdyby krzyczał.

Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach, więc zbiegła szybko po schodach, trzymając się poręczy.

Campbell i Kempster siedzieli w najdalszym kącie sali. Przepychając się pomiędzy zatłoczonymi stołami, Rosalind czuła na sobie spojrzenia wszystkich gości.

- Zamówiliśmy już potrawkę z baraniny i kurczaka w cieście - odezwał się dobrotliwie Campbell. - Nie mogliśmy przecież czekać przez całą noc, aż zejdziecie. A w tym czasie wypiliśmy dzbanek piwa - dorzucił z uśmiechem.

Posługaczka z nieprzyzwoicie głębokim dekoltem rozłożyła na stole sztuce i talerze.

- Tu będziemy jedli?! - Rosalind, która nigdy dotąd nie jadła w zajezdzie w publicznej sali, rozejrzała się niepewnie wokoło.

- Kuchnia jest tu jedna, więc po co wyrzucać pieniądze na wynajmowanie prywatnego saloniku. - Wolf wskazał jej miejsce przy stole, obok Campbella.

Usiadła zatem, udając, że nie zauważa zaciekawionych spojrzeń gości. Kątem oka dostrzegła zmierzającego w ich kierunku właściciela zajazdu.

- Czy pokoje panu odpowiadają...? - odezwał się, zerkając na palce jej prawej ręki. Wiedziała, co musiał sobie o niej pomyśleć, więc choć trzymała wysoko głowę, starając się nie okazywać zażenowania, zdradził ją ciemny rumieniec.

Wolf skinął głową bez słowa.

- A pańskiej damie? - nie ustępował właściciel, lecz gdy Wolf spiorunował go wzrokiem, zbladł i ze słowami: - Pójdę dopilnować waszej kolacji - oddalił się do kuchni.

Rosalind spuściła oczy. Miała ochotę zapaść się pod ziemię.

Gdy właściciel zniknął, wyszeptała z furią do Wolfa:

- Trzeba mu było powiedzieć, że nie jestem pańską damą.

- Tak bardzo przejmuje się pani jego opinią, panno Meadowfield? - odparł z drwiącym uśmiechem.

Poczuła, że policzki jej płoną.

- Nie, ale po co ma źle o mnie myśleć. Moja reputacja... - Urwała, słysząc szydercze parsknięcie Kempstera. Istotnie, nie mogła już sobie bardziej zepsuć reputacji.

- Proszę, niech pani mówi dalej. - Wolf uniósł brwi. - No więc, pani reputacja...?

Spuściła wzrok i cichym głosem powiedziała:

- Po prostu nie chciałabym, aby mnie wziął za kogoś, kim nie jestem.

- Rozumiem - odparł, a gdy spojrzała mu w oczy, dorzucił głośno: - Miałem mu powiedzieć, że nie jest pani moją kobietą, tylko złodziejką?

- Ćśś! - wyszeptała w panice. - Ludzie nas usłyszą. Już zaczynają na nas patrzeć.

- A niech sobie patrzą - odparł. - Jestem do tego przyzwyczajony.

W jego głosie wychwyciła nutę goryczy i mimowolnie spojrzała na bliźnę przecinającą jego policzek. Nagle zrobiło jej się wstyd.

- Nie miałam na myśli... nie chodziło mi wcale o... - wyjąkała, ale Wolf spojrzał jej wymownie w oczy i słowa zamarły jej na ustach.

Ciężką atmosferę rozładowało nieco przybycie posługaczki z jedzeniem. Nie było już żadnej rozmowy, gdyż mężczyźni rzucili się na kolację, jakby od tygodnia nie mieli nic w ustach. Rosalind już od samego zapachu zaburczało w brzuchu. Potrawka z baraniny okazała się rzeczywiście smaczna i sycąca, a kurczak gorący i dobrze przyprawiony. Mimo to zjadła bardzo niewiele, bo ze zmęczenia i zdenerwowania trudno jej było cokolwiek przełknąć.

Wolf nie odzywał się do niej podczas kolacji, ale raz po raz czuła na sobie jego spojrzenie i tym bardziej nie mogła jeść. Kiedy wreszcie skończyli, zamówił kolejny dzbanek piwa dla Campbella i Kempstera, a sam wstał i poprowadził ją do wyjścia.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi małego pokoiku, Rosalind spojrzała na Wolfa zaleknionym wzrokiem. Zupełnie jakby mnie uważała za człowieka bez honoru, pomyślał zirytowany, jakby się bała, że będę chciał się na nią rzucić. A przecież nigdy nie miał kłopotów ze znalezieniem chętnej kandydatki. A jeśli już mowa o gwałcie, to niech lepiej rozejrzy się pośród swojej sfery, pomyślał z goryczą, bo znów zaatakowały go bolesne wspomnienia.

- Wyjeżdżamy o brzasku, więc niech pani będzie gotowa - rzucił tonem, który jemu samemu wydał się przesadnie szorstki.

Zbyt szorstko też ją traktował, z czego oczywiście zdawał sobie sprawę, ale jego serce wciąż było zatwardziałe. Miał także do siebie pretensje za ten niepotrzebny moment słabości na schodach.

Panna Meadowfield spojrzała na niego. Jej oczy w blasku świec miały odcień ciemnej czekolady. Dostrzegł w nich przeblysłk ulgi. Widocznie bardzo jej zależało, aby ludzie nie wzięli jej za jego kochankę.

- Dobranoc, panie Wolversley - odezwała się takim tonem, jakby odprawiała służącego, a on znów całkiem niepotrzebnie się zirytował. Wyjdzie wtedy, kiedy sam uzna za stosowne, a nie wtedy, kiedy ona mu pozwoli.

- Następnym razem ma pani jeść, a nie dziobać jak ptaszek. Ludzie głodują, a pani marnuje jedzenie - powiedział, nie ruszając się z miejsca.

- Nie pańska sprawa, ile i co jem.

- Wręcz przeciwnie, panno Meadowfield. - Podchodząc do niej, zauważył nie bez satysfakcji, że cofnęła się z lękiem w oczach. - Dopóki nie przekażę pani w ręce Evedona, jest pani moja i będzie pani robić, co jej każę.

Zadrżała, lecz głowę wciąż trzymała wysoko.

- Evedon chce mnie widzieć na szubienicy - powiedziała cicho. - W porównaniu z czymś takim, pańskie groźby to pestka.

Wolf był pewny, że Evedon nie zamierza jej powiesić. Podejrzewał nawet, że nie będzie chciał zgłosić kradzieży, bo najbardziej zależy mu na wyciszeniu sprawy. Pewnie się zadowoli zwrotem szmaragdów, szepnie parę słów na ucho ojcu panny Meadowfield, a potem ją odprawi. Wolf nie zamierzał jednak dzielić się z nią swymi przypuszczeniami.

- Są rzeczy gorsze niż śmierć, o których pani, w tych swoich eleganckich sukniach i w swoim eleganckim życiu, nie może nawet mieć pojęcia. Czasami stryczek bywa upragnionym wyzwoleniem - powiedział ze spokojem, choć słowa te podyktowało mu gorzkie doświadczenie. - Dobranoc, panno Meadowfield. - Odwrócił się i skierował do drzwi.

Rosalind stała bez ruchu, patrząc w ślad za nim. Wspomnienie jej oczu sprawiło, że zapragnął odwołać swoją okrutną wypowiedź. Zdegustowany, pomyślał, że jest rzeczywiście sukinsynem, i to w każdym tego słowa znaczeniu.

Rosalind poczekała, aż usłyszy zgrzyt klucza w zamku i oddalające się kroki, i dopiero wtedy odważyła się oprzeć o ścianę i zamknąć oczy. Nogi się pod nią ugięły, więc osunęła się na podłogę i skuliła pod ścianą, obejmując ramionami kolana. Co robić? - myślała gorączkowo. Na Boga, co robić? Była tak pewna, że uda jej się rozpuścić w Szkocji, a tymczasem... W uszach jej znów zadźwięczały słowa Wolfa: „Są rzeczy gorsze niż śmierć, o których pani, w tych swoich eleganckich sukniach i w swoim eleganckim życiu, nie może nawet mieć pojęcia”. Tak, suknie rzeczywiście miała eleganckie, wybrane i zapłacone przez lady Evedon, ale jej życie bynajmniej nie było eleganckie - i to od bardzo dawna, odkąd skończyła cztery lata. Ironia zawarta w tych słowach wywołała na jej twarzy uśmiech tak cyniczny, że nawet Wolf byłby z niego dumny. Mimo to jej oczy wezbrały łzami.

Wolf zazwyczaj spoglądał na nią z pogardą, której nawet nie próbował ukrywać. Jakby jej nienawidził za samo istnienie. A jednak tego wieczoru, na schodach, w jego wzroku nie było nienawiści. Patrzył na nią w taki sposób, że serce zaczęło jej bić szybciej - i to nie ze strachu. W ciągu tych kilku chwil coś między nimi zaiskrzyło. Przed oczyma znów stanęła jej jego przystojna, surowa twarz.

Zacisnęła kurczowo powieki, aby odpędzić ten obraz, ale on wciąż tam trwał. Wtedy pojęła, że nigdy dotąd nie spotkała mężczyzny takiego jak Wolf. Źle urodzony i źle wychowany, typowy czarny charakter, miał jednak w sobie coś więcej, coś intrygującego, jakby ukrywał jakąś mroczną tajemnicę.

Wydawał się groźny i nieobliczalny... a zarazem dziwnie pociągający. Nigdy nie wiedziała, czego się może po nim spodziewać. Z głębokim westchnieniem oparła głowę na kolanach i dalej snuła rozmyślenia.

Wolf był mężczyzną silnym, zdolnym do przemocy, o ile można wnioskować po bliźnie na twarzy. Nikt nie chciałby mieć kogoś takiego za wroga, tymczasem tym właśnie dla niej był. Co więcej, potrafił wzbudzić w niej gniew i wytrącić ją z równowagi. I taki właśnie człowiek miał ją oddać w ręce Evedona.

„Jesteś moja”, powiedział, a jej na samą myśl o tym, że miałyby się znaleźć w jego władzy, krew zastygła w żyłach, bo zaczynała sobie dopiero uzmysławiać, co mógłby jej zrobić taki mężczyzna jak Wolf. Pamiętała wzrok, jakim patrzył na nią na schodach,

dotyk jego gorącej dłoni, obejmującej ją w talii, oraz jego podniecający zapach. Ona zaś, kompletnie bezwolna, nie była w stanie ruszyć się czy choćby pomyśleć.

Pamiętała też, jak szybko jego zamglone oczy zabłysły znów lodowatą nienawiścią. Był fascynujący i przerażający zarazem. Nie mogła pojąć, czemu tak na nią działał. Niech ją Bóg przed nim strzeże, bo to człowiek brutalny i bezlitosny. Mając go przeciwko sobie, mogła równie dobrze wrócić w podskokach do Evedona i zdać się na jego łaskę i niełaskę.

Na piersi, pod suknią, poczuła płócienny pakiecik, w którym ukryła list Evedona, i przypomniała sobie, o co toczy się gra. Wolf może jej wprawdzie grozić, ale jej nie zabije, natomiast Evedon pośle ją na szubienicę. Zamknęła oczy. Wiedziała już, co będzie musiała zrobić. Niełatwo było umknąć z domu Evedona, lecz by uciec Wolfowi, potrzeba będzie cudu.

Objęła mocniej kolana i zaczęła się żarliwie modlić.

## Rozdział piąty

Wolf pociągnął spory haust piwa.

- No, tego mi było trzeba!

- Panienska dała ci szkołę, tak? - zapytał Campbell z błyskiem w oku.

- Nie, raczej nie. Jest przekonana, że Evedon będzie chciał ją posłać na szubienicę.

- A ty oczywiście nie wyprowadzałeś jej z błędu? - Campbell uniósł kpiąco brwi.

- Niby czemu miałbym to robić? Niech się trochę pomęczy. - Wolf znów pociągnął łyk. - W sumie, najgorszą karą dla niej będzie pewnie ta podróż.

- Jak to? - Kempster oderwał wzrok od kufła. - Przecież Evedon odda ją pod sąd i chociaż jej nie powieszą, bo jest damą, na pewno trafi do więzienia. Zresztą, cokolwiek by z nią zrobił, i tak ma zrujnowaną opinię.

- Nie będzie żadnego skandalu. - Wolf zaśmiał się cynicznie. - Evedon chce załatwić sprawę po cichu. Jak myślisz, po co innego nas wynajął? Nie życzy sobie, aby się rozeszło, że uciekła z biżuterią jego matki. Najbardziej mu zależy na dyskrecji.

- Więc zamierza jej to puścić płazem? Przecież okradła jego owdowiałą, chorą matkę! - obruszył się Kempster.

Wolf parsknął śmiechem.

- Och, Kempster, musisz się jeszcze wiele nauczyć o takich ludziach jak Evedon.

Słyszając to, Kempster pokręcił głową, a Campbell dorzucił:

- To niebrzydka dziewczyna. Może Evedon ma swoje powody, aby zatuszować kradzież? - Ale Kempster wcale go nie słuchał.

- Nieważne, jaka ona jest. Ważne, że jest złodziejką - stwierdził sucho Wolf. - Naszym zadaniem jest odwieźć ją do Evedona. A co on z nią później zrobi, to już nie nasze zmartwienie. Poza tym, im bardziej będzie się bała, tym lepiej. Szczerze mówiąc, zasłużyła sobie na znacznie surowszą karę.

- Twardy z ciebie człowiek, Wolf - stwierdził Campbell. - Twardy jak diabli. Nie mam racji, Kempster?



- Mhmm... - Kempster ocknął się i wyraz rozmarzenia zniknął z jego twarzy. Dopił piwo i wskazując na pusty dzban pośrodku stołu, powiedział: - Zamówię jeszcze jeden. Dopiszemy to Evedonowi do rachunku. - Podniósł rękę, aby przywołać posługaczkę.

- Daj spokój - odezwał się Wolf. - Wyruszamy o brzasku i czeka nas długa droga. Musimy mieć trzeźwe głowy.

- Ale jeszcze jeden dzbanek nam nie zaszkodzi. - Kempster próbował się targować, lecz gdy Wolf przeszył go surowym wzrokiem, poderwał się i stwierdził: - Chyba pójdę rozprostować nogi, zanim się położę. - W drodze do drzwi szepnął coś na ucho obsługującej dziewczynie, która wyszła dwie minuty później.

- Młodzieńcze żądze - skomentował Campbell, odstawiając kufel.

Wolfowi przed oczyma stanęła nagle Rosalind Meadowfield z jej orzechowymi oczami, pełnymi różowymi ustami i ciemnymi lokami upiętymi w surowy węzeł. Zaciśnął wargi i spróbował odpędzić od siebie tę wizję, po czym zwrócił się poirytowanym tonem do Campbella:

- Trzeba się trochę przespać - Był zły na siebie za to, że w ogóle myślał o tej kobiecie.

Campbell spojrział na niego przeciągle, ale nic nie powiedział. Po chwili obaj mężczyźni udali się na spoczynek.

Następnego ranka Rosalind postanowiła zrobić wszystko, aby nie okazać strachu na widok klaczy czekającej na podwórzu. Czuła na sobie zimny wzrok Wolfa i widziała jego surową minę. Więc choć żołądek kurczył jej się na samą myśl o dalszej jeździe, pomyślała, że raczej umrze, niż pozwoli mu się tego domyślić. Kempster także jej się przyglądał, lecz tym razem bez pogardliwego uśmiešku. Odwróciła się od nich i zebrawszy całą swoją odwagę, pozwoliła, by Campbell ją podsadził.

Starła się zachować spokój, gdy wyjeżdżali z podwórza, w tym samym szyku co poprzednio. Na przedzie jechał Wolf, potem ona, a z tyłu Campbell i Kempster. Droga była w tak złym stanie, że nie mogli posuwać się zbyt szybko, ale jej to odpowiadało. Po godzinie jazdy poczuła, że klacz jakby utyka.

- Prr, stój, dziewczyno! - usłyszała za sobą krzyk Campbella, który podjechał do niej i zsiadł z konia.

Ześlizgnęła się na ziemię, a on tymczasem zaczął oglądać tylną nogę zwierzęcia. Jak na tak potężnego mężczyznę, ruchy miał wyjątkowo delikatne. Zaraz potem dołączył do nich Wolf i przykucnął obok Campbella

- Mamy problem, klacz okulała - stwierdził Campbell.

Wolf pokiwał głową, wyraźnie niezadowolony.

- Do następnej wioski nie powinno być daleko. Jeżeli pojedziemy wolno, klacz, bez jeźdźca, powinna sobie poradzić. Campbell, ty zaopiekuj się zwierzęciem, a ja się zajmę panną Meadowfield. - Po tych słowach znów dosiadł swojego wierzchowca.

Campbell wziął torbę podróżną Rosalind i przytroczył ją do siodła.

Wizja, iż Wolf miałby się nią zająć, nie podobała się Rosalind ani trochę. Popatrzyła na wielkiego siwego ogiera i ogarnęła ją panika.

- Mogę iść pieszo - powiedziała.

- Naprawdę? - zakpił Wolf. - Myślałem, że takie damy podróżują wyłącznie powozem.

Spojrzała na niego ze złością i chciała mu odpowiedzieć, że się grubo myli i że nie ma prawa zmuszać jej do jazdy w siodle, a tym bardziej wlec z powrotem do Evedona.

Wolf odpowiedział jej równie gniewnym spojrzeniem. Poczowała narastającą między nimi wrogość. Na wysokości oczu miała zimne oczy jego ogiera. Wystraszona, odwróciła szybko wzrok. Na myśl o tym, że będzie musiała jechać na grzbiecie tego ogromnego zwierzęcia, nogi się pod nią ugięły i żołądek podjechał jej do gardła.

Chcąc powstrzymać nagły przyływ mdłości, przełknęła ślinę.

- Nie chciałabym sprawiać panu kłopotu...

- Mogę panią zapewnić, że przyrowadzenie złapanej złodziejki to żaden kłopot. - Gdy znów na niego spojrzała, napotkała jego lodowaty wzrok. - Panno Meadowfield. - Wyciągnął rękę, by ją posadzić przed sobą w siodle.

Cofnęła się, przerażona. Serce waliło jej jak młotem, ale nie mogła okazać strachu.

- Jeżeli klacz okulała, będziemy musieli się do niej dostosować. - powiedziała. - Nie możemy jechać szybciej, niż ona będzie w stanie iść.

- To prawda. I co z tego? - prychnął Wolf.

- Skoro tak, to ja też mogę iść - powiedziała. - Nie opóźnię wam tempa, nie ma obawy. Potrafię chodzić całkiem szybko.

- Mamy dziś przebyć trzydzieści mil.

Wzruszyła ramionami, jakby uważała to za kompletnie nieistotne.

- Już mówiłam, że pójdę pieszo.

- Trzydzieści mil? - Zaśmiał się, żeby ją rozzłościć. - Czy zdaje sobie pani sprawę z tego, jaka to odległość?

- Chodziłam na dalsze dystanse - skłamała. Jego sceptyczna mina podsyciła tylko jej determinację. - Co to jest trzydzieści mil!

Popatrzył na nią tak, jakby wiedział, że kłamie.

- Obawiam się, że pamięć panią zawodzi, panno Meadowfield.

- Nie mam żadnych kłopotów z pamięcią, panie Wolversley - burknęła, a widząc, jak kieruje ogiera w jej stronę, odskoczyła z przerażeniem, przekonana, że chce ją wciągnąć na koński grzbiet.

Wtedy szarpnął wodze i zatrzymał się. Jego zimne oczy zlustrowały ją od stóp do głów.

- Dobrze, niech tak będzie - zdecydował w końcu. - Campbell i ty, Kempster, pojedziecie przodem, razem z klaczą. Ja zastanę z tyłu, z panną Meadowfield.

Rosalind odetchnęła. Ulżyło jej, że nie będzie musiała dzielić z nim siodła.

Ruszyli w dalszą drogę. Campbell prowadził klacz, jadąc obok Kempstera, potem szła Rosalind, a za nią jechał Wolf na swoim ogierze.

W najbliższej wiosce nie było koni na wymianę, więc zostawili klacz i pojechali dalej.

Rosalind maszerowała wytrwale, rada, że wygrała tę drobną potyczkę, a zarazem świadoma obecności mężczyzny, który jechał tuż za nią. Słyszała rytmiczny stukot kopyt na drodze i próbowała myśleć o wszystkim, byle nie o Wolfie, ale jej wysiłki okazały się płonne. Jej świat ograniczył się do ciągnącej się przed nią długiej drogi i posuwającego się za jej plecami Wolfa.

Panna Meadowfield szła już przez trzy godziny, gdy Wolf uznał za stosowne zainterweniować. Z jej ust nie padło ani jedno słowo skargi, ani razu nie spojrzała w jego stronę, nawet kiedy zrobili krótki postój, aby napić konie. Ciężką futrzaną pelerynę przewiesiła przez ramię, policzki miała zarumienione z wysiłku, kilka ciemnych kosmyków wysunęło jej się spod czepka i widać było, że jest zmęczona.

Podjechał do niej i zagadnął:

- Panno Meadowfield, postawiła pani na swoim, więc teraz może pani pojechać ze mną, bez uszczerbku dla pani dumy.

Nawet na niego nie spojrzała, tylko szła dalej równym krokiem.

- Wolę iść na piechotę, panie Wolversley.

- Nie wątpię, ale musimy dotrzeć na miejsce następnego postoju, zanim zapadnie noc.

Dopiero wtedy na niego spojrzała. Na jej twarzy dostrzegł zmęczenie.

- Mogę iść prędzej - powiedziała, przyspieszając kroku.

Słyszając to, wysforował się do przodu i zablokował jej drogę.

- Dosyć się już pani dziś namaszerowała.

- Nie. - Odsunęła się.

Z jej oczu wyzierał strach.

Czy rzeczywiście był aż tak surowy, że budził w niej taki lęk?

- Panno Meadowfield - odezwał się łagodniejszym tonem.

- Nie! - Tym razem w jej głosie zabrzmiała wyraźna panika. - Chcę iść pieszo. Nie wsiądę na konia. Nie może mnie pan do tego zmusić!

Campbell i Kempster zatrzymali się i z zaciekawieniem przyglądali się ich dyskusji. Wolf zdawał sobie z tego sprawę, jednak całą jego uwagę pochłaniała stojąca przed nim kobieta.

- Wiemy oboje, że mogę - ostrzegł cicho.

- I ma pan taki zamiar? - wyszeptała, patrząc mu przenikliwie w oczy.

Widać było, że choć rozpaczliwie próbowała ukryć strach, poniosła sromotną klęskę.

Nagle jego ogier zarżał cicho i zwrócił łeb w jej stronę. Panna Meadowfield podskoczyła, jej twarz zrobiła się biała jak ściana. A więc, mimo że dwukrotnie na jego polecenie dosiadła klaczy, nie pomogło jej to pokonać lęku. Przymuszanie jej w tej chwili do jazdy wierzchem pogorszyłoby jeszcze sytuację.

- Nie - odparł, kręcąc głową.

- Więc pozwoli mi pan iść dalej na piechotę? - W jej orzechowych oczach odmalowało się niedowierzenie.

- Dzisiaj tak.

Pokiwała głową bez słowa.

Wolf zeskoczył z konia i ruszył w jej stronę. Spięła się, gotowa rzucić się ucieczki.

- Pani peleryna - powiedział, wyciągając rękę.

Podejrzliwość w jej wzroku przerodziła się w zdumienie.

Zawahała się, spojrzała na niego pytająco, a potem wręczyła mu okrycie.

- Dziękuję - powiedziała.

Zwinął jej pelerynę i wsunął do swojej sakwy.

- Dziękuję - powtórzyła, a on zrozumiał, że nie chodzi jej o pelerynę.

- Idziemy - rzucił szorstko, żeby sobie nie pomyślała, że zmiękł.

Stanął u jej boku i ujął lejce, aby poprowadzić ogiera. Rosalind zatrzymała się raptownie, zaniepokojona.

- Co pan robi?

- Sprawdzam, czy jest pani w stanie dotrzymać mi kroku - skłamał.

Spojrzała na niego niepewnie.

- Nie może pan robić tego, jadąc konno?

- Nie. - Nawet nie próbował ubarwiać kłamstwa.

Zagryzła wargi i skinęła głową, po czym wszyscy ruszyli w dalszą drogę.

Rosalind w milczeniu posuwała się naprzód, świadoma bliskości Wolfa.

I bez patrzenia na niego zdawała sobie sprawę, że szedł spokojnie, bez wysiłku, oddychając regularnie, najwyraźniej przyzwyczajony do długich marszów - nie tak jak ona. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego zdecydował się iść obok niej, zamiast jechać konno. W zasadzie powinna być na niego wściekła, przypomniała sobie jednak, że mógł

ją bez trudu zmusić do jazdy na swoim siwku. Czemu tego nie zrobił, pozostawało tajemnicą.

W pewnej chwili odważyła się zerknąć dyskretnie w jego stronę. Z profilu jego twarz była równie przystojna jak *en face*. Kroczył przed siebie ze wzrokiem wbitym w wijącą się aż po horyzont drogę. Pod sfatygowanym rondem skórzanego kapelusza jego włosy powiewały na wietrze. Przyjrzała się prostej linii jego nosa i policzkowi z jasną blizną, a potem wzrok jej prześlizgnął się po zdecydowanym podbródku, by spocząć na jego ustach, które po raz pierwszy nie były zaciśnięte w cynicznym grymasie. Mimowolnie nasunęło jej się pytanie, jak wyglądałby ze szczerym, radosnym uśmiechem.

Nieoczekiwanie Wolf odwrócił głowę i ich oczy się spotkały. Przyłapana na tym, że mu się przygląda, splonęła rumieńcem. Odwróciła szybko głowę, zdążyła jednak dostrzec jego przenikliwy wzrok. Przyspieszyła kroku i szła dalej, przez cały czas czując dziwne mrowienie po tej stronie, po której podążał obok niej Wolf.

Godziny mijały powoli, aż wreszcie ochłodziło się i ściemniło, a nad ich głowami zaczęły się zbierać chmury. Panna Meadowfield nadal maszerowała wytrwale. Wolf nigdy by nie przypuszczał, że okaże się tak wytrzymała.

Głowę wciąż trzymała wysoko, ale ramiona miała przygarbione i zwolniła kroku. Musiała być już bardzo znużona i pewnie obtarła sobie nogi. Wiedział to, bo sam miał już trochę dość, a przecież był przyzwyczajony do chodzenia i miał za sobą mniej godzin marszu.

Dosiadł konia i podjechał do Campbella i Kempstera.

- Penrith leży o milę stąd. Tam staniemy na nocleg.

- Trzeba ją było wziąć na siodło - stwierdził Kempster. - Straciliśmy mnóstwo czasu. Evedon będzie się wściekał, jak się spóźnimy.

Wolf spojrzał na niego ostro.

- Evedon dostanie ją w swoim czasie. Już ty się o to nie martw.

- Tak tylko powiedziałem - burknął Kempster.

- Lepiej nic nie mów, chłopcze - dorzucił Campbell z uśmiechem, który nie sięgał jego oczu.

- Pojedź przodem, do zajazdu „Pod Koroną”, i weź dla nas dwa pokoje. Masz! - Wolf rzucił Kempsterowi skórzaną sakiewkę.

Kempster, skinąwszy głową, wyjechał na środek drogi.

- I jeszcze jedno, Kempster - zawołał za nim Wolf, a gdy ten spojrział przez ramię, dodał: - Przeliczyłem pieniądze.

Kempster zacisnął usta, ale nie odezwał się, tylko spiął konia i odjechał. Gdy znalazł się poza zasięgiem głosu, Campbell powiedział:

- On ma rację.

- Owszem. - Wolf obejrzał się na idącą za nim pannę Meadowfield.

Twarz miała bladą i pokrytą kurzem, mimo to długo wytrzymała jego spojrzenie, zanim wreszcie odwróciła wzrok.

- Ukarales ją wystarczająco, Wolf. Wątpię, by po tym wszystkim chciała jeszcze raz spróbować ucieczki.

- To nie miała być żadna kara - obruszył się Wolf. - Za kogo ty mnie masz, Struan?

- Za człowieka nienawidzącego wszystkiego, co reprezentuje sobą panna Meadowfield.

Wolf westchnął ciężko.

- Z tym nie będę dyskutował, ale większą karą byłoby, gdybym jej kazał jechać ze mną w siodle.

Campbell zmarszczył brwi.

- Co ty wygadujesz? Zobaczysz, że jutro rano będzie cię o to błagać.

- Wręcz przeciwnie, Struan. Panna Meadowfield będzie wołała wlec się na czworakach, niż dosiąść mojego ogiera.

- Coś mi się zdaje, że nie przypadłeś jej do gustu. Ale dlaczego? - kpiącym tonem rzucił Campbell.

- Wczoraj klacz spłoszyła się podczas próby ucieczki i napędziła jej solidnego stracha. Dziewczyna nie chce się do tego przyznać, ale się boi i nie zna się na koniach. Sam to widziałeś. Przeraza ją myśl o dalszej jeździe.

- Ach, to dlatego była blada jak kreda, kiedy ją przyprowadziłeś. Z drugiej strony, przyjechała przecież z powrotem na tej klaczy.

- Tylko dlatego, że ją siłą posadziłem w siodle. Po takim wypadku to najlepsze lekarstwo, zazwyczaj pomaga pokonać strach.

- Tak, ale w przypadku panny Meadowfield okazało się zupełnie nieskuteczne.

- Masz rację, Struan.

- Dziewczyna ledwo się trzyma na nogach. Może po całodziennym marszu zmieni zdanie.

- Coś mi się nie wydaje... - stwierdził ponuro Wolf.

Będzie miała nauczkę, pomyślał bez przekonania. Była absolutnie zdecydowana iść dalej na piechotę. Biedacy robią to wprawdzie przez całe życie, ale panna Meadowfield nie była biedna. Nie musiała chodzić po wodę ani grzebać w śmietnikach, żeby znaleźć coś do jedzenia. Nie musiała też błąkać się po ulicach tylko dlatego, że nie miała dokąd pójść. Nie wiedziała, co to walka o przetrwanie. Czemu więc nie miałyby zakosztować takiego życia, jakie wiodła większa część społeczeństwa? Co w tym złego? A jednak poczekał, aż zrówna się z nim, zeskoczył z konia i znów pomaszerował obok niej.

Spojrzała na niego z ukosa, po czym odwróciła głowę, ale on zdążył już dostrzec jej bladość i znużony wzrok. Dopadły go wyrzuty sumienia.

- Jeszcze tylko mila - powiedział.

Skinęła bez słowa. Pewnie nie miała już nawet siły mówić.

Poszli dalej w milczeniu. Słyszeć było tylko ich kroki na drodze i stukot końskich kopyt. Wolf ani razu na nią nie spojrzał, mimo to świadomy był każdego jej oddechu, każdego niepewnego kroku na zakurzonej drodze, każdego rysu zmęczenia w postawie. I choć nadal stanowiła uosobienie wszystkiego, czego nauczone go nienawidzić, odkrył nagle, że w miarę jak pokonywali tę ostatnią milę, zaczyna jej w duchu sekundować.

Rosalind nigdy dotąd nie sądziła, że mila może być aż taka długa, mimo to zacisnęła zęby i nie zważając na ból, szła przed siebie. Podała się dopiero, gdy dotarli do zajazdu „Pod Koroną” i została sama w pokoju. Była taka zmęczona, że trudno jej było zebrać myśli. Łzy trysnęły jej z oczu i nie mogła ich powstrzymać. Nie potrafiła nawet powiedzieć, dlaczego płacze, czuła się tylko zbyt mała i słaba w obliczu tak ciężkiej próby.



Wolf przyjdzie po nią za chwilę, aby ją sprowadzić do publicznej jadalni. Przypomniała sobie, jak szedł obok niej, bez szyderstwa i gniewu w oczach. Odniosła nawet wrażenie, jakby chciał ją wesprzeć na duchu. Nie posadził jej też siłą na koniu i pozwolił iść dalej pieszo, jakby rozumiał jej opory. Dziwna sprawa, bo to przecież człowiek szorstki i okrutny, który szczerze jej nienawidzi.

Miał ją odwieźć do Evedona, sam się tego podjął. A jednak wszystko, co robił tego dnia, zdawało się przeczyć opinii, jaką sobie o nim wyrobiła. Ten dzień był inny, niż się spodziewała, a i Wolf także okazał się inny.

Była nieprzytomna ze zmęczenia, mimo to na łzy starczyło jej jeszcze sił. Chociaż w pokoju panował chłód i kominek był wygaszony, czuła, że ma rozpalone policzki. Nie zapalono jeszcze świec i wszystko tonęło w kojącym półmroku. Rosalind siedziała na łóżku, ocierając łzy brudnymi palcami. Na dnie świadomości kołatała jej myśl, że Wolf nie może jej zobaczyć w takim stanie. Łóżko było wąskie, a narzuty szorstkie i zniszczone. Mimo to wyciągnęła się na nich, jakby były z jedwabiu, aby ulżyć obolałym nogom. Dwie minutki. Tylko dwie minuty odpoczynku. Poduszka wydała jej się miękka jak puch, kiedy złożyła na niej głowę. Zamknęła oczy, mokre od słonych, gorących łez, i zanurzyła się w błogą ciemność.

Wolf pukał do drzwi panny Meadowfield z mieszanymi uczuciami. Musiał przyznać, że go tego dnia zaskoczyła. Widział jej strach, który tak rozpaczliwie starała się ukryć, i rozumiał, skąd brała się jej determinacja. Trzydzieści mil bez jednego słowa skargi. Incydent z kłaczą musiał ją przerazić bardziej, niż mógł przypuszczać. Przez całą drogę spojrzała na niego tylko raz... Przypomniał sobie rumieniec na jej bladych policzkach, kiedy przyłapał ją na tym, że mu się przygląda.

Z pokoju nie odezwał się żaden głos. Wolf poczekał chwilę pod drzwiami, a potem zapukał po raz drugi i zawołał Rosalind po imieniu. Żadnej odpowiedzi. Żadnego odgłosu czy ruchu. Jaką znów prowadziła z nim grę? Czy podczas tych kilku minut, kiedy zostawił ją samą, zdołała się wymknąć? A może go po prostu ignorowała, chcąc mu pokazać, gdzie jego miejsce? Na myśl o tym zawrzał gniewem i bez dalszych ceregieli jednym pchnięciem otworzył drzwi.

Rosalind Meadowfield leżała bezwładnie na łóżku, w przekrzywionym czepku i zakurzonym ubraniu. Na ten widok zdrętwiał ze strachu i w jednej sekundzie wyparował zeń cały gniew. Zanim się zorientował, był już przy niej, nachylał się nad nią, badał ją i nasłuchiwał. Dopiero kiedy usłyszał jej oddech, odetchnął z ulgą. Potem zobaczył ślady łez na zabrudzonej twarzy i serce mu się ścisnęło w poczuciu winy.

Gdy dotknął delikatnie jej rozpalonego policzka, poruszyła się przez sen, a potem otworzyła oczy i spojrzała na niego.

- Wolf... - Po raz pierwszy nie zwróciła się do niego per „panie Wolversley”. Jej znużony szept odebrał jak cios w samo serce.

- Przepraszam, ja... - wyszeptała i spróbowała usiąść, ale ją powstrzymał.

- Nie, dziewczyno. Odpocznij trochę. Każę ci przynieść tacę na górę. Tylko zjedz coś, zanim znów zaśniesz.

Kiwnęła głową, a gdy spojrzała mu w oczy, dostrzegł w nich ból i samotność, równe jego cierpieniom. Wtedy to, po raz pierwszy od wyjazdu z Londynu, w jego duszy zrodziły się wątpliwości.

Nazajutrz rano Rosalind obudziła się, kiedy ktoś dotknął jej ręki.

- Panno Meadowfield! - odezwał się męski głos, który od razu rozpoznała. - Panno Meadowfield!

Rozespana, otworzyła z trudem oczy. Miała wrażenie, jakby zamknęła je zaledwie przed minutą. Przez chwilę wydawało jej się, że znów jest w swoim łóżku, w domu Evedonów, ale zaraz sobie wszystko przypomniała i brzuch rozboleł ją ze strachu. Spojrzała w górę, w blade oczy Wolfa.

- Wolf...? - wychrypiała. Głowę miała ciężką od snu.

- Na komodzie jest ciepła woda. Jak będzie pani gotowa, proszę zejść na śniadanie. Czekamy w jadalni.

Tego ranka nie dostrzegła na jego twarzy nawet cienia szyderstwa czy pogardy, z jego głosu znikły też szorstkie nuty. Przypomniała sobie swój sen o Wolfie i jego delikatny, kojący dotyk. Teraz jednak to nie był sen, skąd więc ta nagła zmiana?

- Dziękuję - wyszeptała, patrząc mu w oczy. Bała się, że jeśli choć na moment oderwie od niego wzrok, ten dawny, groźny Wolf powróci.

- Ufam pani, panno Meadowfield - powiedział, po czym wstał i wyszedł.

Rosalind leżała jeszcze przez chwilę, słuchając jego coraz cichszych kroków. W uszach wciąż dźwięczały jej jego słowa: „Ufam pani, panno Meadowfield”. Gdy wzrok jej padł na drzwi, zrozumiała, co miał na myśli, bo po jego wyjściu nie usłyszała odgłosu klucza przekręcanego w zamku. Wstała z łóżka i wzdrygnęła się, gdy jej stopy dotknęły podłogi. Kiedy się nachyliła, aby je obejrzeć, zobaczyła krwawe rany w miejscach, gdzie skórzane buty zdarły jej skórę. Już poprzedniego dnia obtarła sobie boleśnie nogi, ale było to niczym w porównaniu z obecnym bólem.

Pokuśtykała do drzwi, które otworzyły się raptownie, ledwie chwyciła za klamkę. Usłyszała ciężkie kroki na schodach, więc je szybko zamknęła i oparła się o nie. A potem, wstrzymując oddech, czekała, czy aby Wolf nie wraca. Dopiero kiedy kroki ucichły, odważyła się odetchnąć. Na myśl o Wolfie poczuła lekki dreszczyk. Drzwi nie były wprawdzie zamknięte na klucz, jednak nie mogła uciec... przynajmniej na razie.

Z dworu dobiegło ją krakanie kruków, głośnie i złowieszcze w bladym świetle poranka. Rozejrzała się po ciasnej, nędznej izdebce. Jej wzrok spoczął na małym stoliku. Nie okazał się na szczęście zbyt ciężki, gdy barykadowała nim drzwi, chcąc sobie zapewnić bodaj odrobinę bezpieczeństwa.

Woda w porcelanowym dzbanku rzeczywiście była ciepła. Rosalind rozebrała się i drżąc z zimna, zaczęła zmywać z siebie całodzienny pot i kurz.

Na dole, w jadalni, pachniało śniadaniem - kawą, świeżym chlebem, smażoną szynką i jajkami. Wciąż jednak wyczuwało się słaby odór wieczornego piwa. Trzej mężczyźni siedzieli przy stole, popijając w milczeniu kawę.

W miarę upływu czasu wzrok Wolfa coraz częściej kierował się ku drzwiom w rogu sali, za którymi widać było dolną część schodów.

- Minęły trzy kwadransy, a jej ciągle nie ma - odezwał się Kempster. - Oj, coś nam się dziś ta panna Meadowfield podejrzanie grzebie.

Campbell mruknął coś ostrzegawczo i pociągnął łyk kawy.

Kempster udał jednak, że go nie słyszy, i dorzucił:

- Oczywiście, nie jest przyzwyczajona do ubierania się bez pomocy pokojówki.

Campbell wzdrygnął się i zerknął na Wolfa, który już wstawał od stołu.

- Daj spokój, Wolf. Dziewczyna będzie tu lada chwila.

Wolf spojrzał mu w oczy.

- Ona sobie z nas kpi, Struan. - Nie czekając na odpowiedź, ruszył do schodów.

Gdy dotarł pod drzwi pokoju panny Meadowfield, wszystko się w nim gotowało ze złości. Zaufał jej, a ona mu zagrała na nosie. Wystarczyło jedno spojrzenie tych orzechowych oczu, by zapomniał, o co w tym wszystkim chodzi. Doszło nawet do tego, że przez chwilę było mu jej żal! Jej, panny z wyższych sfer, wyrachowanej egoistki, gotowej zdeptać każdego, kto stanie jej na drodze. Czy ona miała choć odrobinę współczucia dla ludzi, których uważała za gorszych od siebie?

Zależało jej wyłącznie na opinii tak zwanego towarzystwa. Choć szlachetnie urodzona, nie miała w gruncie rzeczy pojęcia, co to szlachetność, udawała ją tylko, aby ukryć swoją prawdziwą naturę.

Wolf z całej duszy nienawidził wyższych sfer - zarówno mężczyzn, jak kobiet. A ponieważ panna Meadowfield była kobietą o oczach zdolnych urzec każdego mężczyznę, wydawało jej się, że może go sobie owinąć wokół małego paluszka. Niestety dał się nabrać na jej sztuczki i zmiękł, gdy tak naprawdę zasługiwała na to, co ją spotkało... albo i na coś gorszego.

Był tak wściekły, że nawet nie zapukał, tylko od razu chwycił za klamkę. Ustąpiła bez trudu, ale drzwi się nie otworzyły, jakby były czymś zastawione. Zaufał tej kobiecie, nie zamknął jej na klucz - i oto jak mu się odwdzięczyła! Rozsadzający go gniew przerodził się w furję - nie tylko na pannę Meadowfield, ale i na własną głupotę.

- Kto tam? - usłyszał nagle jej głos.

Nie odpowiedział, tylko całym ciężarem naparł na drzwi, które się uchyliły.

- Chwileczkę! - rozległ się głos panny Meadowfield z drugiego końca pokoju.

Nie poczekał, tylko znów pchnął. Coś ciężkiego upadło z hukiem na podłogę i drzwi otworzyły się na oścież.

Panna Meadowfield, kompletnie ubrana, stała przy łóżku. Wolf przekroczył próg i zamknąwszy za sobą drzwi, ruszył wolno w jej stronę.

## Rozdział szósty

Gdzie się podziała jego wcześniejsza łagodność, jego wyrozumiałość?

Rosalind zobaczyła zaciśnięte usta i oczy Wolfa, nie zimne już i srebrzyste, lecz mroczne jak gradowa chmura. Emanowało z niego niemal namacalne napięcie. Miał na sobie stare skórzane spodnie, znoszone wysokie buty, surdut włożony wprost na białą koszulę, bez kamizelki, na szyi chustkę. Stał na tle drzwi, wysoki i dobrze zbudowany, na lekko rozstawionych nogach, gotowy do ataku. Wojownik przed bitwą, pałający gniewem. Już sam jego widok zapowiadał kłopoty.

Rosalind cofnęła się, owładnięta chęcią ucieczki, a zarazem świadoma, że nie ma dokąd uciec, bo Wolf stoi pomiędzy nią a jedynym wyjściem.

- Jaki jest powód pańskiego zachowania? - zapytała, krzyżując ręce na piersi. - Nie musiał się pan przecież uciekać do przemocy - dodała, spoglądając wymownie na przewrócony stolik. - Wystarczyło zapukać.

Nie odpowiedział, tylko stał, patrząc na nią. Jego spokój wytrącał ją z równowagi, bo widziała w nim zapowiedź burzy. Żołądek ścisnął jej się ze strachu i zaschło jej w gardle.

- Zniszczył pan podłogę - powiedziała, wskazując na zarysowane deski. - Właściciel będzie zły... - Spojrzała na Wolfa i słowa zamarły jej na ustach. Nie patrzył ani na stolik, ani na podłogę, tylko wprost na nią, przeszywającym wzrokiem. Speszona, splotła szybko ręce, aby ukryć ich drżenie. - Panie Wolversley... - wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

Ruszył przez pokój tak szybko, że nawet nie zdążyła zareagować. Chciała się cofnąć, ale było już za późno, bo chwycił ją za ramiona i mocno przytrzymał.

- Trzy kwadranse! - powiedział złowieszczym szeptem. - Czterdzieści pięć minut!

- Jestem już prawie gotowa - odparła drżącym głosem.

- Prawie? - Uniósł z niedowierzaniem brwi. - Panno Meadowfield, stroi sobie pani ze mnie żarty? - Nachylił się tak blisko, że jego oddech łaskotał jej policzki. - A może chce mnie pani wypróbować? Sprawdzić, na ile może sobie pani pozwolić?

Potrząsnęła głową.

- Ależ nie, zapewniam pana.

- A jednak zrobiła to pani.

Co mogła mu na to powiedzieć? Z bijącym sercem czekała na jego kolejny krok.

- Kempster powiedział nam, że nie będzie pani gotowa w czterdzieści pięć minut, bo nie potrafi się pani ubrać bez pomocy pokojówki. Czy to prawda? - zapytał cicho.

- Oczywiście, że nie.

- Ale u Evedonów miała pani pokojówkę do pomocy?

Pomyślała, że nie ma sensu zaprzeczać, więc skinęła głową.

Usta Wolfa wykrzywił pogardliwy grymas.

- Mam, wobec tego, zastąpić pani pokojówkę?

- Nie! - wykrzyknęła z przerażeniem i chciała się odsunąć, ale trzymał ją zbyt mocno.

- Czterdzieści pięć minut - powtórzył. - I nadal nie jest pani gotowa?

- Jestem gotowa! - zaprzeczyła.

- Prawie. Tak pani powiedziała przed minutą.

- Pomyliłam się. Jestem gotowa - wyjąkała, czując na sobie jego przenikliwy spójrzenie.

- Czas najwyższy, aby nauczyła się pani sama ubierać.

- Ależ ja potrafię się sama ubrać. Nie potrzebuję ani pokojówki, ani pańskich nauk.

- Skoro tak, zechce mi pani łaskawie wyjaśnić, co zajęło pani aż tyle czasu, że musiałem pójść po panią na górę? A moje śniadanie tymczasem stygnie już pewnie na stole?

W odpowiedzi pokręciła głową i oblała się rumieńcem.

- Panno Meadowfield! - rzucił ostrzegawczym tonem. - Niech pani nie każe pytać się po raz drugi.

Zamknęła oczy, aby odciąć się od tego przesłuchania. Wolała narazić się na jego gniew, niż powiedzieć prawdę.

- Musiałam się umyć, doprowadzić włosy do porządku i oczyścić ubranie - odparła wyniosłym tonem. - Może pan nie wie, ale dama potrzebuje trochę czasu na toaletę.

- Och, doprawdy? - zapytał, mrużąc oczy. - Chyba sobie pani nie zdaje sprawy z powagi swego położenia, skoro mnie pani tak surowo beszta.

Spojrzała mu wyzywająco w oczy, choć wszystko się w niej trzęsło.

- Wręcz przeciwnie, panie Wolversley. Doskonale rozumiem swoją sytuację i wiem, do czego to wszystko zmierza.

- Obawiam się, że nie, panienko. - Przysunął się bliżej, a jego oczy miały błyskawice.

Serce zatrzepotało jej w piersi. Zebrała całą swoją odwagę i powiedziała:

- Rzeczywiście, za długo szykowałam się tego ranka. Chce mnie pan za to zbić?

- Nigdy w życiu nie podniosłem ręki na kobietę.

- No to czego pan chce? Mam błagać o przebaczenie?

- Możemy od tego zacząć - rzucił sucho.

W tej chwili była już taka zła, że miała ochotę się kłócić, ale rozsądek nakazywał jej dokończyć sprawę.

- Zechce mi pan wybaczyć - powiedziała tonem, w którym nie było cienia skruchy.

- Przepraszam za opóźnienie spowodowane moją toaletą.

Spojrzał na nią bez przekonania, ale skinął głową. Odwróciła się, on jednak ujął ją za podbródek i zwrócił ku sobie jej twarz.

- Nie jest przyjemnie, kiedy człowieka traktują z góry, prawda? Niech pani to sobie zapamięta na przyszłość, panno Meadowfield, kiedy będzie pani pomiatać jakąś biedną pokojówką.

Żachnęła się, urażona. Za kogo on ją uważał?

- Źle mnie pan ocenia, panie Wolversley.

- Ależ nie, panienko, ja doskonale znam ten typ. Wiem, jak przywykliście traktować ludzi gorzej urodzonych od siebie. Wszyscy jesteście tacy sami.

- Pan mnie w ogóle nie zna - obruszyła się, bo zabolą ją te oskarżenia.

- Znam panią lepiej, niż się pani wydaje. - W jego cichym głosie zadźwięczała lodowata nuta. - A teraz proszę włożyć buty i idziemy. Powinniśmy już od dawna być w drodze. - Puścił ją tak nagle, że się zachwiała, lecz gdy wyciągnął rękę, by ją podtrzymać, odskoczyła jak oparzona.

Czekał więc, nie ruszając się z miejsca.

Buty Rosalind stały obok siebie przy stoliku nocnym, na nich leżały jej zrolowane pończochy oraz podwiązki. Jedną stopę miała owiniętą prowizorycznym bandażem, a drugą opatrzoną tylko częściowo. Nie chciała jednak, aby Wolf to zobaczył.

- Byłby pan łaskaw nie patrzeć? Moje pończochy... - Zagryzła wargi i oblała się purpurowym rumieńcem, a potem spojrzała mu w oczy.

Wolfowi nawet nie drgnęła powieka.

- Proszę je włożyć, panno Meadowfield, albo zrobię to za panią.

Jakie miała wyjście? Usiadła na łóżku, po czym przysunęła buty wraz z pończochami i pod osłoną spódnicy spróbowała naciągnąć pończochę, zaciskając zęby z bólu.

Niestety, Wolf zauważył pasek białego materiału wystający spod sukni. Od razu się domyślił, co to takiego. Nachylił się, chwycił Rosalind za lewą kostkę i odsunął nieco spódnice, odsłaniając nagą prawdę. Ach, to dlatego tak długo szykowała się tego ranka! Prowizoryczny opatrunek tylko częściowo zakrywał stopę, której nie skończyła jeszcze bandażować. Odślonięte palce stóp i pięta przedstawiały widok tak rozpaczliwy, że serce mu się ścisnęło. Skórę miała obtartą do krwi i świeże pęcherze. Gdy podciągnął jeszcze wyżej jej spódnice, wyłoniła się obandażowana prawa stopa oraz wystrzępiony dół halki.

- Trzeba mi było powiedzieć - rzucił może nazbyt szorstko, ale był zły na siebie, że tak niesprawiedliwie ją ocenił.

Rosalind wyszarpnęła stopę i wygładziła spódnice.

- To nie pańskie zmartwienie. - W jej oczach błysnął gniew, zanim się odwróciła i trzęsącymi się rękami zaczęła nakładać but, krzywiąc się z bólu.

Gdy chwycił ją za rękę, zachnęła się.

- Jak pan śmie?! Nie ma pan prawa mnie dotykać!

- Już o tym mówiliśmy - powiedział, spoglądając jej w oczy - ale przypominam raz jeszcze, bo odnoszę wrażenie, że zdążyła pani zapomnieć. Dopóki nie dotrzemy do Londynu, jest pani całkowicie i bez reszty pod moją kontrolą.

Spojrzała na niego z furją. Serce biło jej jak szalone i czuła mrowienie kostki w tych miejscach, których dotykał.



- Zdarła pani podeszwy - stwierdził rzeczowym tonem, oglądając od spodu jej dziurawy but.

- Jak już mówiłam, to nie pańskie zmartwienie.

- Widzę, że pani nadal nic nie rozumie. Co mam zrobić, żeby pani wreszcie pojęła? Rosalind serce omal nie wyrwało się z piersi, żołądek miała ściśnięty ze strachu.

- Panie Wolversley - wychrypiła, bo w gardle jej zaschło.

On tymczasem chwycił ją znowu za rękę. Poczowała uścisk jego ciepłych palców.

- Powie mi pani, kiedy coś takiego znów się pani przydarzy. - Nie zabrzmiało to wcale jak pytanie, lecz jak rozkaz.

- Jakie to ma znaczenie, skoro wiezie mnie pan do Evedona? Czemu się pan tak przejmuje paroma pęcherzami na moich stopach?

Milczał przez chwilę, by w końcu odpowiedzieć:

- Evedon chce panią dostać zdrową i całą. - Wyłącznie dlatego, nie ma żadnych innych powodów, pomyślał z irytacją, choć na wspomnienie jej poranionych stóp ścisnęło mu się serce.

Rosalind tymczasem spróbowała się wyrwać, ale on ujął ją jeszcze mocniej i poczekał, aż się uspokoi.

- Panno Meadowfield - powiedział już łagodniej.

Gdy spojrzał jej w oczy, zobaczył w nich mieszaninę wstydu, gniewu i strachu. - Dwa cienkie opatrunki lepiej ochronią otarte miejsca i będą mocniej trzymać stopę. Zbyt gruby bandaż sprawi, że buty zrobią się za ciasne i będą panią jeszcze bardziej obcierać. - Mówił to rzeczowym, beznamiętnym tonem, jakby nie klęczał na podłodze, trzymając ją za rękę i oglądając jej gołe stopy.

Rosalind patrzyła na niego wzrokiem zaszczutego zwierzęcia. Puścił ją więc i ująwszy jej lewą stopę, zaczął odwijać bandaż.

- Proszę pana! Co pan robi! - Jej szeroko otwarte oczy były w świetle dziennym zielone, w złote cętki.

- Opatruję pani stopę tak, aby mogła pani iść w miarę wygodnie i wytrzymać przez cały dzień.

- Ale...! - Czerwona jak burak, wyszarpnęła nogę.

- Jak będzie się pani tak straszliwie opierać, pod koniec dnia nie zrobi pani kroku - ostrzegł. - Jest mi wszystko jedno, kto będzie musiał panią nieść, ja, Campbell czy Kempster, ale nie możemy się spóźnić.

- Nie może mnie pan nieść - szepnęła oburzona.

- Niby dlaczego?

Zapadła cisza.

- A zatem jak będzie, panno Meadowfield? Mam zawiązać pani stopę czy nie?

Przełknęła ślinę, wzięła głęboki oddech i ze wzrokiem wbitym w róg pokoju powiedziała:

- Dobrze, panie Wolversley.

Jak na człowieka tak porywczego i szorstkiego, Wolf okazał się niezwykle delikatny. Jego wprawne ręce szybko uporały się z bandażem, który tak długo zakładała. Obejrzał potem jej biedne stopy i założył świeży opatrunek. Jego dotyk przynosił jej ukojenie. A przecież nie powinna tak tego odbierać. Powinna się modlić o koniec swojej udręki. Co w nią wstąpiło, że jego dotyk koił, a zarazem sprawiał jej przyjemność? Czowała, że nie powinna na niego patrzeć, ale nie mogła się powstrzymać i spojrzała na silne ręce, opatrujące jej stopy.

Jego opalone palce wydawały się śniade w porównaniu z jej bladymi stopami, skóra szorstka w zetknięciu z jej gładką skórą, a paznokcie, jak na tyle dni w drodze, krótkie i czyste. Opatrzył jej jedną stopę, potem drugą, delikatnie, a zarazem niezwykle sprawnie. Najwyraźniej znał się na rzeczy. Gdy wreszcie zabezpieczył koniec bandaża i myślała, że już po wszystkim, sięgnął po jej pończochę.

Rosalind oblała się zaniem. Czowała, że powinna cofnąć nogę, ale była jak w transie. Siedziała, nieruchoma jak posąg, ze stopą w jego dłoni, i z biciem serca czekała, co teraz nastąpi. Wolf tymczasem nasunął jej delikatnie pończochę, tak aby nie przemieścić opatrunku, a potem się zawahał. Gdy znów na niego zerknęła, zobaczyła, że wzrok ma wlepiony w jej kostkę. Był spięty, to także dało się wyczuć - a potem nagle uniósł głowę i spojrzał na nią.

Oczy miał rozmarzone i szare jak dym, nie dostrzegła już w nich ani gniewu, ani pogardy czy szyderstwa, lecz coś, czego nigdy dotąd nie widziała we wzroku żadnego

mężczyzny. Miała wrażenie, jakby coś się w niej otwierało i budziły się jakieś nieznane pragnienia. Przelotne muśnięcie jego palców odebrała niby pieszczotę. Wpatrywała się w niego jak urzeczona, jakby świat wokół nich przestał istnieć i było już tylko ich dwoje.

Siedziała jak skamieniała. Serce biło jej jak szalone, krew pulsowała w żyłach. Każdym nerwem reagowała na bliskość Wolfa, na jego dotyk.

On tymczasem przysunął się jeszcze bliżej. Jęknęła, gdy dotknął jej łydki, wychyliła się ku niemu i poczuła na policzku jego gorący oddech.

- Wolf - wyszeptała, i widząc, jak zbliża usta do jej ust, zamknęła oczy.

Nabrzmiałą ciszę przerwało głośnie pukanie do drzwi.

Rosalind odsunęła się, przerażona. Czar prysł.

Klamka poruszyła się i w drzwiach stanął Pete Kempster. Wolf zdążył się już jednak poderwać z klęczek i stanął naprzeciw niego, zasłaniając częściowo widok.

- Wszystko w porządku, panie Wolversley? - Kempster przeniósł wzrok z Wolfa na Rosalind. - Śniadanie czeka na stole. Campbell kazał mi pójść po pana.

- Już schodzimy - rzekł Wolf.

Kempster zawahał się i spojrzał pytająco na Rosalind.

- Kempster! - W głosie Wolfa zabrzmiało ostrzeżenie. Rosalind nie widziała wprawdzie jego twarzy, ale musiał mieć groźną minę, bo Kempster obrócił się na pięcie i pospiesznie wyszedł.

Rosalind i Wolf znów zostali sami. Kroki Kempstera umilkły i zapadła cisza.

Rosalind nie wiedziała, co robić, co powiedzieć, Nie wiedziała nawet, co myśleć. Tak niewiele brakowało, a doszłoby między nimi do... Nie, to chyba niemożliwe...

Wolf odwrócił się, równie oszołomiony jak ona, ale zaraz się opanował.

- Panno Meadowfield, proszę włożyć pończochy i buty - rzucił sucho, po czym stanął przy drzwiach, ze wzrokiem wbitym w przeciwległą ścianę.

Wykonała jego polecenie, czerwona z zażenowania, a potem zeszli razem na dół, do jadalni. Przez całą drogę nie odzywali się i nie patrzyli na siebie, udając, że nic się nie stało. Oboje zdawali sobie jednak sprawę z tego, że nie będzie już między nimi tak jak dawniej.

Gdy schodzili po schodach, Rosalind myślała już tylko o Wolfie i o potędzie tego, co ich przed chwilą połączyło.

W jadalni Wolf nie usiadł ze wszystkimi przy stole.

- Przygotuję konie i zapytam, czy mogą nam sprzedać trochę chleba i sera na drogę. Już i tak zmarnowaliśmy dziś dosyć czasu. - Po tych słowach odwrócił się i wyszedł z sali, trzaskając drzwiami.

Zatrzymał się dopiero w stajni, przy boksie swojego ogiera.

Co to takiego było, do cholery? Poszedł na górę wyłącznie w tym celu, aby ostrzec pannę Meadowfield, że nie pozwoli robić z siebie durnia. A skończyło się tak, że pieścił na klęczkach jej gołe nogi. Gdyby Kempster pojawił się parę minut później, kto wie, do czego by doszło. To pewne, że do pocałunków, a może nawet do czegoś więcej... Wstrząśnięty, złapał się za głowę. Sam nie mógł w to uwierzyć.

Jaki diabeł go opętał? Przecież ona uosabiała wszystko, czym pogardzał i czego nienawidził! Wiodła próżniacze, uprzywilejowane życie. Pieniądze i opinia tak zwanego towarzystwa - oto na czym jej zależało. Rozzuchwiała się do tego stopnia, że okradła swoją pryncypałkę i myślała, że ujdzie jej to na sucho. Czy nie tak właśnie postępują ludzie z jej sfery? Biorą, na co mają ochotę, i to bez zastanowienia, bo wiedzą, że nie poniosą żadnych konsekwencji. Za to właśnie tak ich nienawidził, podobnie jak panny Meadowfield, która była przecież jedną z nich.

Nienawidził jej, a mimo to przed chwilą, w pokoju na górze, uzmysłowił sobie, że jej pragnie. Widocznie za długo nie miał kochanki. No bo jaka może być inna przyczyna? Cokolwiek by mówić, panna Rosalind Meadowfield to młoda i atrakcyjna kobieta, a on jest tylko mężczyzną. Mężczyzną, który powinien obchodzić z daleka kobiety jej pokroju. Jak to możliwe, że okazał się aż takim głupcem?

- Wszystko w porządku? - Campbell stanął na progu stajni.

- Tak - burknął Wolf, otwierając boks.

- Nie zjadłeś śniadania.

- Nie jestem głodny. - Wolf zaczął dopinać popręg.

Campbell spojrział na niego bez przekonania.

- Powiedziałaś jej, że nie można tu wynająć konia?

- Jeszcze nie zdążyłem.

Campbell uniósł sceptycznie brwi.

- A co ona mówi na temat swojej nieudanej ucieczki?

- Nic. - Wolf znów skupił się na popręgu.

- Więc rozmawialiście o jej trzydziestomilowym spacerze?

- Coś w tym rodzaju - mruknął Wolf, nie patrząc na Campbella.

- I dziewczyna będzie dziś znowu maszerować na piechotę?

- Raczej nie, bo poobcierała sobie nogi do krwi.

- Przyznała ci się? - wypytywał go dalej Campbell.

Wolf puścił mimo uszu jego pytanie.

- Pojedzie w siodle, bo tak jej każe.

- Wezmę wobec tego twój bagaż. Będziesz miał trochę więcej miejsca dla panny Meadowfield.

- Ja wezmę bagaże, a ona może pojechać z tobą albo z Kempsterem. - Po tym, co wydarzyło się w pokoju na górze, Wolf nie chciał już ryzykować.

Zapadła cisza. Campbell zaczął siodłać swojego konia.

- Wedle rozkazu, panie poruczniku - powiedział, spoglądając wymownie na Wolfa.  
- Spędziłeś w jej pokoju dosyć dużo czasu... - zawiesił znacząco głos.

Wolf, który dobrze znał ten ton, przeszył Campbella karcącym spojrzeniem.

- Co ten Kempster tak się grzebie? Musimy już jechać. Im prędzej prześlemy Rosalind Meadowfield w ręce Evedona, tym lepiej - stwierdził, po czym znów odwrócił się do konia. Z tego też powodu nie zauważył domyślnego uśmiechu Campbella.

Rosalind popijała wolno kawę, ale nie potrafiła zmusić się do zjedzenia smażonej potrawy, jaką podano jej na talerzu. Kubek parzył jej palce, była jednak zadowolona, mając coś, na czym mogła skupić uwagę. Choć siedziała ze wzrokiem wbitym w stół, czuła, że Kempster jej się przygląda i jest wyraźnie skwaszony.

Zaledwie kilka chwil wcześniej Wolf dotykał jej obnażonej łydki. Patrzył przy tym na nią tak dziwnie... W jego wzroku nie było dawnego szyderstwa czy gniewu... Na moment zapomniała nawet, że jej nienawidzi i że miał ją odwieźć do Evedona. Powinna była odepchnąć jego ręce i dać mu w twarz, powiedzieć bez ogródek, że nie należy do

kobiet tego rodzaju. Ona tymczasem zachowała się jak ladacznica - nie tylko pozwoliła się dotykać, ale go ośmielała, czekając na pocałunek. Co za szczęście, że Kempster im przerwał, bo by się jeszcze bardziej wygłupiła.

Na to wspomnienie poczerwieniała i omal nie popłakała się ze wstydu. Nie potrafiła powiedzieć, dlaczego zachowała się tak skandalicznie, a tym bardziej nie umiała dopatrzeć się w tym jakiejś logiki. Przecież nawet nie lubiła Wolfa. Szczerze mówiąc, nie cierpiała go za to, że uniemożliwił jej rozpoczęcie nowego, niezależnego życia. Także za jego gniew oraz uczucia, jakie w niej obudził. A jeszcze bardziej nie znosiła samej siebie za to, co zrobiła przed chwilą. Wolf także tego żałował - to dlatego opuścił z hukiem jadalnię, nie tykając śniadania.

Jeszcze jeden łyk kawy i była już na tyle spokojna, że mogła chłodnym okiem spojrzeć na swoją sytuację. Znajdowała się daleko od domu i od przyjaciół, otoczona przez wrogów. Nogi miała poobcierane do krwi i Wolf słusznie przewidywał, że bez opatrunku ich stan jeszcze się pogorszy. Mimo to nie życzyła sobie, aby ktokolwiek ją niósł. Czyli nie miała innego wyjścia, jak tylko pozwolić mu, aby opatrzył jej stopy. Temu zaś, co wydarzyło się później, winne było zaskoczenie. Wolf, tak dotąd szorstki i opryskliwy, rozbroił ją swoją niespodziewaną łagodnością, a nerwy i zmęczenie dokonały reszty.

Za chwilę będzie musiała dosiąść konia i jechać przez cały dzień za Wolfem. Myśl, że znów stanie z nim oko w oko, przerażała ją, ale trzeba będzie to zrobić. Od tego nie da się, niestety, uciec. Odstawiła kubek, zdumiona, że ręce wcale jej się nie trzęsą. Gra toczy się o rzeczy ważniejsze niż fochy jej czy Wolfa. Mówiąc jasno, jeżeli nie ucieknie, to już po niej. Taka jest prawda.

Z tych niewesołych rozmyślań wyrwał ją Kempster, który wstał od stołu i wskazując na drzwi, powiedział sarkastycznym tonem:

- Proszę przodem, panno Meadowfield.

Wzięła głęboki oddech, wyprostowała się i wyszła z jadalni na dwór... i do Wolfa.

## Rozdział siódmy

Gdy dotarli do stajni, gdzie czekały te same trzy konie, Rosalind lekko się zaniepokoiła.

- A gdzie koń, który zastąpi moją klacz? - zapytała i zobaczyła, że Campbell spojrział dziwnie na Wolfa.

Coś było wyraźnie nie tak. W jej duszy zrodziły się straszne podejrzenia.

- Nie ma żadnego zmiennika - odparł szorstko Wolf, zsuwając z czoła sfatygowany kapelusz. - W tym miasteczku nie trzymają koni na wynajem.

- A co z powozami? Moglibyśmy wynająć powóz - wyrwało jej się, zanim zdążyła ugryźć się w język.

- Tutaj? - Kempster parsknął śmiechem. - Chyba pani żartuje!

- Więc poczekamy tu, aż znajdzie się jakiś koń? - Popatrzyła na siwego ogiera, zobaczyła swoją torbę przytroczoną do siodła Wolfa i знаła już odpowiedź. Na myśl o jeździe wierzchem z którymś z tych mężczyzn ogarnęło ją przerażenie.

- Nie, nie będziemy czekać - rzucił sucho Wolf.

Zaczęła się cofać, ale przygwoździł ją wzrokiem.

- Nie może pani iść pieszo - powiedział, po czym dosiadł konia.

Potrząsnęła głową. Wszystko się w niej trzęsło ze strachu.

- Właśnie, że mogę. Nie jest wcale tak źle z moimi nogami - upierała się, choć wiedziała, że to nieprawda.

- Pojedzie pani z Kempsterem - zakomenderował, patrząc na nią chmurnym wzrokiem.

Gdzie się podział ten łagodny mężczyzna, który tak troskliwie opatrywał jej stopy?

Kątem oka dostrzegła, że Kempster uśmiecha się pod nosem.

Spróbowała stłumić ogarniającą ją panikę, wyprostowała się i spojrzała hardo na Wolfa. Niech go diabli! Nie będzie go błagać! Na myśl o tym, że pozwoliła mu się dotykać i prawie pocałować, zawrzała gniewem i poczuła przypływ odwagi. Nie pozwoli odebrać sobie godności, nie da podeptać swojej dumy. Z uniesioną głową podeszła do Kempstera i pozwoliła podsadzić się na konia.

Wolf widział, jak Rosalind siedzi sztywno w siodle Kempstera, wpatrzona w jakiś odległy punkt. Kolory znikły z jej twarzy, która w obramowaniu ciemnych włosów wydawała się teraz blada jak kreda. Widział, że się boi, choć tak bardzo starała się to ukryć, i na moment ogarnęło go szaleńcze pragnienie, aby ją posadzić przed sobą w siodle i zamknąć w bezpiecznym uścisku. Przypomniawszy sobie, jak dotykał jej obnażonych nóg, a także jak niewiele brakowało, a byłby dotknął jej ust. Zachnął się w duchu. Przecież to szlachcianka, snobka i złodziejka, której się wydawało, że jest ponad prawem. Odwrócił wzrok i ustawił się tak, aby na nią nie patrzeć. Za sobą słyszał jedynie tętent kopyt na gościńcu. I znów, wbrew wszelkiej logice, obudziły się w nim wyrzuty sumienia.

Słońce zaczynało przygrzewać, śpiewały ptaki i zapowiadał się piękny dzień, ale Rosalind nie zwracała na to uwagi, skupiona wyłącznie na tym, aby utrzymać się w siodle, nie dotykając Kempstera. Siodło było zbyt małe jak na dwie osoby, więc choć próbowała się odsunąć, wciąż ocierała się o jego nogę. Odgniotła też sobie lewe biodro, bo zbyt mocno trzymała się lęku.

Gdy koń puścił się truchtem, niewiele brakowało, a byłaby się przytuliła do Kempstera. Przed nimi jechali, rozmawiając, Campbell i Wolf. Wiatr przyniósł cichy szmer ich głosów.

Mimowolnie obejrzała się i zobaczyła, że Kempster jej się przygląda. Kiedy ich oczy się spotkały, uśmiechnął się, co jej bynajmniej nie uspokoiło.

Pete Kempster uchodził w Evedon House za bardzo przystojnego. Miał ciemne włosy, jasną cerą i oczy błękitne jak niezabudki. Swym łobuzerskim wdziękiem podbijał wszystkie kobiety i nawet wiekowa lady Evedon miała do niego pewną słabość.

- Trzeba przyznać, że nie zasypia pani gruszek w popiele, panno Meadowfield - szepnął jej do ucha.

- Nie wiem, o co panu chodzi, panie Kempster.

- Czyżby? - zapytał z uśmiechem. - O panią i Wolfa. Myśli pani, że jak się pani z nim prześpi, to puści panią wolno?

- Co takiego?! - Odwróciła się, zaszokowana. - Jak pan śmie!



- I kto to mówi? - Znów się uśmiechnęła, jakby nigdy nic. - Zapomniała pani, że widziałem, co się działo w pokoju na górze?

- Widział pan tylko, jak pan Wolversley opatrywał mi nogi - powiedziała wyniosłym tonem. - Po wczorajszym marszu porobiły mi się pęcherze. A on mi po prostu pomagał, nic więcej.

- Pomagał... Dobre sobie!

Rosalind poczuła, że twarz jej płonie, odwróciła się więc, zdecydowana zignorować jego chamskie aluzje, ale on ciągnął dalej, niezrażony:

- Robię to, że tak powiem, z czystej przyjaźni, panno Meadowfield.

Spojrzała przez ramię.

- Więc pod pozorem przyjaźni mówi pan do mnie takie straszne rzeczy?

- A z jakiego innego powodu? - odparł, spoglądając na nią z taką powagą, że prawie mu uwierzyła. - Ja tylko próbuję panią ostrzec, że bez względu na to, co Wolf pani obiecuje, i tak wyda panią w ręce Evedona. Suma, jaką jego lordowska mość wyznaczył za pani głowę, jest tego najlepszym gwarantem. A Wolf, jeśli tylko mu pani na to pozwoli, będzie mógł zjeść ciastko i mieć ciastko. Rozumie pani, o co mi chodzi?

- Jeżeli pan podejrzewa, że jest coś pomiędzy mną a panem Wolversleyem, to się pan grubo myli.

- Jest pani złodziejką, panno Meadowfield - powiedział ze spokojem Kempster - a on żyje z tego, że łapie złodziei. I nic tego nie zmieni - dorzucił z naciskiem.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, panie Kempster. Nie musi mi pan przypominać.

- Nie byłbym tego wcale taki pewny. Pani zdaje się nie rozumieć, kto jest pani przyjacielem, a kto wrogiem... - Urwał. - Weźmy choćby Evedon House. Pani zawsze trzymała się z daleka od reszty z nas. Lekceważyła pani tych wszystkich, co chcieli panią obdarzyć przyjaźnią. Niektórzy nawet byli zdania - oczywiście nie ja - że uważa się pani za coś lepszego.

- To nie tak. Jako dama do towarzystwa lady Evedon nie mogłam... - Urwała, bo nagle zdała sobie sprawę, że człowiek taki jak Kempster nigdy nie zrozumie, jak to jest być uwięzionym pomiędzy dwoma światami. Nie należała ani do służby, ani do rodziny,

nie miała własnego miejsca i zawsze była obca. Poza tym jak mogła się z kimś zaprzyjaźnić, skoro miała tyle do ukrycia? Gdyby wyszła na jaw prawda o jej ojcu, straciłaby swoją pozycję. Ale teraz to już bez znaczenia...

- Czego pani nie mogła?

- Nieważne.

Kempster przyjrzał jej się uważnie.

- Teraz już chyba tak, skoro została pani złodziejką.

Trafił w sedno. Odwróciła wzrok, bo ubodły ją jego słowa.

Czas mijał, aż wreszcie wyjechali na główną drogę i Kempster spiął konia do cwału. Wystraszona, chwyciła go za połę surduta. Serce waliło jej głucho ze strachu.

Ramię Kempstera zakradło się do jej talii i objęło ją, a jego dłoń rozgościła się na jej lewym udzie.

- W ten sposób będzie pani bezpieczna, panno Meadowfield. Przecież nie chcemy, żeby pani spadła z konia, prawda?

Nie odpowiedziała, udając, że nie rozumie sensu jego aluzji.

- Nie trzeba się krępować, panienko. Niech się pani mocno mnie trzyma. Nie mam nic przeciwko temu.

Poczuła, że się do niej przysuwa. Ścisnął ją teraz tak, że jego palce wpijały jej się w udo.

- Panie Kempster! - Chociaż koń biegł szybko, spróbowała odsunąć się w siodle.

- Mnie nie musi się pani wstydzić, panno Meadowfield. Znam przecież pani małą tajemnicę.

Rosalind przeraziła się jeszcze bardziej. Czyżby Kempster znał prawdę o jej ojcu? Wiedział, kim była?

- Moją małą tajemnicę? Niby jaką?

- Że się pani boi koni. A ma pani jeszcze jakieś inne?

Odetchnęła z ulgą.

- Nie mam żadnych sekretów - skłamała gładko. - A pan się myli w swoich podejrzeniach, że boję się koni. - Odwróciła się, żeby nie mógł wyczytać z jej twarzy, że kłamie.

Kempster puścił ją nagle i cofnął ramię. Zachwiała się i odruchowo go objęła, przysuwając się bliżej.

- Mylę się, tak? - Jego twarz była teraz tuż przy jej twarzy.

Czuła na policzku jego oddech i mogła widzieć z bliska jego błękitne oczy.

Zacisnęła powieki, żeby się choć w taki sposób od niego odizolować, ale puścić go nie mogła, bo spadłaby z konia.

- Może pościgamy się z Wolfem i Campbellem? - wyszeptał jej do ucha słodkim tonem, który klócił się z okrucieństwem jego słów. - Zmusimy tego wałacha do galopu? Jest szybki i narowisty. Kto wie, co może się stać, gdybym tak...

- Nie! - Przywarła do niego kurczowo.

- A więc przyznaje się pani, że boi się koni? - powiedział miękkim, pieszczotliwym tonem.

Nawet teraz nie zamierzała się przyznać.

- Ja...

Kempster spiął konia, zmuszając go do szybszego biegu. Rosalind poczuła, że już dłużej tego nie zniesie.

- Nie! Proszę!

- Czemu nie?

Potrząsnęła głową. Słowa nie chciały jej przejść przez usta.

Koń przyspieszył i pogalopował, przeganiając Wolfa i Campbella.

Kempster przytknął usta do ucha Rosalind.

- No, słucham?

- Boję się koni! - wykrzyknęła i nagle usłyszała tuż za plecami tętent kopyt i gniewny głos Wolfa:

- Kempster, zatrzymaj się!

Kempster szarpnął wodze i koń natychmiast zwolnił.

- Boję się koni - powtórzyła Rosalind, tym razem cicho, i sama już nie wiedziała, czy powiedziała to do siebie, do Wolfa czy do Kempstera. Czuła jedynie ból i upokorzenie.

- No i co? Nie było to takie trudne, prawda? - powiedział spokojnie Kempster, jakby nic się nie stało.

- Kempster! - warknął ostrzegawczo Wolf.

Rosalind nie patrzyła ani na Wolfa, ani na Kempstera.

Jedną ręką wciąż trzymała się Kempstera, a drugą ścisnęła z całej siły łąk siodła.

- Niedobrze mi, chyba będę wymiotować - wykrztusiła i spróbowała oddychać głęboko, aby powstrzymać mdłości. Nie była nawet w stanie się odwrócić.

To, że Wolf zsiadł z konia, dotarło do niej, dopiero kiedy stanął przed nią i pomógł jej zeskoczyć z siodła. Było jej tak niedobrze, że ledwie dotknęła ziemi, popędziła w stronę głógów rosnących wzdłuż drogi, nie zważając na ból poranionych stóp. Gdy znalazła się za zasłoną krzaków, zgięła się w pół i spróbowała zwymiotować, ale bez skutku. Weszła dalej w las i oparła się o drzewo, bo zakręciło jej się w głowie.

Po chwili usłyszała, jak ktoś przedziera się jej śladem przez zarośla. Nie musiała się nawet odwracać, żeby wiedzieć, że to Wolf.

Zanim do niej doszedł, zdążyła się już osunąć na kolana. Choć nie spojrzała w górę, rozpoznała go po skórzanych butach.

Bez słowa postawił przed nią srebrną piersiówkę, ale nawet wtedy nie podniosła głowy. Nie chciała, żeby ją widział w takim stanie: kompletnie wyczerpaną z sił i zrezygnowaną.

- Napij się - powiedział - i odpocznij trochę, to zaraz poczujesz się lepiej. Tam dalej jest strumyk, gdybyś chciała obmyć twarz i ręce.

Po tych słowach odszedł. Rosalind słyszała nikiący szelest, gdy jego buty wydeptywały ścieżkę wśród traw i dzwonek.

Wokół ćwierkały wróble i gdzieś z daleka dobiegało nawoływanie strzyżyka. W górze liście szeleściły na wietrze i gdy Rosalind podniosła głowę, zobaczyła gałęzie obsypane białym kwieciem. Na niebie, które miało odcień bladego błękitu, świeciło promienne słońce. Było tak cicho i spokojnie, w powietrzu czuć było wiosnę. Rosalind wstała, zabrała piersiówkę i poszła w dół zbocza porośniętego ciemnoniliowymi dzwonekami. U jego stóp płynął strumień, o którym mówił Wolf. Przykucnęła nad brzegiem i odstawiła piersiówkę, po czym obmyła twarz i ręce i wytarła się chusteczką

do nosa. Zimna woda orzeźwiła ją i przestało ją mdlić, a jednak na samą myśl o dalszej jeździe z Kempsterem mdłości gotowe były powrócić. Rosalind zdawała sobie z tego sprawę, dlatego zdecydowanie odrzuciła ten wariant.

Piersiówka wciąż stała obok niej, na ziemi. Gdy ją podniosła, zobaczyła wygrawerowany napis: *Porucznik Will Wolversley, 26 Pułk Piechoty*. Zatem Wolf był w armii porucznikiem! Odkrycie tym bardziej zaskakujące, że zawsze uważała go za drania i podejrzanego typu. Jednak, jeśli się zastanowić, Wolf mógł być bardzo dobrym żołnierzem. Twardy i bezlitosny, a przy tym zdeterminowany, był urodzonym przywódcą. Był też w stanie zabijać, co do tego nie miała wątpliwości. Na myśl o tym dreszcz przebiegł jej po plecach. A swoją drogą ciekawe, dlaczego odszedł z wojska, mimo że Anglia nadal prowadziła wojnę z Napoleonem.

W piersiówce była brandy, a nie rum, jak z początku sądziła. Wypiła mały łyceczek, czując, jak alkohol wypala jej ścieżkę poprzez gardło aż do żołądka, i od razu poczuła się lepiej. Czyli Wolf miał rację.

Obok niej strumyk płynął sobie spokojnie po kamieniach. Była sama - nigdzie ani śladu Wolfa czy reszty. W tym momencie dotarło do niej, że to najlepsza okazja na ucieczkę. Zerknęła za siebie, ale nikt nie nadchodził. Pomyślała o Wolfie dotykającym tak intymnie jej nóg i o jego zamglonym spojrzeniu. Przypomniała sobie także jego usta zbliżające się do jej ust i po raz pierwszy przyznała się przed samą sobą, że chciała, aby ją pocałował. Ją, Rosalind Meadowfield, która nigdy dotąd nie pragnęła męskich pocałunków. Czy to nie śmieszne? Co za wstyd! Kompletny absurd! I właśnie z tego powodu musiała odejść. O tym, że Wolf miał ją odwiedzić do Evedona, nawet nie pomyślała.

Postawiła piersiówkę na ziemi, tak aby ją znalazł bez trudu, i krzywiąc się z bólu, wstała. Jeszcze raz spojrzała za siebie, a potem przeskoczyła po kamieniach na drugą stronę strumyka i puściła się biegiem.

Kiedy Wolf wrócił do czekających na drodze, Kempster poprawiał pasek przy strzemieniu.

- Co ci strzeliło do głowy? - huknął na niego. - Mówiłem ci, że trzeba z nią jechać ostrożnie.

- To miały być żarty. - Kempster rozłożył ręce niewinnym gestem. - Przecież nic się nie stało.

- Ty głupi ośle, nie rozumiesz, że ją przestraszyłeś?

- Niby czym? - zapytał Kempster takim tonem, że Wolf omal mu nie przyłożył. - My tylko jechaliśmy, to wszystko.

- Spróbuj jeszcze raz tak pojechać, to skopię ci tyłek - rzucił ze złością Wolf.

- Spokojnie, szefie. Nie wiedziałem, że tak panu zależy na wygodzie panny Meadowfield.

Wolf poczuł, że jego nienawiść do służącego rośnie z minuty na minutę.

- Zależy mi jedynie na tym, aby dowieźć pannę Meadowfield do lorda Evedona w jednym kawałku. Idź teraz i przyprowadź ją. - Już miał się odwrócić, ale się zatrzymał. - Nie, ty idź, Campbell. Jest nad strumieniem.

Campbell spojrział kosym okiem na Kempstera, po czym zniknął w lesie.

Wolf czekał przy swoim siwku, mając wciąż przed oczyma stężoną ze strachu twarz Rosalind. Musiała naprawdę być przerażona. Znów naszła go ochota, aby przyłożyć Kempsterowi w tę jego głupkowatą facjatę za to, że tak ją zdenerwował. A przecież można było temu zapobiec. Wystarczyło, że sam wziąłby ją na swojego ogiera, zamiast kazać jej jechać z Kempsterem. Może jednak źle ją osądzał, mimo wszystko? Może przez cały czas próbował ją ukarać za cudze grzechy i mścił się na niej za swoje krzywdy?

Dwie minuty później Wolf był zmuszony zrewidować swoją opinię, bowiem z lasu wyłonił się zdyszany Campbell - i to sam!

- Nigdzie ani śladu panny Meadowfield. Nad strumieniem znalazłem tylko to. - Rzucił Wolfowi piersiówkę. - Najwyraźniej uciekła - wysapał.

Kempster z trudem ukrył uśmiech.

- Musiała udawać mdłości. Wystawiła pana do wiatru, panie Wolversley. Wszystkich nas wystrychnęła na dudka - dodał znaczącym tonem.

Wolfa znów zaświerzbiła ręka. Poczuł, że budzi się w nim gniew. Schował piersiówkę do wewnętrznej kieszeni surduta i zacisnął usta.

- Jedźcie do zajazdu „Pod Aniołem” w Catterick. Spotkamy się tam po zmroku.

- A nie powinniśmy pomóc panu w poszukiwaniach? - zapytał Kempster.

- Nie ma potrzeby.

- Ale... - zaczął Kempster, lecz zamilkł, bo Campbell ostrzegawczo pokręcił głową.

- Wsiadaj, Kempster - powiedział, a potem zwrócił się cicho do Wolfa: - Tylko bądź rozsądny, ze względu na siebie i tę dziewczynę.

- Dobrze, będę uważał - obiecał mu Wolf. - Bardziej niż jesteś sobie w stanie wyobrazić. - Patrzył przez chwilę za odjeżdżającymi, po czym poprowadził konia do lasu i uwiązawszy go nad strumieniem, przykucnął, aby obejrzeć ślady na ziemi.

Na drugim brzegu strumyka, wśród wysokich traw, widać było wyraźnie wydeptaną przez Rosalind ścieżkę. Skrzywił usta we wzgardliwym uśmiechu, podniósł się i ruszył jej śladem.

TLR

## Rozdział ósmy

Stopy paliły ją żywym ogniem, mimo to biegła wytrwale przez las. Słyszała swój urywany oddech, tak głośny, że mógł bez trudu zagłuszyć odgłosy pogoni. Była absolutnie pewna, że będą ją ścigać, bo Wolf jej przecież nie odpuści. Może już nawet odkrył jej ucieczkę i podąża jej tropem, jak myśliwy za zwierzyną? Na myśl o tym zadrżała i zmusiła ociężałe nogi do dalszego biegu. Sił dodawał jej strach, lecz nie przed Wolfem, bo wiedziała już, że jej nie skrzywdzi, chociaż jest zawzięty i surowy. Nie chodziło również o Evedona. Rzecz w tym, że zbyt dobrze pamiętała hipnotyczną pieśczętę smukłych, opalonych palców Wolfa i swoją niepojętą reakcję. Wciąż nie mogła zrozumieć, dlaczego zachowała się tak bezwstydnie.

Biegła tak długo, aż poczuła kłujący ból w lewym boku. Brakowało jej tchu, miała wrażenie, że pękają jej płuca. Mimo to parła wytrwale do przodu, potykając się o kępy traw, gnijące kłody i kamienie. Gałęzie drapały ją i uderzały w twarz, kiedy je odgarniała, torując sobie drogę przez gęstwinię. Suknię miała podartą, bo raz po raz o coś zahaczała, ale nie zwracała na to uwagi. Liczyła się przecież każda sekunda.

Gdy poczuła, że nie jest już w stanie biec, zwolniła. Szła dalej, oglądając się za siebie co parę kroków i nasłuchując. A potem znów na przemian to szła, to biegła.

Las rozbrzmiewał śpiewem ptaków i jak okiem sięgnąć ciągnęły się łąny liliowych dzwonek, upstrzone kępami żółtych pierwiosnków. Kwiaty, miażdżone jej butami, wydzielaly upojny zapach.

Szła z nadzieją, że jednak się jej uda, że może nie zauważyli dotąd jej zniknięcia. Między drzewami nie dostrzegła nikogo, tylko gałęzie poruszały się lekko na wietrze. Po jakimś czasie uderzyło ją nagle, że ptaki przestały śpiewać, wokół zapanował dziwny spokój i nawet wiatr jakby ucichł. W ciszy, jaka zapadła, nienaturalnej i niepokojącej, słyszała jedynie swój chrapliwy oddech i ciężkie kroki na leśnym poszyciu. Znienacka zaczęło jej się wydawać, że jest śledzona, że ktoś lub coś idzie za nią. Chociaż była zgrzana i miała rozpalone policzki, zmroziło ją ze strachu.

Oglądała się teraz coraz częściej, przeczesując wzrokiem gęstwinię, ale nadal nie zauważyła nic podejrzanego. Czy oznaczało to, że udało jej się uciec i że już jej nie



znajdą? Zaczęła się zastanawiać, czy wystarczy jej odwagi, aby się zatrzymać na noc w najbliższym zajeździe. Wolf może przecież przeszukiwać wszystkie miejsca w okolicy. Ona w każdym razie zrobiłaby tak na jego miejscu. Może więc powinna przenocować w lesie? Zostawiła jednak przy koniach pelerynę, a noc będzie zimna i pełna groźnych drapieżników. Obejrzała się znów, niezdecydowana, i w tym momencie jakaś wysoka postać zastąpiła jej drogę.

Z jej ust wyrwał się przenikliwy krzyk. Serce zaczęło jej się tłuc o żebra, krew zahuczała w żyłach. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje. Nie mogła uwierzyć własnym oczom, że oto stoi przed nią, we własnej osobie, milczący i nieruchomy.

- Wolf! - wyszeptała.

- No i jak, panno Meadowfield? Lepiej się pani poczuła? - Pytania całkiem niegroźne na pozór, ale ton, jakim zostały wypowiedziane...

Zrobiła mały krok w tył, potem drugi.

- Ja... ja... - Słowa zamarły jej na ustach pod jego posepnym spojrzeniem.

Widać było, że lada chwila puszcza mu nerwy.

- No, słucham...? - Uniósł sardonicznie brwi i czekał, jak kot, który złapał mysz i ma ją pożreć.

Odwróciła się i spróbowała uciec, ale złapał ją i przyciągnął do siebie tak mocno, że wparła się plecami w jego tors. Poczowała bijący od niego żar i znajomy zapach mydła oraz wyprawionej skóry. Trzymając ją jedną ręką, drugą rozwiązał wstążki jej czepka i zdarłszy jej go z głowy, rzucił na ziemię. A potem objął ją mocno w talii.

Poczowała jego gorący oddech na policzku i szorstki dotyk nieogolonej brody, gdy szukał ustami jej ucha.

- A fe, panno Meadowfield - wyszeptał, kiedy je odnalazł. - Przecież panią ostrzegałem.

Wibracje jego warg wzniewały w jej uchu drgania, przenikające przez całe ciało i wywołujące gęsią skórę. Ramię Wolfa spoczywało na jej brzuchu, tuż pod piersiami, których brodawki stwardniały nagle, ku jej wielkiemu zażenowaniu. Odnosiła wrażenie, że jest w uścisku kochanka, i myśl ta napełniała ją grozą.

- Panie Wolversley! - wydyszała z oburzeniem.

On jednak trzymał ją nadal tak mocno, że nie była nawet w stanie spojrzeć za siebie.

- Ja bardzo nie lubię złodziejek, które próbują wystrychnąć mnie na dudka. - Jego spokojny głos ociekał pogardą.

- Ale ja nie... to Kempster i ten jego koń... źle się poczułam...

- Tak źle, że była pani w stanie uciekać? - zapytał sceptycznym tonem.

- Nie może pan mieć do mnie pretensji, że próbowałam. Na miłość boską! Przecież wiezie mnie pan do Evedona, który chce mnie posłać na szubienicę!

- To nie trzeba było kraść biżuterii jego matki. - W jego szorstkim głosie nie było cienia współczucia.

Potrząsnęła głową.

- Wiem, że pan mi nie wierzy, ale ja niczego jej nie ukradłam.

- Ma pani rację, nie wierzę pani, panno Meadowfield. - Nie wypuszczając jej z objęć, obrócił ją twarzą ku sobie. Miała teraz przed oczyma jego groźne, surowe oblicze.

- Musimy jeszcze porozmawiać o tym, co pani zrobiła ze szmaragdami. Ale niech się pani nie obawia - dodał, widząc gniewny błysk w jej oczach - zostawię to sobie na później. A teraz chcę się tylko dowiedzieć, dlaczego mi pani nie powiedziała, że boi się pani koni?

Pomyślała, że nie ma sensu zaprzeczać; był przecież świadkiem jej reakcji na popisy Kempstera.

- Bo to nie pańska sprawa - rzuciła hardo.

- Gdyby mi pani powiedziała, wynająłbym powóz i cztery konie, tak aby na czas tej podróży miała pani zagwarantowane minimum wygod.

Kłamie, rzecz jasna, pomyślała. Mówi to tylko po to, aby ją dręczyć.

- Nie wierzę panu, panie Wolversley.

- Dlaczego? - zapytał, taksując ją zimnym spojrzeniem.

- Bo jest pan okrutny.

- Uważa pani, że jestem okrutny, bo poluję na złodziei, a pani jest tą upolowaną przeze mnie złodziejką? - zapytał, a gdy nie odpowiedziała, ciągnął dalej: - A może

jestem okrutny, bo nie pozwoliłem pani uciec? Albo z powodu tego, co zrobię, aby zniechęcić panią do dalszych prób?

Serce załomotało jej ze strachu.

- Mam pani dać w skórę, panno Meadowfield?

Sam jej powiedział, że nigdy nie podniósł ręki na kobietę, a ona mu uwierzyła. Mimo to zagryzła wargi, aby ukryć ich drżenie.

- A może woli pani, abym panią związał i przytroczył do siodła na resztę podróży?  
- zapytał.

Na myśl o tym cała krew odpłynęła jej z twarzy i nogi się pod nią ugięły.

- A może powinienem wymyślić coś jeszcze lepszego?

- Nie - odparła mdlejącym szeptem.

- Przecież tak postępują okrutnicy - stwierdził ze złowieszczym spokojem.

Nagle poczuła, że musnął kciukiem jej policzek. Zaszokowana, odwróciła zapłonioną twarz i usłyszała jego cichy śmiech.

Trzymając ją za ramię, ruszył z powrotem przez ten sam las, przez który biegła z taką nadzieją.

- Tylko niech pani nie próbuje żadnych głupstw, bo związę pani ręce i założę sznur na szyję.

- Dzikus! - mruknęła pod nosem, ale on to usłyszał.

- Tak - warknął. - To prawda, i radzę to zapamiętać.

W jego oczach było tyle pogardy!

Odwróciła wzrok, świadoma jego przewagi. Był wysoki i dobrze umięśniony, o szerokich ramionach i długich nogach. Spojrzała na smukłe, opalone palce, trzymające jej ramię w pozornie lekkim, a jednak nierozzerwalnym uścisku.

- Mój czepek! - Spróbowała się wyrwać. - Musimy po niego wrócić!

- Zapomnijmy o czepku. - Znów ruszył przez las, popychając ją przed sobą.

Koń Wolfa czekał przy strumieniu, uwiązany do drzewa. Był ogromny i patrzył na nią kosym okiem. Ogarnęło ją przerażenie i zaczęła się wyrwać.

- Nie! - krzyknęła, zapierając się nogami w ziemię. - Nie ma mowy!

Wolf odwrócił ją ku sobie i mocno przytrzymał, dopóki się nie opanowała. Z jego oczu ustąpiła cała zaciekleść, a jej miejsce zajęła spokojna pewność siebie, która kazała Rosalind zaprzestać walki.

Przecież Wolf i tak posadzi ją w siodle i zmusi konia do galopu, tak jak to zrobił Kempster. Oczyma duszy zobaczyła tę straszną scenę sprzed lat i biedne, zakrwawione ciało Elizabeth.

- Nie! - wyszeptała, próbując odegnać wspomnienia. - Nie pojedę! - Było jej już obojętne, czy Wolf usłyszy desperację w jej głosie.

W ciszy, jaka zapadła, słyhać było jedynie szmer leśnego strumienia.

- Musimy dotrzeć do zajazdu jeszcze przed nocą. A to za daleko, aby iść na piechotę.

Rosalind poczuła, że ściska jej się żołądek, wiedziała, co teraz nastąpi. Nie poniży się jednak do tego, aby błagać Wolfa. Spojrzała mu w oczy i czekała.

- Pojedziemy truchtem i ani trochę szybciej. Nie musi się pani obawiać, nie pozwolę pani spaść z konia - odezwał się cichym, kojącym głosem, z którego znikły szorstkie nuty. Przypomniała sobie, że w ten sam sposób zwracał się do małej klaczki.

Chciała mu wierzyć, lecz po doświadczeniu z Kempsterem strach okazał się silniejszy.

- Daję pani słowo, panno Meadowfield. - Wolf puścił ją i spojrzał na nią oczyma tak srebrzystymi jak tamtej nocy, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Tym razem jednak wyzierała z nich łagodność, która wprawiała ją w zdumienie.

Pomyślała, że nie ma zbyt wielkiego wyboru. Kolejna próba ucieczki mijała się z celem, bo Wolf znów ją dopadnie i zawróci. Popatrzyła na jego konia - wydawał się większy i bardziej złośliwy niż wałach Kempstera. Równie złośliwy jak Wolf, kiedy był rozgniewany. Teraz, na szczęście, wyglądało na to, że złość mu przeszła.

Przełknęła ślinę i skinęła głową. Nie ruszyła się jednak z miejsca, rozdygotana ze strachu.

Wolf tymczasem odwiązał wodze i dosiadł ogiera. Potem wciągnął także i ją, posadził przed sobą w siodle i objął tak mocno, że musiała się oprzeć o jego szeroką

pierś. Lewą ręką uchwyciła się łęku, a prawą objęła go w pasie. Pozycja, w jakiej siedzieli, wydała jej się tak intymna, że spłonęła rumieńcem.

Wolf raz jeszcze spojrzął jej w oczy, bez gniewu, i troskliwym tonem zapytał:

- Gotowa?

- Gotowa - odpowiedziała cicho i nagle do niej dotarło, że siedzi przytulona do Wolfa i że nie przypomina to w niczym jazdy z Kempsterem. I choć wstyd jej się było do tego przyznać, zapach Wolfa działał na nią podniecająco, podobnie jak ich wymuszona bliskość. A przecież ten człowiek dopiero co uniemożliwił jej ucieczkę i zamierzał ją wydać w ręce Evedona.

Wolf szarpnął lekko za lejce, ogier zaczął iść wolno przed siebie i dopiero kiedy znaleźli się na gościńcu, puścił się truchtem. Przez następną godzinę jechali tym samym tempem, pograżeni w milczeniu. Rosalind czuła się w ramionach Wolfa spokojna i bezpieczna.

Kiedy dojeżdżali do zajazdu „Pod Aniołem”, purpurowa kula słońca chowała się za horyzont, barwiąc wieczorne niebo ciemnym różem. Zapowiadała się dosyć zimna noc, a po niej kolejny pogodny dzień. Podkowy zastukały głośno na wybrukowanym dziedzińcu.

Wolf pomógł Rosalind zsiąść z konia, a potem sam zeskoczył na ziemię i przekazał wodze stajennemu, czekającemu pod latarnią. Wcisnął mu też w rękę kilka drobnych monet, aby się dobrze zajął jego ogierem.

Panna Meadowfield wciąż stała w tym samym miejscu, z gołą głową. Część włosów wysunęła jej się z koka i opadała na ramiona, połyskując ogniście w promieniach zachodzącego słońca. Bezwiednym gestem uniosła rękę, chcąc poprawić fryzurę, ale się jeszcze bardziej potargała. Kilka spinek upadło z brzękiem na bruk, więc przykucnęła, aby je pozbierać.

Mały obdartus zebrzący przy bramie podbiegł do Wolfa z wyciągniętą ręką. Pewnie liczył na to, że nowi goście rzucą mu garść drobniaków. Miał skołtunioną jasną czuprynę i wychudzoną buzię, i wydawał się bardzo wątły. Wolfowi na jego widok ścisnęło się serce, bo i on był przed laty takim samym zagłodzonym dzieckiem. Zerknął ukradkiem na pannę Meadowfield, spodziewając się ujrzeć niesmak na jej twarzy, a

nawet odrazę, ale się pomylił. Ku jego zdumieniu uśmiechnęła się do malca i delikatnie pogłaskała go po policzku.

Jej smutny, tkliwy uśmiech poruszył serce Wolfa. Wpatrywał się w nią, nie wierząc własnym oczom. Ona tymczasem wyjęła z kieszeni portmonetkę i wsunęła chłopcu do ręki parę monet. A potem pochyliła się, żeby go pocałować w policzek. Dzieciak cofnął się, spojrzał na nią podejrzliwie, po czym zniknął, równie szybko jak się pojawił.

Panna Meadowfield podniosła wzrok. Gdy zobaczyła, że Wolf jej się przygląda, splonęła rumieńcem. Wyprostowała się i cichym, poważnym głosem powiedziała:

- Panie Wolversley, dziękuję za konia... a także za wyrozumiałość...

Prawdę mówiąc, nie ma mi za co dziękować, pomyślał. Odwoził ją przecież do Evedona, zmuszając do jazdy w siodle przez cały kraj, chociaż wiedział, że boi się koni. Udaremnił jej także ucieczkę - a ona mu dziękowała, mimo wszystko. Zakłuło go sumienie, poczuł się jak ostatni brutal, i kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał ochryple:

- Myślałem, że boi się pani koni po tej przygodzie z kłaczą, ale chyba powód jest inny, prawda?

Kiwnęła głową. Ciemne pasma zatańczyły wokół jej twarzy.

- To się stało wiele lat temu. Byłam wtedy bardzo młoda.

- Coś musiało panią bardzo przerazić. - Chciał się dowiedzieć, co ją tak wystraszyło, ale był przecież ostatnią osobą, która miała prawo o to zapytać.

- Owszem - odpowiedziała. Zapatrzona w gorejący pas nieba na horyzoncie, zaczęła mówić głosem drżącym i tak cichym, że chcąc ją zrozumieć, musiał wyteńczyć słuch: - Któregoś dnia wybrałam się na przejażdżkę po parku z moją przyjaciółką. Nagle nadszedł powóz. Zauważyłyśmy go zbyt późno. Jechał za szybko i zbyt blisko nas. Jakiś młody mężczyzna ścigał się ze swoim kolegą. Koń mojej przyjaciółki sploszył się i stanął dęba. Elizabeth spadła z siodła. Noga uwięzła jej w strzemieniu. Ludzie zbiegli się na pomoc, ale nie udało nam się zatrzymać jej konia, który rzucił się do galopu. Ciągnął ją przez ponad milę, a wtedy było już za późno. Powiedzieli mi, że szybko umarła, ale ja wiem, że to nieprawda. - Spojrzała mu w oczy i dodała: - Od tamtej pory już nigdy nie dosiadłam konia.

Wolf rozumiał jej ból, jakby chodziło o niego samego. Bezwiednym gestem dotknął jej ręki, aby ją choć trochę pocieszyć.

Nie cofnęła się, tylko patrzyła na niego oczyma pociemniałymi od smutku i strasznych wspomnień. Po jej policzku spłynęła wolno pojedyncza łza, więc ją otarł palcem, a potem wziął Rosalind ostrożnie w ramiona i przytulił, głaszcząc po włosach, z których wypadły ostatnie spinki.

- Dziewczyno, to straszne, współczuję ci - wyszeptał, wdychając jej różany zapach.  
- To nie był widok dla młodej panienki.

Usłyszał jej urywany oddech, jakby tłumiła szloch, a potem ukryła twarz na jego piersi. Gdy ją po chwili uniosła i spojrzała mu w oczy, mógł zrobić tylko jedno - pocałować ją, i wydało mu się to najnaturalniejszą rzeczą na świecie.

Jej usta miały słodki smak, a on całował je tak delikatnie, jakby chciał uleczyć tamte straszne rany sprzed lat.

Nagle wrota od stajni otworzyły się i stanął w nich parobek. Wolf cofnął się. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, co zrobił.

Panna Meadowfield odwróciła się szybko, ale zdążył jeszcze zobaczyć wyraz zagubienia na jej twarzy.

- Musimy wejść do środka - powiedział.

- Musimy - przytaknęła zdyszczanym głosem.

Kiedy przekraczali próg zajazdu, wąski rąbek czerwonej słonecznej kuli ostatecznie wtopił się w horyzont.

Wolf zaprowadził Rosalind Meadowfield na górę, zamknął ją w pokoju, po czym zszedł do baru, aby dołączyć do Campbella i Kempstera.

- Rozumiem, że ją znalazłeś? - Campbell spojrzał mu w oczy ponad kuflem piwa.

- A miałeś jakieś wątpliwości? - zapytał Wolf obojętnie, jakby nic nie zaszło pomiędzy nim a tą kobietą.

Campbell potrząsnął głową ze śmiechem.

- Wprost przeciwnie. Wygrałem dzięki temu dwa szylingi. - Wyciągnął rękę do Kempstera. - No, płac, chłopcze!

Kempster burknął coś pod nosem i wrzucił mu do garści dwa srebrne szylingi.

- A mówiłem, że wróci przed kolacją, i to z dziewczyną - powiedział Campbell z uśmiechem. - Patrz i ucz się, chłopcze!

- Gdzie ona była? - zainteresował się Kempster.

- To już teraz nieważne, skoro jest tam, gdzie powinna być, czyli pod kluczem. - Wolf przywołał obsługującą dziewczynę i zanim usiadł, zamówił piwo. - Później porozmawiam z właścicielem i zapytam, czy nie dałoby się załatwić na jutro dyliżans pocztowy.

- Dla panny Meadowfield? - zdumiał się Kempster, i nawet Campbell uniósł brwi.

- Musimy utrzymać odpowiednie tempo, jeśli chcemy dotrzeć na czas do Londynu. A to niemożliwe, jeżeli panna Meadowfield będzie jechała wierzchem - wyjaśnił Wolf.

- Mamy ulegać zachciankom tej pani? - zapytał z kwaśną miną Kempster.

Wolf poczuł się urażony.

- Nie, bynajmniej - mruknął i pociągnął długi łyk przyniesionego właśnie piwa.

- To będzie kosztowało niezły kawał grosza - zżymał się Kempster.

- Przecież Evedon za to płaci.

Złożyli zamówienie i Wolf poprosił o tacę dla panny Meadowfield.

- Widzę, że nie chce pan już więcej ryzykować, panie Wolversley - stwierdził Kempster ze złośliwym uśmiechem. - Boi się pan, że jak ją pan wypuści z pokoju, znowu będzie próbowała uciec?

Wolf zmusił się do uśmiechu.

- Nie ma obawy.

- Zaniosę jej tacę na górę, dobrze? - zaproponował Kempster. - I przy okazji przeproszę za tę historię z kłaczą. Nie miałem pojęcia, że ona aż tak się boi koni.

Wolf wprawdzie sam chciał zanieść jej kolację, ale nie wypadało mu nalegać, bo jeszcze gotowi by pomyśleć, że interesuje się tą kobietą - a to przecież była nieprawda. Rzucił więc Kempsterowi klucze.

- Idź, ale zaraz wracaj.

Kempster kiwnął głową.

- Oczywiście. Nie chcę, żeby mi wystygła kolacja. - A potem wstał z uśmiechem od stołu i poszedł za dziewczyną, która niosła tacę dla panny Meadowfield.



Kiedy oboje zniknęli na schodach, Wolf zwrócił się do Campbella:

- Wiesz co, Struan, coś mi się w tym wszystkim nie podoba.

Campbell spojrział na niego ze zdumieniem.

- Myślisz, że ona może jednak być niewinna?

- Myślę, że ma coś na sumieniu, ale nie jestem wcale pewny, czy akurat to, o co ją oskarża Evedon. - Przypomniał sobie jej dobroć dla żebrzącego chłopca. - Ona nie pasuje do tego wizerunku, jaki mi przedstawił Evedon.

- Nie jest wcale taką rozpieszczoną panienką - stwierdził Campbell z powagą. - Więc o co chodzi temu Evedonowi?

- Nie wiem, Struan, ale się dowiem. Może Kempster będzie w stanie powiedzieć nam coś więcej na temat panny Meadowfield i Evedona.

Wolf poczekał, aż kolacja zostanie zjedzona, piwo wypite i talerze sprzątnięte ze stołu, po czym zabrał się do przepytывania Kempstera.

- Pracujesz u Evedona już od jakiegoś czasu, prawda?

Kempster uśmiechnął się.

- Od trzech lat. Sam nie wiem, czemu tak długo, bo to taki wredny typ i kutwa. Płaci mi grosze.

- Byłeś tam w tę noc, kiedy dokonano kradzieży? Widziałeś, co się stało?

- Widziałem. Evedon kazał przeszukać cały dom, bo zginęła biżuteria starszej pani. Jak pan już wie, brylanty znalazły się w pokoju panny Meadowfield. A jeśli chodzi o te szmaragdy... - Uśmiechnął się chytrze. - Musi pan o to zapytać ją samą.

- Więc uważasz, że jest winna?

Kempster roześmiał się.

- Jak dwa razy dwa jest cztery. Te brylanty były w jej szufladzie, prawda?

- Ale to wcale nie znaczy, że je tam schowała - powiedział Wolf.

Kempster spojrział na niego dziwnie i znów się roześmiał.

- Myśli pan, że ktoś inny ukradł te kamienie i ukrył je w bieliźnie panny Meadowfield? - Potrząsnął głową. - Owszem, słyszałem na ten temat to i owo, ale coś takiego, to już szczyt głupoty. Ona ma winę wypisaną na twarzy, panie Wolversley.

- Powiedz mi, co wiesz o panie Meadowfield.

- Niebrzydka z niej kobieta. Sam bym do niej startował, gdyby mnie pan nie uprzedził. - Kempster trącił Wolfa łokciem i wyszczerzył zęby.

Wolfowi twarz stężała.

- Co to za insynuacje, Kempster? - Już sam jego ton wystarczył, aby Kempster zaczął się wycofywać.

- Ja tylko tak żartowałem, panie Wolversley.

- Widziałeś, żebym się śmiał? - warknął Wolf. Kempster, zmieszany, spuścił wzrok.

- Po co miałaby kraść precjoza starszej pani, skoro jest córką zamożnego dżentelmena? - pytał dalej Wolf. - Czy ojciec nie przysłał jej pieniędzy?

- Jej ojciec nie żyje.

- A reszta rodziny?

- Nigdy nie słyszałem, żeby mówiła o jakiegokolwiek rodzinie. Nic o nich nie wiem, ponad to, że zostawili ją bez grosza przy duszy.

Wolf zmarszczył brwi.

- Chcesz powiedzieć, że ona nie ma pieniędzy?

Kempster kiwnął głową.

- To lady Evedon ją ubiera i płaci za całą resztę. Panna Meadowfield nie ma złamanego grosza. To chyba wystarczający powód, żeby okraść starszą panią, czyż nie?

Wolf spojrział w zadumie w stronę schodów prowadzących do pokoju panny Meadowfield. Nagle naszła go refleksja, że wyświadczył tej kobiecie niedźwiedzią przysługę.

- A co z Evedonem? Czy coś było między nim a tą kobietą?

- Chce pan zapytać, czy była jego kochanką? - Kempster uniósł ze śmiechem brwi.

- Pewnie tak. Może chciał się jej pozbyć, bo mu się już znudziła, więc ukradła te błyskotki, żeby się na nim odegrać.

- A może wcale ich nie ukradła? - Wolf wstał od stołu i wyciągnął rękę. - Daj mi klucz do jej pokoju.

Kempster spojrział na niego ze zdumieniem. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Jeżeli pan chce, mogę przynieść pustą tacę.

- Nie idę po żadną cholerną tacę.

Kempster grzebał przez chwilę w kieszeni, a potem oddał mu niechętnie klucze.

- Co pan chce zrobić?

Wolf spojrział mu w oczy.

- Dowiedzieć się prawdy o pannie Meadowfield. - Ścisnął w garści klucze i odszedł.

- Ale my już znamy prawdę. - Kempster otarł ręką usta i patrzył, jak Wolf idzie w kierunku schodów.

- Czyżby? - zapytał cicho Campbell, spoglądając na oddalające się plecy przyjaciela. - To się dopiero okaże.

TLR

## Rozdział dziewiąty

Rosalind stała przy oknie, z którego roztaczał się widok na podwórze i rozciągający się za nim krajobraz, i próbowała rozeznaczyć się w swoich uczuciach do Wolfa. Pocałował ją, a ona oddała mu pocałunek. Rozum podpowiadał jej, że powinna go nienawidzić, ale serce mówiło co innego. Kiedy jej dotykał, kiedy na nią patrzył takim zamglonym wzrokiem, stawała się głucha na głos rozsądku i pragnęła już tylko jednego - aby wziął ją w ramiona i całował do utraty tchu. Na myśl o tym serce jej szybciej zabiło i poczuła dreszczyk podniecenia, jak zawsze, kiedy chodziło o Wolfa.

A przecież on ją schwytał i odwoził teraz do Evedona, więc jej reakcja była tym bardziej niepojęta. Co się z nią dzieje? Czy coś ją opętało? Sfrustrowana, pokręciła głową. Jej podbita futrem peleryna łagodnie zafalowała.

Świeczka na stoliku nocnym wypaliła się, kominek był pusty, i tylko blady księżyc świecił na niebie. Z sali na dole dobiegały męskie głosy, krzyki i śmiechy. Rosalind otuliła się ciasniej peleryną, bo noc była dosyć chłodna.

Zgrzyt klucza w zamku sprawił, że się wzdrygnęła, powiedziała sobie jednak, że to tylko Kempster przyszedł po tacę. Tymczasem, kiedy się odwróciła do drzwi, zobaczyła Wolfa. Cofnęła się, zaskoczona, i znów przypomniała sobie jego pocałunek. Co za wstyd!

- Panno Meadowfield! - Wolf wszedł, zamknął drzwi na klucz i odwrócił się do niej.

Jej puls przyspieszył, choć wcale nie ze strachu. Poczowała jakieś dziwne fluidy przepływające między nimi i z drżeniem serca czekała, co będzie dalej.

Wolf zlustrował wzrokiem jej grube okrycie i pusty kominek.

- Każę rozpalić ogień - obiecał - ale najpierw musimy wyjaśnić sobie kilka spraw.

- Mianowicie jakich? - Pomyślała, że powinna dać mu jasno do zrozumienia, iż jej skandaliczne zachowanie to był jednorazowy wybryk, który już się więcej nie powtórzy.

Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że przedstawiła mu się w bardzo złym świetle. A przecież nie miała zwyczaju całować się z mężczyznami. Z całą też pewnością nie pozwalała im dotykać swoich gołych nóg. Została wychowana bardzo starannie i

mama nauczyła ją odróżniać dobro od zła. A jednak wszystkie jej postanowienia i dobre intencje wzięły w łeb na widok tego przystojnego, posepnego mężczyzny.

- Musi mi pani powiedzieć wreszcie prawdę, panno Meadowfield.

Zatem przyszedł tu, aby porozmawiać o kradzieży, to wszystko. Rosalind odetchnęła z ulgą, a zarazem poczuła się lekko zawiedziona. Gdy sobie to uświadomiła, zaczerwieniła się, zła na siebie, ale ten gniew dodał jej sił.

- Już to zrobiłam przy paru okazjach - zauważyła z wyniosłą miną. - Ale pan mi nie wierzył, dlaczego więc miałby mi pan teraz uwierzyć?

- Proszę mi wyznać, co zaszło między panią a lordem Evedonem.

Zadrżała. Czyżby coś wiedział? Ale co?

- Przecież to nie ma żadnego związku ze sprawą, o jaką jestem oskarżona.

- Pozwoli pani, że sam to osądzę.

- Nie ukradłam tych klejnotów - powiedziała. - Czy to nie wystarczy?

- Nie wystarczy - odparł. W świetle księżycy jego oczy były srebrzyste. - Przecież brylanty znaleziono w pani szufladzie, owinięte w pani bieliznę.

- Ktoś musiał mi je podrzucić.

- Po co ktoś miałby to robić?

- Nie wiem. - Potrząsnęła głową. - Może ktoś ukrył je tam, bo myślał, że nikt ich tam nie będzie szukał.

- A może po to, aby móc panią oskarżyć o kradzież, której pani nie popełniła?

- Może... - mruknęła, zastanawiając się, jaki jest powód tego nagłego przesłuchania. Czyżby Wolf zaczął jej wierzyć? - Zastanawiam się jednak, komu mogłoby na tym zależeć.

- Ma pani jakichś wrogów, panno Meadowfield?

- Nie mam - odparła z przekonaniem.

Szkoda, że nie mógł tego powiedzieć o sobie. Jak daleko sięgał pamięcią, zawsze był ktoś, kto mu źle życzył.

- No, może poza... - Zawahała się i odwróciła wzrok, a on wiedział już, co chciała powiedzieć.

- Poza Evedonem? - dokończył za nią.

- Tak.

Wolf milczał przez chwilę, a potem zapytał:

- Panno Meadowfield, czy była pani kochanką lorda Evedona?

Na moment zatkało ją z oburzenia, a potem wykrzyknęła z pasją:

- Nie! Absolutnie nie!

- Panno Meadowfield, zazwyczaj płacą mi nie tylko za schwywanie winowajcy, ale i za odzyskanie skradzionych przedmiotów. A jednak w tym przypadku Evedon wręcz zabronił mi przeszukiwać pani bagaż. Miałem panią tylko przesłuchać i spróbować się dowiedzieć, co pani mogła zrobić z tymi szmaragdami. Mówiąc szczerze, bardziej mi zależało na pani osobie niż na biżuterii matki. Zastanawiam się dlaczego.

- Nie mam pojęcia, co się dzieje w głowie lorda Evedona.

- A jednak jest pani przekonana, że będzie chciał posłać panią na szubienicę. Było coś między wami? - zapytał, ale nie doczekał się odpowiedzi. - Czy Evedon robił pani jakieś niestosowne awanse? - mówił dalej. - Może chciał, żeby...

- Nie! - przerwała mu gwałtownie. - Nigdy.

- On utrzymuje, że jest pani złodziejką. Czy to prawda?

Zdradliwy rumieniec zabarwił jej policzki. Powinna była się oburzyć, gorączkowo zaprzeczyć, ale słowa zamarły jej na ustach. Nie potrafiła okłamać Wolfa, choć tak byłoby dla niej najlepiej.

- Nie zaprzeczy pani?

- Nie ukradłam tych klejnotów - powiedziała szybko.

- A co pani ukradła? - zapytał cicho.

Spuściła wzrok i potrząsnęła głową.

- Nic... - wykrztusiła przez ściśnięte gardło, zastanawiając się gorączkowo, co robić. Nie mogła go przecież poinformować o istnieniu tego listu.

- Wiem, że pani kłamie, więc lepiej niech się pani przyzna.

- Niczego nie ukradłam - oświadczyła mocniejszym już głosem.

- Nie wierzę pani. - Jego spojrzenie zdawało się przeszywać ją na wskroś.

- Czyli wygląda na to, że znaleźliśmy się w impasie, panie Wolversley - stwierdziła chłodnym tonem.

Twarz Wolfa stężała.

- Może mi pani nie wierzyć, panno Meadowfield, ale to żaden impas - powiedział, ruszając w jej stronę.

Serce zatrzepotało jej w piersi, żołądek ścisnął się boleśnie. Zaczęła się cofać, aż poczuła za plecami fałdy kotary i twardą ścianę.

Wolf stanął przed nią, chwycił ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie.

- Proszę mi opowiedzieć o swoich rodzicach i o swoim pochodzeniu.

Żachnęła się, bo na takie pytanie nie była przygotowana. Serce biło jej głucho, szumiało w uszach.

- A co to pana obchodzi?

- Obchodzi, i to bardzo, zapewniam panią.

Światło księżyca wpadające przez okno wydobywało z mroku jego męską twarz o kwadratowym podbródku i zdecydowanych ustach, które ją tak namiętnie całowały. Nozdrza miał lekko rozdęte, jak zwykle w gniewie, a jego oczy przeszywały ją na wylot.

Poczuła falę gorąca i na moment zatoneła w tych oczach, lecz potem przypomniała sobie, co ma do stracenia, i resztką sił odwróciła wzrok. A kiedy znów na niego spojrzała, była już w stanie mu się oprzeć.

- Nie ma o czym mówić - oświadczyła kategorycznym tonem.

- Dlaczego nie chce mi pani powiedzieć? - zapytał cicho.

Przełknęła z trudem ślinę, bo zaschło jej w ustach.

- Już zna pan całą prawdę.

- O czym?

Odwróciła wzrok, z obawy, aby się nie domyśl, że coś przed nim ukrywa.

Wolf przyciągnął ją jeszcze bliżej i znów spojrzał na nią oczyma, które zdawały się czytać w jej myślach.

- Kempster twierdzi, że pani ojciec nie żyje. Czy to prawda?

Zadrżała w duchu, gdyż słowa te były zbyt bliskie prawdy. Niechby już wreszcie zakończył to przesłuchanie! Nie chciała, żeby poznał jej prawdziwą tożsamość oraz historię jej ojca.

- Moja rodzina nie powinna pana interesować.

- Chyba już ustaliliśmy, co mnie interesuje, jeśli chodzi o panią. - Jego ton był prawie pieszczotliwy, jakby zwracał się do kochanki.

Stał tak blisko, że jego gorący oddech muskał jej czoło. Zamknęła na moment oczy, czując, że jej wola słabnie.

- Panno Meadowfield - podjął znowu łagodnie, a gdy uniosła powieki, zobaczyła nad sobą jego srebrzyste oczy. Puścił jej nadgarstek i ujął ją za rękę. Palce miał ciepłe; poczuła lekkie mrowienie skóry, tam gdzie jej dotknął. - Dlaczego nie chce mi pani zaufać?

Przecież chciała, na Boga! Chciała mu wszystko powiedzieć, chciała, żeby wziął ją w ramiona. Marzyła o tym, by uwolnić się od ciężaru, który przez tyle lat niosła całkiem sama.

- Wolf... - wyszeptała, muskając kciukiem jego palce. - Ja...

W tej samej chwili poczuła zapach dymu i odruchowo odwróciła się do okna, za którym rozciągało się podwórze, zalane teraz księżycową poświatą.

W sekundę później rozległo się łomotanie do drzwi i usłyszeli głos Campbella. Z dołu dobiegły głośne krzyki, szuranie mebli po drewnianych podłogach i huk przewracanych stołków. Ze stajni po drugiej stronie podwórza zaczęły się wydobywać płomienie.

Zanim Wolf dotarł na podwórze, dym już zgęstniał i ogień zdążył się rozprzestrzenić. Z głębi stajni dochodziło rzenie oszalałych ze strachu koni. Mężczyźni wyprowadzali je na drogę i próbowali uspokoić. Wokół panował straszliwy zamęt. Ludzie biegali tam i z powrotem, ciągnęli wodę ze studni, a potem nieśli wiadra, rozchlapując po drodze połowę ich zawartości, zanim zdążyli wylać ją na płomienie.

- Niech to diabli! - zaklął półgłosem Wolf.

Nie miał ochoty się w to angażować, a jednak musiał. Natychmiast zorganizował łańcuch ochotników, którzy podawali sobie wiadra, dzięki czemu gaszenie ognia potoczyło się sprawniej. Niestety, było już za późno, aby uratować stajnię, wciąż jednak była szansa na ocalenie zajazdu. Panujący wokół chaos rósł z minuty na minutę. Gęsty dym spowijał podwórze, a trzask ognia zagłuszał ludzkie krzyki. Wolf wbiegł do płonącej stajni, żeby wyprowadzić resztę koni.



Dym i żar, dokuczliwe na podwórzu, wewnątrz stajni były niemal nie do zniesienia. Wolf spieszył się, przeczuwając, że zostało bardzo niewiele czasu. Dotarł do ostatniego zajętego boksu, otworzył go i spróbował wyprowadzić przerażonego wałacha na dwór, na świeże powietrze. Podbiegł Campbell i zaczął przemawiać łagodnie do konia, aby go uspokoić. Docierali już prawie do stajennych wrót, gdy minęła ich panna Rosalind Meadowfield, opatulona peleryną i biegnąca w przeciwnym kierunku.

Wolf obejrzał się za nią, przekonany, że wzrok płata mu figła, lecz gdy Campbell zawołał ją po imieniu, zrozumiał, że się nie pomylił.

- Bierz konia i wychodźcie na dwór - krzyknął do Campbella. - Ja pójdę po nią.

- Tylko się pospiesz, Wolf, bo ta buda zaraz nam runie na głowę.

Ale Wolf już popędził za Rosalind, zatykając nos i usta chustką, dla ochrony przed gryzącym dymem.

Panna Meadowfield biegła w stronę drabiny, prowadzącej na stryszek z sianem. Wolf dopadł ją w chwili, gdy stawiała stopę na pierwszym szczeblu, porwał ją na ręce i zawrócił do wyjścia.

Ona jednak podniosła krzyk i zaczęła mu się wyrwać.

- Nie! - protestowała, wskazując na drabinę.

- Co pani wyprawia?! Zginiemy oboje, jeżeli zaraz stąd nie wyjdziemy! - Jednym szybkim ruchem przerzucił ją sobie przez ramię.

- On tam jest! - zawołała. - Ten mały żebrak. Widziałam, jak wchodził wieczorem do stajni.

- Na pewno już uciekł.

- Nie! - krzyczała przeraźliwie, szarpiąc się tak mocno, że omal jej nie upuścił. -

Proszę cię, Wolf! Nie zostawiaj go na pastwę płomieni!

Ścisnął ją mocniej i przyspieszył kroku, gdy nagle usłyszał słaby głos, dobiegający z góry. Odwrócił się i zobaczył przerażoną dziecięcą twarzyczkę wyglądającą ze stryszku.

- Proszę pana! - krzyczał chłopiec.

Głos trząsł mu się ze strachu.

Wolf postawił pannę Meadowfield na ziemi.

- Szybko, na dwór! - zakomenderował. - Ja wyprowadzę chłopaka. - Pchnął ją ku wrotom, a sam zawrócił w stronę drabiny. Kiedy się po niej wspinał, żar był już nie do zniesienia. Zdażył jeszcze chwycić chłopca, zanim zawaliła się część stropu i płomienie zaczęły lizać drabinę.

Spojrzał w dół, próbując ocenić wysokość, i ku swemu zdumieniu zobaczył pannę Meadowfield, patrzącą w górę.

- Zrzuć go, a ja spróbuję go złapać - zawołała.

Miała rację, bo na nic więcej nie było już czasu. Wolf krzyknął ostrzegawczo i zrzucił chłopca z góry. Zobaczył jak panna Meadowfield wyciąga ręce, łapie dziecko i przewraca się z nim na wznak. Ale on zdażył już zeskoczyć i podniósłszy chłopca, postawił ją na nogi. Z dzieckiem w ramionach i panną Meadowfield u boku dopadł wrót stajni w chwili, gdy runął strop i reszta budynku stanęła w płomieniach.

Po wyjściu na dwór położył chłopca na trawie, przy drodze. Dzieciak leżał nieruchomo, twarz miał czarną od sadzy.

Wolf poklepał go delikatnie po policzku, mrużąc:

- Obudź się, mały. Powiedz coś.

Panna Meadowfield zdjęła futrzaną pelerynę i przyklękła, aby okryć nią chłopca.

- Czy on...? - Gdy zwróciła ku niemu oczy, dostrzegł w nich przerażenie, wyczuwalne również w jej głosie.

A potem popatrzyła na chłopca i pogłaskała go delikatnie po twarzy.

Dzieciak jęknął, zakrztusił się, po czym zaniósł się strasznym, chrapliwym kaszlem. Kaszlał tak długo, aż zwymiotował.

- Będzie żył - stwierdził Wolf. Zobaczył, że panna Meadowfield odetchnęła z ulgą.

- Dzięki Bogu! - wyszeptała.

- Skąd pani wiedziała, że on tam jest? Przecież mógł wyjść, po tym jak go pani widziała.

Potrząsnęła głową.

- Przez cały wieczór stałam przy oknie i nie widziałam, żeby wychodził. Zeszłam za panem na dół i rozglądałam się w tłumie, ale nigdzie go nie było. Dopiero jeden ze stajennych powiedział mi, że chłopiec sypiał czasami na sianie.

- Mogła pani zginać - rzucił Wolf szorstko.

- Dokładnie tak samo jak pan - odparowała. - Nie mogłam go zostawić, żeby spłonął żywcem.

- Rzeczywiście, nie mogła pani - powiedział już łagodniej i w jego oczach mignęło zrozumienie.

Jego łagodność rozbroiła ją do tego stopnia, że nie była w stanie dłużej nad sobą panować.

- Przecież on nie ma więcej niż pięć lat i musi sypiać w stajni na sianie. - Głos jej się załamał, wybuchnęła płaczem.

Wolf wyciągnął do niej ręce, ale w tej chwili nadeszli Campbell z Kempsterem oraz grupa ludzi z doktorem na czele, i tłum wchłonął pannę Meadowfield.

Rosalind poczuła, że ktoś chwyta ją za łokieć. Odwróciła się i zobaczyła nad sobą twarz Kempstera. Mężczyzna pomógł jej wstać, kiedy ludzie zasłonili jej Wolfa i dziecko. Potem ujął ją pod ramię i wyprowadził z tłumu.

- Chodźmy - powiedział, odciągając ją na bok.

Potrząsnęła głową i spróbowała wyswobodzić się z jego uścisku.

- Powinnam pomóc Wolfowi przy chłopcu.

- Nic więcej nie może już pani dla niego zrobić. Idziemy!

Ruszyła w stronę zajazdu.

- Nie w tę stronę! - Kempster złapał ją za rękę i pociągnął w przeciwnym kierunku.

Spojrzała na niego z przerażeniem.

- Co pan robi?

- Chciałaby pani uciec, prawda?

- Tak, ale...

- No to w drogę, zanim będzie za późno. Odwiozę panią do najbliższej stacji dyliżansów pocztowych.

Rosalind osłupiała ze zdumienia. Miała wrażenie, że się przesłyszała.

- Dlaczego miałby mi pan pomagać?

- Może mimo wszystko nie chcę, żeby pani zawisała na szubienicy.

- Przecież wszyscy się dowiedzą, że pan mi pomógł.

- Wróć, zanim ktokolwiek zdąży zauważyć moje zniknięcie.  
- Ale ten pożar... ten chłopiec... Nie mogę teraz odjechać. Jutro rano...  
- Rano będzie za późno. Teraz albo nigdy. - Kempster wciąż ścisnął ją za rękę. Jego zaczerwieniona twarz była umazana sadzą. - Decyzja należy do pani, panno Meadowfield: Albo ucieczka, albo stryczek.

Miał rację. Nie mogła już zrobić nic więcej dla tego chłopca, a rano musiałyby ponownie stawić czoło Wolfowi i jego pytaniom, jak również przyznać się przed samą sobą, że coś zaczynało się dziać między nimi. Pewnie skończyłoby się tak, że nie starczyłoby jej sił, aby mu się oprzeć, on zaś, tak czy owak, wydałby ją w ręce Evedona.

W tej sytuacji nie miała innego wyjścia, jak tylko przyjąć propozycję Kempstera. Była to jej jedyna i ostatnia szansa. Decyzja nie przyszła jej jednak łatwo. Chciała dowiedzieć się czegoś więcej o zdrowiu chłopca, a także o tym, gdzie zamieszka i kto będzie się nim zajmował. Chciała też podziękować Wolfowi, że uratował mu życie, i spojrzeć po raz ostatni w te jego srebrzyste oczy. Jednak w tej chwili sprawą pierwszej wagi był jej los. Dlatego musi uciekać już teraz, póki ma jeszcze szansę.

Odwróciła się do Kempstera.

- Muszę wrócić po torbę.
- Niech pani zapomni o torbie.
- Jeżeli mam być zdana tylko na siebie, będę jej potrzebować - nalegała.
- Dobrze, ale niech się pani pośpieszy, bo straci pani okazję.

Skinęła głową.

Kempster, nie puszczając jej ramienia, skrzył w stronę zajazdu. Gdy po raz ostatni spojrzała za siebie, tłum rozstał się na moment i mogła raz jeszcze popatrzeć na Wolfa. Kiedy się oddalała, nękała ją myśl, że nie jest ani trochę lepsza od szczura, który ucieka z tonącego okrętu.

Wolf zaniósł chłopca do pobliskiej chaty i dopiero kiedy go tam ulokował, wrócił, aby dogaszać pożar. Na podwórzu ludzie wciąż podawali sobie wiadra i zlewali wodą resztki płomieni. Budynek stajni już się niemal zawalił i ogień osłabł, ale zagrożenie wcale nie minęło. Widząc to, Wolf zorganizował drugi łańcuch rąk i sam biegał teraz z wiadrami, obok Campbella. Pot zalewał mu oczy, mięśnie bolały od ciągłego wysiłku,

oczy piekły od dymu, a twarz i dłonie paliły dotkliwie. Nie mógł się jednak wycofać, bo było jeszcze tyle do zrobienia, jeśli zajazd miał być uratowany.

Przez wiele godzin cała wieś bez wytchnienia walczyła z ogniem, ręka w rękę z przyjezdnymi. Wczesnym rankiem pożar udało się wreszcie ugasić. Po stajniach pozostały tylko dymiące zgliszcza. Dopiero wtedy mężczyźni mogli umyć się w wiadrach i korytach i powrócić do własnych domów i łóżek.

Wolf zajrzał jeszcze na chwilę do chłopca, po czym wrócił do zajazdu, gdzie Campbell siedział już przy barze, z kuflem piwa. Był blady i oczy miał zaczerwienione od dymu i zmęczenia.

- Dobrze się czujesz, Struan? - zaniepokoił się Wolf.

- Dobrze, Wolf, ale jak dorwę Kempstera, skopię mu tyłek. Ten cholerny leń gdzieś się ulotnił.

- Sam też mu chętnie dołożę od siebie - mruknął Wolf. - Zajrzałeś może do panny Meadowfield?

- Drzwi do jej pokoju były zamknięte, a ty masz klucz. Nie chciałem jej budzić, bo kiedy ją ostatnio widziałem, wyglądała na kompletnie wykończoną.

Wolf spojrzał na niego uważnie.

- Ale ja zostawiłem klucz w drzwiach.

- Wobec tego musiała je zamknąć od środka.

Wolf zaklął pod nosem. Intuicja podpowiadała mu coś innego.

- Wolf...

Ale on już szedł przez salę w kierunku schodów prowadzących na piętro, gdzie znajdował się pokój Rosalind Meadowfield.

Campbell uśmiechnął się znacząco do oberżysty, siedzącego przy sąsiednim stole, po czym dopił swoje piwo i ruszył w ślad za Wolfem.

Wolf tymczasem wbiegł na górę, zatrzymał się przed ostatnimi drzwiami po lewej stronie i głośno zastukał.

- Panno Meadowfield...

- Ćśś! - syknął z tyłu Campbell, który właśnie go dogonił. - Chcesz wszystkich obudzić?

- Panno Meadowfield! - powtórzył Wolf podniesionym tonem, a gdy z pokoju nie dobiegły go żadne odgłosy, nacisnął klamkę, ale drzwi się nie otworzyły. - Masz dosyć sił? - zwrócił się do Campbella.

Campbell uśmiechnął się, po czym obaj z Wolfem cofnęli się, a potem rzucili do przodu i otworzyli drzwi kopniakiem. Pokój, jak się okazało, był pusty. Po pannie Meadowfield i jej torbie nie zostało ani śladu.

- Gdzie ona się podziała, do cholery? - zapytał Campbell.

- Uciekła z Kempsterem - odparł Wolf.

- Na miłość boską! Nie mogła przecież...

- Mogła, możesz mi wierzyć - stwierdził ponuro Wolf, który poczuł się jak ostatni głupiec.

- Musieli uciec wiele godzin temu. Mogą już być bardzo daleko.

- Daleko? Na pewno nie - powiedział Wolf. - Wiemy, że nie podróżują konno, a wszystkie wozy, bryczki i inne pojazdy zostały zabrane do gaszenia pożaru. Czyli oni idą na piechotę, Struan, i to powoli, z uwagi na stan nóg panny Meadowfield.

- Możliwe, ale i tak nie mamy pojęcia, w jakim zmięrzają kierunku.

- A ty dokąd byś poszedł, Struan?

Campbell zmarszczył brwi.

- To by zależało przede wszystkim od tego, z jakiego powodu pomogłem jej uciec.

Wolf uśmiechnął się cynicznie.

- Wątpię, aby chciał ją uratować przed zemstą Evedona. Kempster nie wie, co to współczucie.

- Może ma do niej słabość? Może było coś między nimi w Londynie?

Wolf potrząsnął głową.

- Nie. Kiedy na nią patrzył, w jego wzroku nie było cienia uczucia.

- No to dlaczego jej pomaga?

- Poznałeś takich typów jak Kempster, więc wiesz, o co im chodzi.

- O szybki zarobek jak najmniejszym kosztem.

- No właśnie. Może więc wcale nie pomaga jej, tylko sobie. Chce ją wydać Evedonowi, licząc na to, że sam zgarnie całą nagrodę.

- Przecież dziewczyna nie poszłaby z nim, gdyby tak było.

- Wątpię, by zdradził jej swoje plany.

- A to kawał sukinsyna! - zaklął Campbell. - Niech go tylko dopadnę, to skręcę mu kark.

- Będzie się starał przemieszczać możliwie szybko.

- Czyli dyliżansem pocztowym - powiedział Campbell. - Ale nie mogą przecież czekać na jego przyjazd gdzieś w pobliżu.

- Właściciel zajazdu powie nam, gdzie jest następny przystanek.

Campbell pokiwał głową. Ich oczy się spotkały.

- Obyś miał rację, Wolf. Skąd ta pewność, że poszła z nim dobrowolnie?

- Gdyby ją porwał, nie pozwoliłby jej wrócić po torbę - powiedział Wolf. - Poza tym widziałem, jak z nim szła, bez żadnego przymusu.

Zapadła cisza.

- Czego szukała wczoraj wieczorem w stajni? - zapytał Campbell. - Przecież boi się koni. I wszystko się już paliło.

Wolf oparł się o drzwi i wbił wzrok w sufit.

- Poszła do stajni, żeby uratować tego chłopca.

- A niech to! - Campbell spojrzał na niego przeciągle.

Znowu zapadła cisza.

- Wobec tego, trzeba za nią jechać - stwierdził Campbell po chwili.

- Jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć, Struan - powiedział Wolf. - Ten chłopiec widział podpalacza.

Campbell osłupiał.

- Więc to było podpalenie?

- Tak, to było podpalenie - potwierdził beznamiętnie Wolf.

- I kto to zrobił?

Wolf spojrzał mu wymownie w oczy.

- Pete Kempster

# Rozdział dziesiąty

Poranek był zimny, szary i ponury.

Rosalind resztką sił wlokła się skrajem gościńca.

- Już niedługo - pocieszył ją Kempster.

Pokiwiała głową bez słowa. Podczas nocnego marszu na jej stopach popękały podgojone pęcherze, w podeszwach butów porobiły się dziury, a pończochy i opatrunki przemokły od porannej rosy. Głowa pękała jej z bólu, paliło ją w gardle i płucach, piekły ją zaczerwienione oczy. Mimo to wiedziała, że musi wytrwać, jeśli chce oddalić się od Wolfa na bezpieczną odległość.

Wolf...

Na myśl o nim zadrżała. Była pewna, że musiał już odkryć ich ucieczkę i mogła się tylko domyślać, jak straszliwy targał nim gniew. Będzie ich ścigał, co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości - wściekły, bezlitosny i zdeterminowany.

Przypomniała sobie, jak wynosił małego żebraka z płonącej stajni i jego łagodny głos, kiedy próbował go ocucić. „Obudź się, mały. Powiedz coś”. Przypomniała sobie też, jak szedł u jej boku przez tyle mil. Każde wspomnienie pociągało za sobą następne, aż wreszcie dotarła do momentu, gdy dotknął jej ust w delikatnym pocałunku. „Dlaczego nie chce mi pani zaufać?”- zapytał. Chcąc odciąć się od wspomnień, zamknęła oczy. Wolf brał pieniądze od Evedona za to, że ją schwyta. Zwykły łajdak i tyle, zgorzkniały i wściekły na cały świat. Poza tym zna go zaledwie od kilku dni. Czy komuś takiemu można zaufać? Dobrze zrobiła, decydując się na ucieczkę, kiedy trafiła jej się szansa.

Powtarzała sobie to wszystko przez całą noc, podczas długiego, mozolnego marszu. Jednak, skoro postąpiła słusznie, czemu czuła się tak podle? W uszach wciąż dźwięczały jej jego słowa: „Dlaczego nie chce mi pani zaufać?”. Nie ufała mu, dlatego zdecydowała się skorzystać z pomocy Kempstera. Woląла raczej zaufać służącemu, który z taką złośliwą uciechą szydził z jej strachu, niż Wolfowi. Nic więc dziwnego, że było jej teraz tak ciężko na sercu.

Mimo to podążała niezmordowanie do przodu, z determinacją, o jaką by siebie nigdy nie podejrzewała. Sił dodawało jej przeświadczenie, że Wolf tak czy siak



odwiozłby ją z powrotem do Evedona. To przez tę historię z chłopcem, który omal nie zginął w płomieniach, nachodzą ją teraz takie niemądre myśli. I oczywiście ze zmęczenia. Postanowiła, że nie będzie się już więcej zadreć. Schowany pod ubraniem list przypominał jej, że Evedon nie będzie miał litości. Dlatego wytrwale wciąż szła przed siebie.

Wolf przez cały czas popędzał konia. Jechali w kierunku Leeming Lane, położonego o siedem mil na południe, gdzie znajdował się kolejny przystanek dyliżansów pocztowych, zmierzających do Londynu. Trzymali się głównego traktu, jednocześnie przeszukując wzrokiem okolicę.

Wolf nawet przez chwilę nie wątpił, że Kempster podłożył ogień z jednego tylko powodu: aby wśród powszechnego zamieszania nikt nie zauważył jego ucieczki z Rosalind Meadowfield. Przypominał sobie, jak klęczał przy chłopcu, a ona mignęła mu w tłumie, idąca z Kempsterem. Nie dopatrzył się żadnych śladów użycia siły, żadnego przymusu. Szła całkiem dobrowolnie, bardziej nawet niż chętnie, sądząc po jej spojrzeniu, kiedy się na moment obejrzała. Oczy ich spotkały się wtedy przelotnie i dostrzegł w jej wzroku poczucie winy. Wtedy jeszcze tego nie rozumiał, ale teraz wszystko stało się jasne. Miała powody czuć się winna, skoro zdecydowała się na ucieczkę. I to z kim? Z Kempsterem! Czy ten typ umyślnie postraszył ją końmi, aby sprowokować jej wcześniejszą, żalną próbę ucieczki? Raczej nie, ale w przypadku obecnej nie mogło już być żadnych wątpliwości.

Kiedy ją zaplanowali? Musiało to być wtedy, kiedy Kempster zaniósł jej tacę do pokoju. Ale żeby podpalić stajnie... Znów naszła go ta straszna myśl, która nie dawała mu spokoju, odkąd malec wymienił Kempstera jako podpalacza, i kiedy się okazało, że panna Meadowfield z nim uciekła. Czy już wcześniej знаła zamiary Kempstera? Czy dlatego przez cały wieczór stała przy oknie, obserwując stajnie? Czy ubrana w ciepłą pelerynę czekała tylko na podłożenie ognia?

Czy była jego współniczką? Czy dlatego tak bardzo troszczyła się o życie tego małego żebraka? Wciąż miał przed oczyma jej przerażoną twarz, gdy biegła przez pło-

nącą stajnię, i później, kiedy nachylała się ze łzami w oczach nad nieprzytomnym dzieckiem. To niemożliwe, aby udawała. Dałby sobie za to uciąć głowę.

A przecież uważał Rosalind Meadowfield za wcielenie wszelkiego zła. Był do niej uprzedzony, zanim ją w ogóle zobaczył. Wystarczyło, że Evedon przedstawił mu ją jako córkę zamożnego dżentelmena, a już wydał na nią wyrok. Nie lubił jej z początku, nawet nienawidził, to się jednak w ciągu następnych dni zmieniło. Niewinne spojrzenie jej urzekających oczu kazało mu zwątpić w oskarżenia Evedona.

Teraz miał do siebie pretensje za swoją słabość. Przymykał oczy na prawdę, bo zaślepiła go uroda tej kobiety. Owszem, był w stanie uwierzyć, że poszła dobrowolnie za Kempsterem. Nawet po tym, jak w zalanym księżycową poświatą pokoju poczuł delikatne muśnięcie jej kciuka. W sumie taki drobny, przelotny gest, a jednak dla niego znaczył tak wiele. Nie mógł jednak uwierzyć w to, że Rosalind Meadowfield przyłożyła rękę do tego pożaru. Świadomość, że został zdradzony, napełniła jego serce goryczą. Panna Meadowfield okazała się, ostatecznie, dokładnie taka, jak przypuszczał. Dlaczego więc czuł się tak, jakby ktoś go wyrznął w żołądek?

Zaczął myśleć o swoim zauroczeniu jej osobą, czyli o pożądaniu, bo nie mogło to być nic innego. Była przecież uosobieniem wszystkiego, czego nauczone go nienawidzić. Była jego całkowitym przeciwieństwem, a mimo wszystko jej pragnął, jak żadnej kobiety, choć nie chciał się do tego przyznać. Dopiero teraz spojrzał prawdzie w oczy i poczuł pogardę do samego siebie.

Pomyślał o Kempsterze i o tych wszystkich kobietach, z którymi ten przespał się od wyjazdu z Londynu. Mówił im dokładnie to, co chciały usłyszeć - miłosne zaklęcia bez pokrycia. Słodkie słówka w połączeniu z jego chłopięcą urodą sprawiały, że kobiety ochoczo zadzierały spódnice i rozkładały nogi. Dwie pokojówki, trzy posługaczki, żona oberżysty, bogata wdowa oraz jej córka... Wolf widział go w akcji i nie przypuszczał, aby służący chciał zrobić wyjątek dla panny Meadowfield. Zresztą ona także mogła nie mieć nic przeciwko jego awansom.

Może chciała dokładnie tego samego co inne. Może nawet pragnęła Kempstera?

Przed oczyma stanęła mu urodziwa twarz służącego. Niemal słyszał jego aksamitny, ociekający słodyczą głos. I ten właśnie człowiek był sprawcą pożaru, w

którym mógł zginąć mały chłopiec. Czy taki ktoś byłby w stanie uwieść pannę Meadowfield? Wyobraźnia podsunęła mu wizję Kempstera całującego ją i pieszczącego w łóżku. W nagłym przypiływie furii zaczął sobie wyobrazać, że wali pięścią w jego lalusiowatą facjatę, i było to cudowne uczucie.

Odetchnął głęboko, spojrział przez ramię na Campbella i spiął konia do galopu.

Rosalind czekała na dworze, podczas gdy Kempster z jej ostatnimi pieniędzmi zniknął w zajezdzie „Pod Królewskim Dębem”. Było jeszcze bardzo wcześnie i do przyjazdu dyliżansu zostało im trochę czasu. Stajenni sprząтали przed przybyciem koni pocztowych, aż cała stajnia pachniała świeżością.

Rosalind stała przy drzwiach do zajazdu, próbując wtopić się w ścianę. Wiedziała, że musi przedstawiać sobą widok iście żaloszny - potargana, z gołą głową, czerwonymi oczyma i resztkami sadzy na rękach i twarzy. Suknię miała brudną i poszarpaną, a buty zakurzone i podarte. Część spinek wysunęła się jej z włosów i kilka pasemek opadało jej na szyję i policzki. Bezwiednym gestem spróbowała poprawić fryzurę, czując na sobie podejrzliwe spojrzenia stajennych. Jakże różniła się od tej eleganckiej panny Meadowfield, która wysiadła z dyliżansu w Munnoch Moor, gdzie czekał na nią wysoki mężczyzna o srebrzystych oczach. Wolf... Z lękiem spojrziała na nienicki w dali gościniec. Czy Wolf nawet teraz jej szukał? Bała się tego, a zarazem miała nadzieję.

Po chwili drzwi się otworzyły i Kempster wyszedł na dwór.

- Dyliżans pocztowy do Londynu będzie za godzinę - powiedział, wpychając coś do kieszeni.

- Do Londynu? - zapytała zaskoczona. - Ale ja chciałam jechać na północ.

- Wolf dopadłby tam panią bez trudu. A Londyn to duże miasto. Wystarczająco duże, aby taka dama mogła się w nim rozplątać - zapewnił ją z uśmiechem.

- Nie byłabym tego taka pewna.

- Za bardzo się pani przejmujecie, panno Meadowfield. Niech mi pani zaufa. Londyn to znacznie bezpieczniejsze miejsce niż szkockie pustkowia.

Rosalind zagryzła wargi. Przerazała ją myśl, że miałyby kiedykolwiek zbliżyć się do rezydencji Evedona.

- Poza tym, już kupiłem bilety - dorzucił Kempster.

- Bilety? - powtórzyła, czując, jak serce zaczyna jej bić zbyt szybko. - Chyba jeden mi wystarczy?

- Dama nie powinna podróżować sama w dzisiejszych czasach. To może być niebezpieczne. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby spotkało panią coś złego. Dlatego lepiej będzie, jak panią odwiozę.

- Ale, jeżeli pan nie wróci, pan Wolversley domyśli się, że pomógł mi pan w ucieczce. Evedon też się o tym dowie. Myślałam, że...

- Niech się panienka o to nie martwi. Jakoś to załatwię. A teraz nie mówmy już na ten temat, bo podjąłem decyzję.

Mimo tych zapewnień Rosalind była zaniepokojona i jej nieufność do Kempstera rosła z minuty na minutę.

Minionej nocy wszystko wydawało się oczywiste, ale teraz, w obliczu jego nalegań, aby jej towarzyszyć, sprawa wyglądała inaczej.

- Skąd mogę wiedzieć, że mnie pan nie zawiezie do Evedona?

Kempster spojrzał na nią zranionym wzrokiem, jakby go ugodziła w samo serce.

- Gdybym chciał panią widzieć na szubienicy, zostawiłbym panią z Wolfem, zamiast nadstawiać karku, pomagając pani w ucieczce. - Powiedział to z takim przekonaniem, że nagle wszelkie podejrzenia wydały jej się śmieszne.

- Przykro mi, panie Kempster, ale nie może pan ze mną pojechać. Dziękuję za wszystko, co pan dla mnie zrobił, proszę jednak wracać do pana Wolversleya. Niech mnie pan teraz zostawi. Dalej dam już sobie radę.

Kempster zwrócił na nią swoje błękitne oczy.

- Przecież pani wie, że nie mogę tego zrobić, panno Meadowfield.

- Poradzę sobie, nie chcę też, żeby pan miał jakiegokolwiek kłopoty z mojego powodu. Chcę jechać sama, jestem zdecydowana.

W ciszy, jaka zapadła, słychać było tylko szelest miotły, dochodzący ze stajni. Rosalind obejrzała się i zobaczyła, że stajenny ich podsłuchuje.

- Dokończymy tę rozmowę w jakimś bardziej ustronnym miejscu. - Kempster chwycił ją za łokieć.

W głowie Rosalind rozległ się ostrzegawczy dzwonek. Zaparła się nogami w ziemię.

- No, chyba że chce pani, żeby całe podwórko dowiedziało się o pani sprawkach - dorzucił Kempster. - A to chyba nie jest dobry pomysł, prawda? Tak mi się wydaje.

Miał rację, oczywiście. Skinęła głową i pozwoliła się wyprowadzić na drogę, skąd skręcili w wąską, ciemną uliczkę na tyłach zajazdu. Dopiero wtedy Kempster przystanął.

- Pani troska o moje dobro jest wzruszająca, panno Meadowfield. Zapewniam panią jednak, że nigdy na to nie pozwolę, żeby pani podróżowała dalej sama. - Mówił głębokim, aksamitnym tonem, lecz Rosalind wychwyciła już w nim nutę irytacji.

- Nie, panie Kempster... - zaczęła, ale nie dał jej dokończyć.

- Pojedzie pani ze mną albo wcale, panno Meadowfield - oświadczył z lodowatym błyskiem w oku.

W nagłym przypiływie lęku pokryła się gęsią skórką.

- Wobec tego niech mnie pan odwiezie z powrotem.

Kempster patrzył na nią przez chwilę, jakby nie wierzył własnym uszom.

- To ja ofiarowuję pani wolność, a pani chce wracać?

- Pan zamierza mnie zabrać do Londynu. Wybacz pan, panie Kempster, ale nie brzmi to jak propozycja wolności. Popełniłam błąd. Chcę wracać. Niech mnie pan odwiezie.

- Do Wolfa? - zapytał kpiącym tonem.

- Tak, do Wolfa.

Kempster zmrużył oczy, które zrobiły się jeszcze bardziej niebieskie.

- Ma pani rację, panno Meadowfield, popełniła pani błąd - powiedział cicho. Chłopięcy wdzięk gdzieś się ulotnił, jego przystojne rysy wykrzywił grymas okrucieństwa.

Chciała zawrócić, by jak najprędzej wyjść z tej ciasnej, ciemnej uliczki, ale zagroził jej drogę.

- Pojedzie pani ze mną do Londynu, nawet gdybym miał panią ogłuszyć i zanieść do dylizansu.

Zadrżała, owładnięta straszliwym przecuciem.

- Pan chce mnie zawieźć do Evedona!

- Droga pani - wycedził z chytrym uśmieszkiem - a gdzie indziej mógłbym panią odwozić?

- Nie rozumiem, dlaczego miałby pan zrobić coś takiego. Lord Evedon też tego nie zrozumie.

- Evedonowi będzie wszystko jedno, byle dostał panią w swoje ręce. Poza tym muszę wracać jak najszybciej do Londynu, bo Wolf zaczyna zadawać zbyt wiele pytań.

- Jakiego rodzaju pytań?

- Na przykład o panią. Albo takich, które każą mi podejrzewać, że zwątpił w pani winę.

- Więc dopuszcza myśl, że jestem niewinna? - Rewelacje Kempstera kompletnie ją zaskoczyły.

Teraz była już pewna, że postąpiła źle, godząc się na jego pomoc w ucieczce.

- Przekonała go pani, kiedy opatrywał pani stopy? - Jego śmiech zabrzmiał jak niemiły zgrzyt.

Przysunął twarz do jej twarzy i chciał ją objąć.

Cofnęła się, przerażona, uderzając plecami i głową o zimny mur.

- Po co te pozory? - mruknął. - Z Wolfem nie była pani taka nieśmiała. Albo z Evedonem, jeśli już o tym mowa.

- Nie wiem, o co panu chodzi.

Uśmiechnął się bezczelnie, a zarazem obleśnie.

- Widziałem panią z Wolfem, pamięta pani? Kiedy bandażował pani stopy. Widziałem też panią z Evedonem. Byłem w jego rezydencji tej nocy, kiedy znaleziono klejnoty i kiedy Graves prowadził was z gabinetu na piętro. Miała pani rozpuszczone włosy, jak ładaczka, i zaczerwienione policzki, a suknia zsuwała się pani z ramienia. Wystarczyło spojrzeć, żeby się domyślić, co pani knuła. Niezły z pani numerek, prawda?

- Panie Kempster, pan chyba oszalał!

- Och, po co te gierki, panienko. Jestem znacznie przystojniejszy od Wolfa i Evedona. A przy tym zaliczyłem parę dobrze urodzonych dam - w tym hrabiny, a nawet księżne. - Nachylił się i polizał jej policzek.

Odwróciła głowę ze wstrętem.

- Odsuń się, Kempster! Nie życzę sobie!

- Nie wierzę, że woli pani tego bękarta ze szramą na gębie. Bo to naprawdę bękart, wiedziała pani? Nie ujawnił pani tego drobnego szczegółu, kiedy opatrywał pani stopy?

- Jak pan śmie?! - wydyszała, ale nie zdążyła nic więcej powiedzieć, bo Kempster nagle zaczął ją całować, wpychając jej język do ust i przypierając ją do muru. Poczula, jak jego ręka chwyta ją za pośladek, a druga zaczyna miętosić jej piersi.

Spróbowała go odepchnąć, zaczęła się wrywać. Gniew, strach i upokorzenie dodawały jej sił.

- Puść mnie! - krzyczała. - Zostaw mnie w spokoju!

W odpowiedzi Kempster przysunął się jeszcze bliżej i chciał ją znowu pocałować.

- Jaką ma pani dziś halkę, panno Meadowfield? - mamrotał, wsuwając jej rękę za dekolt. - Tę z koronkami, mam nadzieję.

Zaczęła go odpychać, ale nie ruszył się z miejsca.

- Przestań! - krzyknęła.

- Świetnie pasowała do tego czarnego, jedwabnego sznura. Wie pani, że niektóre kobiety lubią, jak się je zwiąże w łóżku? Może i panią powinienem związać tym samym sznurem? - wyszeptał jej do ucha, napierając krocem na jej biodra.

Z tych strasznych, wulgarnych słów Rosalind wyłowiła nagle prawdę. Przestała się opierać i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma.

- A więc to pan! - wyszeptała wstrząśnięta. - To pan ukradł te klejnoty i podrzucił je do mojego pokoju.

- Teraz już pani wie, dlaczego tak mi spieszo do Londynu? Muszę tam dotrzeć, zanim Wolf się wszystkiego domyśli.

- Więc przyznaje się pan do winy?

- Z przyjemnością. - Uśmiechnął się. - Mogę się przyznać, do czego pani sobie życzy, bo pani i tak nikt nie uwierzy. Będzie pani tylko zdesperowaną kobietą, próbującą ocalić swoją reputację. Poza tym to Graves znalazł te brylanty w pani bieliźnie, a nie ja. A Graves to człowiek poza wszelkim podejrzeniem. Chyba pani o tym wie?

- Dlaczego mnie pan tak nienawidzi? Bo nie chcę się z panem zadawać?

- Ja miałbym panią nienawidzić? Ależ skąd. To nieprawda.

- Więc czemu pan to robi?

- Dla pieniędzy - odparł, wzruszając ramionami. - Ktoś zaproponował mi dużą sumę za wrobienie pani w kradzież. Propozycja wydała mi się zbyt kusząca, żeby ją odrzucić.

Rosalind krew zastygła w żyłach.

- Kto to był? - wyszeptwała.

- Nie wiem, bo mi się nie przedstawił. Jakiś nieznajomy dżentelmen, ciemnowłosy i śniady. Chyba cudzoziemiec? Wypytywał o panią, panno Meadowfield, i chyba pani nie lubił. Ten sznur to był jego pomysł, i nawet sam zawiązał pętlę. Powiedział, że pani będzie wiedziała, co to znaczy.

Potrząsnęła głową. Nie była w stanie uwierzyć, że to aluzja do jej ojca i jego egzekucji. Zmieniła przecież nazwisko, zerwała kontakty z matką i Nell po to, aby Evedonowie nie odkryli jej prawdziwej tożsamości. Mimo to jakiś nieznajomy cudzoziemiec wiedział, że jedwabna pętla będzie miała dla niej szczególne znaczenie.

- Ten, kto za tym stoi, chce mnie powiesić za przestępstwo, którego nie popełniłam. Jeżeli wyda mnie pan w ręce Evedona, to równie dobrze może mi pan własnoręcznie założyć na szyję tę jedwabną pętlę.

Kempster roześmiał się.

- Przecież wszyscy wiemy, że pani nie powieszą, panno Meadowfield. Jest pani damą, szlachcianką, a takich się nie wiesza. Tamten dżentelmen chce tylko być świadkiem pani upadku. Sam mi to powiedział. To wstyd, że Evedon postanowił wyciszyć sprawę. A tak do pani wiadomości: napisałem już do tego dżentelmena, że Evedon chce zatuszować skandal. - Uśmiechnął się i pogłaskał ją po policzku. - Na pewno będzie chciał o tym wiedzieć. To bardzo hojny dżentelmen, naprawdę bardzo hojny.

Rosalind poczuła, że się dusi.

- Panie Kempster! Jak żyję, nie widziałam większego potwora!



- Rozłóż nogi, kochanie, to ci dopiero pokażę wielkiego potwora. - Przygniótł ją znowu do ściany i zamknął jej usta dławiącym, natarczywym pocałunkiem, zdzierając jej jednocześnie suknię z ramion.

Zaczęła go odpychać i kopać, przyciskał ją jednak tak mocno, że nie mogła się ruszyć. Próbowwała krzyczeć, ale ledwie mogła oddychać, bo zatykał wargami jej usta. W końcu, zdesperowana, ugryzła go i poczuła smak krwi.

Kempster odskoczył jak oparzony, przyciskając palce do ust.

- Ty suko! - Spojrzał w osłupieniu na swoje zakrwawione palce. - Ugryzłaś mnie! - W jego oczach pojawił się złowrogi błysk.

Przepchnęła się obok niego i chciała uciec, ale ją złapał i przyciągnął do siebie.

- Zapłacisz za to, panienko! - krzyknął i uderzył ją w twarz.

Rosalind poleciała do tyłu, uderzyła o mur, potknęła się i upadła na kolana. Kiedy spróbowała uciekać na czworakach, chwycił ją za włosy i zaczął ciągnąć.

- Wezmę cię teraz, moja panno Meadowfield, z twoim przyzwoleniem. A kiedy przyjedzie dylizans, wsiądziemy do niego oboje. I nie próbuj mi się opierać, bo cię ogłuszę i zrobię swoje.

- Ty diabelskie nasienie! - wyszeptała Rosalind.

Kempster uśmiechnął się drwiąco, po czym zamknął jej usta brutalnym pocałunkiem, a jego palce wślizgnęły się pod jej ubranie i namacały nagi biust.

Nie zaufałam Wolfowi, pomyślała, to teraz przyjdzie mi za to zapłacić.

# Rozdział jedenasty

- Kempster, ty nędzna kreaturo! - rozległ się nagle głos, który Rosalind natychmiast rozpoznała.

W jej sercu obudziła się nadzieja.

U wylotu uliczki stał Wolf. Wyglądał dokładnie tak samo jak tej nocy, kiedy go zobaczyła po raz pierwszy. Miał na sobie skórzany płaszcz i skórzany kapelusz z szerokim rondem. Przez moment nie mogła uwierzyć, że to naprawdę on, w tej cuchnącej, ciasnej uliczce. Zaczęła się obawiać, że to tylko wyobraźnia płata jej okrutne figle. Jednak dreszcz, jaki ją przeszedł, gdy jego oczy spotkały się przelotnie z jej oczyma, utwierdził ją w przekonaniu, że to Wolf, a nie żadna zjawa.

- To nie to, co pan myśli. - Kempster natychmiast ją puścił. - Zobaczyłem, jak ucieka, więc ruszyłem za nią i dotarłem aż tutaj. Miałem ją panu odwieźć, panie Wolversley, daję słowo. Ale ona mi tego nie ułatwiała, więc musiałem ją jakoś poskromić. - Rozłożył bezradnie ręce.

Wolf milczał, lecz jego złowieszcze milczenie było groźniejsze niż wszelkie słowa. Twarz miał zaciętą i zaciśnięte usta, a jego oczy... Rosalind bała się nawet w nie spojrzeć. Gdyby wzrok mógł zabijać, Kempster byłby już trupem. Musiał zresztą odnieść to samo wrażenie, bo zbladł i zaczął się wycofywać.

Wolf spojrział w głąb uliczki, po czym znów wbił wzrok w swoją ofiarę. Kempster mimowolnie odwrócił głowę i popatrzył w tym samym kierunku.

Na drugim końcu uliczki wyrosła potężna sylwetka Struana Campbella.

- Dzień dobry, Kempster - odezwał się groźnym tonem.

Rosalind zaczęła się przesuwać w stronę Wolfa, który chwycił ją szybko i odciągnął, zasłaniając własnym ciałem. Ani na moment nie przestał przy tym patrzeć Kempsterowi w oczy.

Kempster zaklął pod nosem i cofając się, powiedział:

- Źle wam się wydaje.

- To tobie się źle wydaje, Kempster - odparł Wolf ze złowieszczym spokojem, po czym walnął go pięścią w twarz.

Siła uderzenia odrzuciła Kempstera do tyłu, w stronę Campbella, ten zaś pchnął go z powrotem, w kierunku Wolfa.

Kempster rzucił się w przód, wymachując pięściami, ale Wolf bił się już wcześniej z takimi jak on, w Yorku i Londynie, więc wiedział, jak się zachowywać w takiej sytuacji. Odskoczył do tyłu, a potem zaczął robić uniki w lewo i prawo, tak że ciosy Kempstera trafiały w powietrze.

Niech traci energię i siły, myślał Wolf, niech go poniosą nerwy, niech mu się wydaje, że ma szansę wygrać. Może wtedy uda się wycisnąć z niego odpowiedzi na pewne pytania. Uderzył Kempstera w lewy policzek, potem w prawy, odsłaniając na chwilę własną twarz. Kempster natychmiast wykorzystał okazję i jego pięść wylądowała na ustach przeciwnika. Wolf poczuł metaliczny smak krwi i usłyszał głośny jęk panny Meadowfield. Cofnął się o krok, i jeszcze jeden, ustępując pola Kempsterowi. Zobaczył, jak służący uśmiecha się triumfalnie, odsłaniając zakrwawione zęby, i wiedział już, że ma go w garści.

- Evedon i tak nie zapłaciłby ci za nią - rzucił. - Jesteś jego służącym, więc uważa cię za swoją własność.

- Nie chodzi o Evedona - powiedział Kempster z uśmiechem. - Ona mnie błagała, żebym jej pomógł uciec od ciebie.

- Nic podobnego! - wyrwało się z ust Rosalind Meadowfield.

Wolf spojrzał na nią. Stała upiornie blada, a z kącika jej ust sączyła się krew. Jej oczy pałały gniewem. Przeniósł wzrok na Kempstera.

- A ty postanowiłeś jej pomóc z dobroci serca, jak przypuszczam?

- Owszem, a także dla pieniędzy, które mi zaproponowała.

- Nie dałam mu żadnych pieniędzy. On kłamie! - wykrzyknęła panna Meadowfield, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego.

- Ja kłamie? - Kempster spojrzał na nią z wyrzutem. - Więc twierdzi pani, że panią porwałem? Że nie poszła pani ze mną dobrowolnie?

- Pan mi zaproponował, że mnie zaprowadzi na przystanek dyliżansów pocztowych i pomoże mi uciec - powiedziała, kręcąc głową.

Kempster uśmiechnął się chytrze, bo jej słowa potwierdzały jego wersję. Odwrócił się do Wolfa, przekonany, że zyskał nad nim przewagę.

- Widziałem, jak na nią patrzyłeś, Wolf. Mówiłeś, że nienawidzisz takich jak ona, ale prawda wygląda tak, że pragniesz panny Rosalind Meadowfield.

Wolf milczał z pochmurną miną.

- Naprawdę myślałeś, że ona będzie wolała takiego oszpeconego bękarta niż mnie? - szydził Kempster.

Wolf nie dał się jednak złapać na tę przynętę. Zaczął tylko oddychać powoli i głęboko, dopóki się trochę nic opanował.

- Zapłaciła mi za to, żebym ją zabrał od ciebie, rozumiesz, Wolf? - zarechotał Kempster.

Wolf resztką sił powstrzymał się od tego, aby mu nie przyłożyć.

- Czy zapłaciła ci też za podpalenie? - zapytał.

Kempstera zamurowało. Nie spodziewał się, że Wolf wie, że to jego sprawka.

- A może zapomniałeś jej powiedzieć, że podłożyłeś ogień, żebyście mogli uciec, korzystając z ogólnego zamieszania? - podjął Wolf i czekał w napięciu na odpowiedź.

Rosalind Meadowfield podeszła do Kempstera i popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

- To ty podpaliłeś stajnie?

- Nie wiedziałem, że chłopak jest w środku - burknął. - Myślałem, że wszyscy już wyszli.

Rosalind Meadowfield pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Przez ciebie dziecko mogło zginąć. I konie też.

- Ale nie zginęli. - Kempster wzruszył ramionami. - Poza tym kogo obchodzą konie albo jakiś mały żebrak?

Zapadła cisza.

Wolf nie odrywał oczu od Kempstera, wyczuł jednak, jak panna Meadowfield nagle zamarła.

- Ty piekielny potworze - powiedziała łamiącym się szeptem. - Jesteś gorszy od diabła! - Po tych słowach wybuchnęła płaczem.

A potem zrobiła coś, czego by się nigdy po niej nie spodziewał - rzuciła się na Kempstera i zaczęła go okładać pięściami.

Wolf w pierwszej chwili osłupiał, po czym złapał ją w tali i odciągnął na bok.

- Nie! - Łzy płynęły jej po policzkach. - Puść mnie! - Zaczęła się wyrywać. - On sobie na to zasłużył!

- Zasłużył sobie, to prawda - szepnął jej Wolf do ucha. - Ale zostaw go mnie. - Popchnął ją w stronę Campbella. - Struan, zajmij się panną Meadowfield.

- Ty wściekła babo! - warknął Kempster, przykładając palce do zranionej wargi, która znów zaczęła krwawić. - Widzicie, co mi zrobiła? Zabiję cię za to, głupia dziwko!

- Nie zrobisz tego! - Wolf rzucił płaszcz i kapelusz Campellowi, po czym ściągnął kamizelkę i zakasał rękawy. - Uważasz się za mężczyznę, Kempster, a nie zasługujesz nawet na miano psa. - Po tych słowach wymierzył mu jeden celny cios, w który włożył całą swoją nienawiść i frustrację.

Kempster walnął plecami o ścianę i osunął się na ziemię.

Rosalind podeszła chwiejnym krokiem i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w bezwładne ciało Kempstera, a potem nagle chwyciła Wolfa za rękę.

- Czy on nie żyje? Zabiliśmy go? - zapytała bezdźwięcznym głosem.

Użyła przy tym liczby mnogiej, jakby i ona poczuwała się do winy.

- Żyje. Niestety...

Panna Meadowfield wciąż stała bez ruchu, ze wzrokiem wbitym w leżącego, tylko palce lekko jej drżały. Pewnie nigdy dotąd nie była świadkiem podobnej walki, a tym bardziej nie brała w coś takim udziału.

Wolf chrząknął, aby odwrócić jej uwagę.

- Panno Meadowfield...

Żadnej odpowiedzi.

- Panno Meadowfield! - powtórzył.

Dopiero wtedy ocknęła się. Gdy do niej dotarło, że kurczowo trzyma się jego ramienia, natychmiast opuściła rękę.

- Przepraszam - powiedziała, podnosząc na niego oczy.

Twarz miała zabrudzoną, ze śladami łez, i zaczerwienione, podkute oczy. Rumieńce znikły z jej policzków, tylko z kącika ust sączyła się czerwona strużka. Potargane włosy opadały jej na ramiona, a jej suknia była podarta i przesiąknięta zapachem dymu. Patrzyła mu w oczy przerażonym, zbolałym wzrokiem. Nieszczęsna, kompletnie zagubiona istota, oderwana od wszystkiego, co знаła. Jej mały, bezpieczny światek legł w gruzach.

- Wiem, dziewczyno - powiedział łagodnym tonem. Nie odpowiedziała, tylko spoglądała na niego w napięciu, coraz bledsza.

Wziął płaszcz i narzucił jej na ramiona, po czym szeptem, żeby jej nie przerażać, wydał polecenia Campbellowi. A kiedy ją ujął za rękę i wyprowadził z uliczki, poszła za nim z dziecinną ufnością.

Rosalind siedziała na brzegu łóżka, w zajezdzie „Pod Królewskim Dębem” w Leeming Lane. Zdążyła już zmyć z siebie dotyk Kempstera i przebrać się w czystą suknię. Przyczesła też włosy i związała je schludnie wstążką. Miała wyszorowane zęby, umytą twarz i wyczyszczone buty, a mimo to wciąż czuła się zbrukana.

Dzień był pogodny, ona tymczasem miała lodowate ręce i nogi. Przed jej oczyma wciąż przesuwały się sceny brutalnej walki Wolfa z Kempsterem, jakiej była świadkiem. Niemal słyszała głuche odgłosy wymiany ciosów i czuła zapach krwi tryskającej na mur i wsiąkającej w ziemię. Nie mogła również zapomnieć o łgarstwach Kempstera. Okłamał ich wszystkich, Evedona, Wolfa, no i ją, oczywiście. To on ukradł te klejnoty, kierując na nią podejrzenia, mimo iż wiedział, że grozi jej za to stryczek. A zrobił to wszystko dla pieniędzy, które dał mu jakiś obcy człowiek.

Kempster od początku ją okłamywał, a ona była zbyt głupia i ślepa, żeby to zauważyć. Teraz wiedziała już na pewno, że nigdy nie zamierzał jej pomóc. On ją po prostu ukradł Wolfowi, aby ją przekazać w ręce Evedona. Głupia, po stokroć głupia! Jak mogła uwierzyć w kłamstwa takiego łotra, zamiast zaufać Wolfowi?

Wolf... Oczyma duszy zobaczyła go, jak stał w tej wąskiej uliczce - taki wysoki, silny i zdecydowany. A ona, mimo iż od niego uciekła, wmawiając sobie, że go nienawidzi, w ułamku sekundy pojęła, że jest bezpieczna i że Wolf uratuje ją przed Kempsterem. Nie pamiętała nawet, że trudnił się chwytnościem złodziei i że Evedon zlecił

mu, aby ją schwytał. Widziała tylko Wolfa, groźnego i zaciętego w swoim gniewie, i zimny błysk furii w jego oczach, kiedy patrzył na Kempstera. Ulga, jaką poczuła, była tak ogromna, że o mały włos byłaby mu się rzuciła na szyję;

Pomyślała o jego mocnym, gorącym uścisku, kiedy ją przyciągał, a potem popychał za siebie, osłaniając własnym ciałem. To prawda, że nie przypominał żadnego znanego jej mężczyzny. Jego wygląd, maniery i głos były szorstkie, niemal groźne. Pod tą chropawą powierzchownością kryło się jednak zupełnie inne serce. Człowiek ten szedł obok niej pieszo przez wiele mil, bo wiedział, że boi się koni. To on opatrzył jej poranione stopy i ryzykował życie, aby ocalić dziecko z pożaru. Robił też, co mógł, aby nie dopuścić do rozprzestrzenienia się ognia. Gasił pożar, a ona w tym samym czasie uciekła! I to z kim? Z Kempsterem! Świadomość, że podjęła tak głupią decyzję, napęniała ją palącym wstydem.

Wtedy uważała, że postępuje logicznie, słuchając głosu rozumu. Wolf pojmał ją przecież, więc co w tym dziwnego, że chciała uciec? Jednak w głębi serca wiedziała już, jakim jest człowiekiem, i nie potrafiła dłużej okłamywać samej siebie. Uważała go za łajdaka i ladaco, tymczasem to ona i Kempster zasłużyli sobie na takie miano, uciekając, kiedy powinni byli zostać i pomagać. A wszystko dlatego, że dała wiarę kłamstwom Kempstera, oceniając jakże mylnie Wolfa.

A te kłamstwa, które rozpowiadał na jej temat Kempster? Wolf nie jest chyba taki głupi, żeby w nie uwierzyć? Tam, w uliczce, instynktownie do niego podbiegła, czując, że go pragnie, że jest jej potrzebny. Nie była w stanie tego zrozumieć. Kompletnie zagubiona i skołowana, nie mogła się rozeznąć w swoich doznaniach. W poczuciu bezradności ukryła twarz w dłoniach. Naprawdę nie wiedziała, co robić dalej.

Wolf i Campbell stali na podwórzu przed zajazdem, patrząc za odjeżdżającym Kempsterem.

- Nie ma dowodów, niestety - powiedział Campbell.

Jego włosy wydawały się w promieniach słońca mahoniowe.

- Zeznania małych żebraków nie są wystarczająco wiarygodnym świadectwem w oczach sędziów - stwierdził Wolf z goryczą.

Campbell spojrział na zwitek banknotów, które Wolf wciąż trzymał w ręku.

- Trzydzieści funtów to dużo pieniędzy jak na służącego - zauważył.

- On twierdzi, że dostał je od panny Meadowfield za udzielenie jej pomocy. To spora suma, jak na kieszeń ubogiej panny do towarzystwa. - Chłodny głos Wolfa był pełen cynizmu.

- Myślisz, że to pieniądze za te szmaragdy? Że je sprzedała jeszcze przed wyjazdem z Londynu?

- Sam już nie wiem, co myśleć, Struan.

Campbell chrząknął z dezaprobatą, by po chwili zapytać:

- A co z panną Meadowfield?

- Jak to, co z nią? - Wolf nie odrywał wzroku od oddalającej się sylwetki Kempstera.

- Nie jest ranna?

- Jest posiniaczona i w szoku. Nic więcej po niej nie widać.

- Więc on jej nie...? - Campbell spojrzał znacząco na Wolfa, który pokręcił głową.

- Aż tak daleko się nie posunął.

- Sukinsyn! - zaklął Campbell.

- I to jaki! - potwierdził Wolf.

Gdy Kempster zniknął wreszcie w oddali, Campbell odwrócił się do Wolfa i zapytał:

- I co teraz?

- Teraz ruszamy w drogę do Londynu.

- Ale panna Meadowfield... Czy doszła już na tyle do siebie, że może podróżować? Może powinniśmy poczekać kilka dni, zanim...

- Musimy dokończyć tę robotę, Struan - przerwał mu Wolf. - Zamknąć sprawę, wziąć pieniądze i nie mieć już z tym nic wspólnego.

Campbell spojrzał na niego ostro.

- Nie chcesz chyba zmuszać tej dziewczyny do jazdy wierzchem, tuż po tym, co zrobił jej Kempster?



- Pojedziemy pocztową bryczką. Wydaje mi się, że zapominasz, iż panna Meadowfield jest eskortowaną przez nas złodziejką. Poza tym, uciekła z Kempsterem z własnej woli.

- A ty zapominasz, że poszła do płonącej stajni, żeby uratować dzieciaka. Gdyby nie ona, mały spaliłby się żywcem. - Campbell z niesmakiem pokręcił głową. - O co ci chodzi, Wolf?

Wolf nie zamierzał się jednak przyznać, że odebrał jej ucieczkę jako rodzaj zdrady. Nie chciał, aby Campbell wiedział, że ilekroć w grę wchodzi panna Meadowfield, nie może już sobie ufać. I, co najgorsze, że on, który przez całe życie nienawidził takich Rosalind Meadowfield, coś czuje do tej kobiety.

- Zaczynasz mieć skrupuły? - zapytał cicho Campbella.

- Czasami potrafisz być uparty jak osioł, Wolf.

- Tylko czasami? - Wolf uniósł brwi.

Campbell z niedowierzaniem pokręcił głową.

Wolf odwrócił się, wszedł do zajazdu i przeciąwszy salę na dole, skierował się ku schodom.

- Wolf! - usłyszał za sobą głos Campbella.

Zatrzymał się i spojrzał przez ramię, po czym skinął ponuro głową, wiedząc, że przyjaciel prosi go, aby potraktował łagodnie pannę Meadowfield. Tymczasem buzujące w nim uczucia były dalekie od łagodności. Stanowiły wybuchową mieszankę obrazy, gniewu i pożądania. Igrała z nim, a on okazał się na tyle głupi, żeby jej słuchać. Zaczął jej nawet wierzyć. Nie chodziło jej wcale o niego, tylko o to, aby umknąć przed wymiarem sprawiedliwości i zemstą Evedona. A cała reszta była jednym wielkim kłamstwem i manipulacją. Jak mógł się tego nie domyślić? Przypomniawszy sobie pełne udręki słowa matki sprzed wielu lat, o krzywdzie i niesprawiedliwości, słowa ostrzeżenia... i swoją własną, wypowiedzianą szeptem przysięgę: „Zemsta na szlachcie, słodka zemsta za złamane życie”.

Wspiął się po schodach prowadzących do pokoju Rosalind, z głębokim postanowieniem, że mimo próśb Campbella panna Meadowfield będzie musiała zmierzyć się z konsekwencjami swoich postępów.

Rosalind zdecydowała się opowiedzieć mu całą swoją historię, włącznie z najbardziej ponurymi szczegółami. W końcu wyrwał ją z rąk Kempstera. Może gdyby wcześniej znał prawdę, nie odwoziłby jej teraz do Evedona? Szorstki i nieokrzesany z pozoru, był z natury człowiekiem szlachetnym. To Kempster, ze swoją fałszywą ogładą, okazał się nędznym łotrem. Po raz pierwszy zdecydowała się pójść za głosem serca, a nie rozumu, i zaufać Wolfowi.

Usłyszała pukanie, spojrzała na drzwi i serce jej szybciej zabiło. Zapadła cisza, a potem drzwi otworzyły się i w progu stanął obiekt jej rozterek.

- Wolf! - wyrwało jej się bezwiednie.

Wstała i ruszyła w jego stronę, rozpromieniona, lecz gdy zobaczyła wyraz jego twarzy, z której zniknęła wszelka łagodność, uśmiech zamarł jej na ustach. Zatrzymała się i spojrzała na niego niepewnie.

Wolf wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Rosalind nie ruszyła się z miejsca, bo nie wiedziała, co robić.

- Doszła pani trochę do siebie? - zapytał szorstkim tonem.

W tym momencie zrozumiała, że wszystko się zmieniło. To już nie był ten sam Wolf, który ją tak czule całował i który ją obronił przed Kempsterem. Ogarnęła ją czarna rozpacz, niewiele brakowało, a wybuchnęłaby płaczem. W jednej chwili prysły jej nadzieje. Wolf nie uratuje jej przed zemstą Evedona, a ona nic mu już nie powie.

Skinęła głową. Bała się odezwać choć słowem.

- Czuje się pani na tyle dobrze, że możemy już dziś jechać dalej?

- Do Londynu? - Z bijącym sercem czekała na odpowiedź, choć znała ją z góry.

- A dokąd by indziej? - zdziwił się.

Odwróciła wzrok, aby ukryć przed nim swoje uczucia. Znowu zapadła cisza.

Po chwili Rosalind wyprostowała się i zapytała obojętnym tonem:

- No to kiedy wyjeżdżamy?

- Jak tylko będzie pani gotowa. - Wolf wyszedł z cienia i stanął na środku zalanego słońcem pokoju.

W rękę trzymał skórzany kapelusz i uderzał nim lekko o biodro. Jego jasne, potargane włosy połyskiwały złościście w słońcu, a oczy, na tle śniadej cery, wydawały

się jasnoszare. Twarz, choć surowa i grubo ciosana, była znacznie przystojniejsza niż chłopięca buźka Pete'a Kempstera. Rosalind pomyślała, że żaden mężczyzna nie może się z nim równać.

Wzięła głęboki oddech.

- Jestem gotowa. - Słowa te, wypowiedziane spokojnym tonem, zabrzmiały bardzo przekonująco, ale było to kłamstwo, rzecz jasna, bo nigdy nie będzie gotowa na spotkanie z Evedonem.

Stali przez chwilę, patrząc na siebie w narastającym napięciu.

- A ten chłopiec ze stajni? Jak on się czuje? - Głos Rosalind zabrzmiał podejrzenie ochryple, miała jednak nadzieję, że Wolf uzna to za skutek podrażnienia dymem.

- A co to panią obchodzi? - rzucił pogardliwym tonem.

- Właśnie, że mnie obchodzi.

- Tak bardzo, że wołała pani uciec z Kempsterem, niż zostać i zaopiekować się dzieckiem?

Była to prawda, niezwykle bolesna, ale nie to ją najbardziej dotknęło, lecz podejrzenie, że uciekła, bo coś ją łączyło z Kempsterem. Nie podjęła jednak tematu.

- Co z chłopcem? - powtórzyła.

- Dochodzi do siebie.

Pokiwała głową.

- Miło mi to słyszeć.

- Naprawdę? - rzucił szorstko i podszedł bliżej z furią w oczach. - Naprawdę, panno Meadowfield?

- Oczywiście, że tak! - Odwróciła się z westchnieniem do okna i zaczęła masować sobie skronie, w których narastał ból. - Nie powinnam była uciekać z Kempsterem - powiedziała cicho, jakby do siebie. - Ale byłam zdesperowana. - Odwróciła się i spojrzała mu wyzywająco w oczy. - Nie chcę zawisnąć na szubienicy.

- Dostyc już tego udawania! Gdyby pani była zwyczajną służącą, powiesiliby panią, oczywiście, ale szlachcianek się nie wiesza. Evedon chce zatuszować sprawę tej kradzieży. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Chyba pani o tym wiedziała?

Nie ma sprawiedliwości? Rosalind pomyślała o egzekucji ojca i o tym, co spotkało później jej rodzinę. Pomyślała o brylantach znalezionych w jej pokoju, a także o Evedonie i tym przeklętym liście. Zdecydowała, że będzie milczeć aż po grób.

Wolf wciąż patrzył na nią surowym, potępiającym wzrokiem.

- Jak to było z Kempsterem? - zapytał.

- Zaproponował mi pomoc w ucieczce. Powiedział, że mnie doprowadzi do następnej stacji dylizansów pocztowych i tam zostawi.

- Tak po prostu? - zapytał, zaciskając usta.

- Tak - odparła. - Ale mnie okłamał.

- Pani też kłamała - przypomniał ze złowrogim spokojem i przez ułamek sekundy coś jakby ból mignęło w jego oczach. - A ja pani uwierzyłem.

- Mówiłam prawdę.

- Czyżby? - Wyjął z kieszeni plik banknotów. - Trzydzieści funtów, panno Meadowfield. Znaleźliśmy je przy Kempsterze. - Cisnął je w jej stronę. - Należą do pani.

Popatrzyła na pieniądze, a potem na Wolfa.

- Uwierziliście Kempsterowi, że próbowałam go przekupić?

- A skąd służący wzięłoby trzydzieści funtów?

Spojrzała mu w oczy.

- Rzeczywiście, skąd? - rzuciła z gniewem.

Skoro Wolf dał wiarę kłamstwu Kempstera, to nie zasługuje na szczerść, pomyślała.

- Więc pani nie zaprzecza? - wycedził z najwyższą pogardą.

Spojrzała na banknoty. Mogłaby mu wyznać całą prawdę, ale i tak by jej nie uwierzył. Więc niech go diabli! Nie powie mu ani słowa.

- Może je sobie pani pozbierać! - rzucił, mrużąc oczy.

Miała uczucie, jakby wielki gład legł jej na piersi, utrudniając oddychanie. Pod powiekami poczuła piekące łzy. Ale nie będzie płakać przy Wolfie. Stała naprzeciw niego, równie wściekła jak on.

- No! Czekam! - powiedział zjadliwym tonem. - Rozumiem, że to pieniądze za te szmaragdy. Pewnie pani myślała, że można kupić wszystko i wszystkich - oczywiście za

odpowiednią cenę. Byle tylko ocalić własną skórę, nie przejmując się resztą. Ale tym razem się pani nie uda. Już ja tego dopilnuję, panno Meadowfield. - Jego pociemniałe oczy miały błyskawice.

Odwrócił się i wyszedł.

Białe banknoty leżały rozsypane na podłodze wokół stóp Rosalind.

## Rozdział dwunasty

Ostatecznie nie wyjechali jednak tego ranka. Wolf ustąpił i dał im dzień odpoczynku. Sam spał bardzo źle tej nocy. Myśli jego krążyły nieustannie wokół panny Meadowfield. Wciąż pamiętał, jak oczy jej zabłyśły, kiedy wszedł do pokoju, i jak ruszyła ku niemu z nieśmiałym uśmiechem. Pamiętał też jej oburzenie i strach podczas szarpaniny z Kempsterem. Jak również jej uporczywą odmowę przyjęcia z powrotem swoich trzydziestu funtów, tak że Struan musiał je pozbiierać z podłogi, kiedy przyniósł jej tacę z obiadem.

Oszukała go, zdradziła, próbowała przekupić Kempstera - a mimo to nadal jej pragnął i wyraźnie miał do niej słabość. Co z niego za głupiec! Przecież to perfidna kłamczucha i złodziejka. Ukradła szmaragdy i sprzedała je, oczywiście, bo skąd wzięłaby pieniądze dla Kempstera? Jeśli to prawda, że jest taka biedna, jak twierdził Kempster. Zrobiła tyle strasznych rzeczy, więc dlaczego tak się nią przejmował?

Wciąż miał w pamięci jej dobroć, okazaną małemu żebrakowi, i odwagę, kiedy ryzykowała własne życie, aby ocalić to dziecko. Pamiętał dotyk jej ust i jej zdumione, niewinne spojrzenie, a potem błysk pożądania w oczach, kiedy ją pocałował. Jej stopy poranione od marszu przez tyle mil, bez słowa skargi... Powinien jej nienawidzić, pogardzać nią, bo tak go przecież wychowano - ale nie potrafił. Co miała w sobie takiego, że była w stanie przebić się przez zasieki, jakie wznosił wokół siebie przez tyle długich lat? Urzekła go, pragnął jej jak żadnej dotąd kobiety. Gdy wreszcie zasnął, śnił mu się pożar i bójka z Kempsterem, ale przede wszystkim panna Rosalind Meadowfield.

- Nie ma więc wolnej bryczki aż do końca przyszłego tygodnia? Wiem, że ta dziewczyna potwornie boi się koni, ale nie możemy tak długo czekać. - Campbell stał oparty o mur otaczający podwórze przy stajniach.

- Nie możemy - przytaknął Wolf.

Czuł się tego ranka wyjątkowo zmęczony, nie tyle z niewyspania, co z powodu duchowych rozterek.

Brudnoszare poranne niebo zdawało się odzwierciedlać ponury nastrój obu mężczyzn.

- Jej się to nie spodoba - mruknął Campbell.

- Trudno. Pojedziemy powoli. Nic więcej nie da się zrobić.

- Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że będzie musiała jechać z tobą? Ten młody koń, którego mi dali, nie uniesie dwóch osób - stwierdził Campbell.

- To weź mojego, a ja pojedę na twoim.

- Żadna różnica, i tak się nie zmieścimy. - Campbell spojrzał na Wolfa. - A dlaczego ty nie chcesz jej zabrać? Czy to dla ciebie jakiś problem?

- Nie, żaden problem - burknął Wolf.

Nie chciał okłamywać przyjaciela, ale też nie zamierzał wyluszczać mu prawdziwych powodów, zwłaszcza że sam tak naprawdę ich nie rozumiał.

- Moim zdaniem... masz problem sam ze sobą. Chodzi mi o to, co dzieje się między tobą a panną Meadowfield - powiedział cicho Campbell.

- Nic się między nami nie dzieje - odparował Wolf, trochę za szybko.

Jak mógł zapomnieć, że Struan jest wybitnie spostrzegawczy i rzadko coś uchodzi jego uwagi.

- Naprawdę? - Campbell uniósł brwi.

- Naprawdę - uciał Wolf.

Miał nadzieję, że przyjaciel zostawi go w spokoju.

- Ale nie chcesz jej wziąć na swojego konia.

- Dobrze już, dobrze, mogę ją zabrać - uniósł się Wolf. - Jest mi wszystko jedno. -

Kolejne kłamstwo. Już sama myśl, że miałby jechać przytulony do Rosalind Meadowfield, uruchamiała w jego głowie dzwonek alarmowy.

Zapadła cisza.

- Przecież nie musimy jej odwozić - odezwał się w końcu Campbell, spoglądając wymownie na Wolfa. - Moglibyśmy puścić ją wolno i na tym zakończyć sprawę. Sam mi mówiłeś, że zacząłeś wątpić w prawdomówność Evedona.

Wolf obruszył się. Miałby ulec chwilowej słabości?

- Wykluczone! Odwozimy ją do Evedona, Struan - oznajmił kategorycznym tonem.

- Jak chcesz - mruknął Campbell, ruszając w stronę zajazdu. - Ale czy pomyślałeś, w jakim będziesz stanie, kiedy tam dotrzesz?

Rosalind powiedziano, że nie ma bryczki, więc muszą podróżować w ten sam sposób jak poprzedniego dnia - czyli ona pojedzie z Wolfem na jego ogierze. Tylko że nic już nie było takie samo jak poprzedniego dnia, bo wszystko się między nimi zmieniło. Świadczyło o tym napięcie, z jakim obejmowało ją jego ramię, i ten dziwny błysk, ilekroć spotkały się mimowolnie ich oczy.

Dzień był równie ponury jak otaczająca ich aura. Zimny wiatr pędził kłębiaste chmury po wyblakłym niebie. Już dwa razy padało, przelotnie na szczęście, więc nie miało to większego wpływu na tempo ich podróży. Ogier nie budził już w Rosalind tak panicznego lęku, bo wiedziała, że Wolf jest dobrym jeźdźcem i panuje nad koniem. Monotonny trucht podziałał na nią relaksująco. Czuła się ociążała z braku snu i obolała po szarpaninie z Kempsterem. Miała wielką ochotę oprzeć głowę na piersi Wolfa i zamknąć oczy, ale nie mogła tego zrobić. Uważał ją przecież za złodziejkę i oszustkę.

Już tylko kilka dni dzieliło ich od Londynu. Tak przynajmniej twierdził Campbell. Już niedługo będzie musiała stawić czoło Evedonowi. A Evedon, wbrew temu co utrzymywał Wolf, nie pozwoli jej żyć, gdyż wie, że poznała jego największy sekret. List, który czuła na piersi, przypominał jej o tym każdego dnia. Była głupia, że go w ogóle zabrała. Każda przebyta mila przybliżała ją ku jej przeznaczeniu. Na myśl o tym ścisnęło jej się gardło i dłonie pociły się ze strachu.

Przed oczyma stanęła jej czarna jedwabna pętla, zwisająca spomiędzy palców Evedona tamtej feralnej nocy, w jego gabinecie. Z jaką furją i strachem zareagował na widok listu, który wpadł jej w ręce. Nie miała ochoty umierać, dlatego nie będzie czekała bezczynnie, aż Wolf odwiezie ją na pewną śmierć. Znowu przyszło jej na myśl, żeby

wyznać mu prawdę i błagać, aby się nad nią ulitował. Było jej tak ciepło w jego obję-objęciach, wydawało jej się nawet, że czuje miarowe bicie jego serca. Odważyła się zerknąć na niego, a on od razu wyczuł jej ruch. Srebrzyste oczy spotkały się z jej oczyma. Mimo tych wszystkich złych słów, jakie wymienili tego ranka, coś między nimi zaiskrzyło. Nagła fala gorąca zalała całe jej ciało. A potem Wolf odwrócił wzrok i pojechali dalej w pełnym napięcia milczeniu.

W pewnej chwili usłyszeli za sobą jakiś głuchy odgłos, który przełamał monotony spokój. Wolf spojrzął za siebie, zatrzymał konia, pomógł Rosalind zsiąść, i dopiero potem sam zeskoczył na ziemię.

Tuż przy drodze, kilka kroków za nimi, Rosalind zobaczyła leżące na ziemi sakwy Wolfa. Podszedł do nich i przykucnął, żeby obejrzeć rzemienie, a następnie zarzucił je sobie na ramię i wrócił do miejsca, w którym stała z Campbellem.

- Paski wyglądają na nieuszkodzone. Ty je wiązałeś dziś rano. Czy coś było nie tak? - zwrócił się do Campbella.

Przyjaciel potrząsnął głową.

- Byłem pewien, że przytroczyłem je jak należy...

- Nic się nie stało - powiedział Wolf i zaczął z powrotem przywiązywać sakwy.

- Wezmę dziewczynę i pojedę przodem, a ty zrób porządek ze swoim bagażem - powiedział Campbell. - Zaoszczędzimy w ten sposób trochę czasu. Potem nas dogonisz i znów ją przejmiesz. Mój koń powinien unieść nas oboje przez kwadrans.

Wolf skinął głową bez słowa.

- Chyba że ma pani jakieś obiekcje przeciwko jeździe ze mną i woli poczekać na Wolfa? - zwrócił się Campbell do panny Meadowfield.

- Nie, nie - odparła zbyt pośpiesznie. - Nie mam nic przeciwko temu. W końcu co za różnica, z kim jadę?

- Rzeczywiście, żadna różnica - mruknął Campbell.

Kiedy dosiadł konia, przyjęła jego pomocną rękę. Campbell radził sobie w siodle równie dobrze jak Wolf i koń ruszył miarowym truchtem. Rosalind starała się nie patrzeć za siebie, tam gdzie pozostał Wolf.



Jechali już przez jakiś czas i z każdą mijającą minutą Rosalind coraz pilniej nasłuchiwała, czy nie rozlegnie się za nimi galop ogiera, ale wciąż panowała cisza. Czekala i czekała, nadstawiając ucha, aż w końcu odważyła się obejrzeć. Nigdzie ani śladu Wolfa. Czy to możliwe, że odjechali aż tak daleko?

Za zakrętem drogi Campbell nagle zatrzymał konia. Chce poczekać na Wolfa, pomyślała, choć właściwie nie powinno jej to obchodzić. Czy to nie lepiej, że jechała z Campbellem, skoro między nią a Wolfem panowało takie napięcie? Campbell zsadził ją jednak na ziemię, a sam pozostał w siodle i spojrzał na nią w zadumie.

- Nadal chce pani uciec, panno Meadowfield?

Popatrzyła na niego z podejrzliwym zdumieniem.

- A może pogodziła się już pani z myślą o powrocie do Evedona?

- Oczywiście, że chcę uciec!

- Wobec tego ma pani szansę. Niech pani ucieka!

- Puszczaj mnie pan wolno? - zapytała Rosalind z niedowierzaniem.

- Właśnie tak.

- Ale dlaczego? Myślałam, że Evedon obiecał wam za mnie dużo pieniędzy.

- Lepiej mi nie przypominaj, co tracę, dziewczyno.

- Czy Wolf o tym wie?

- A jak pani myśli?

Potrząsnęła głową bez słowa.

- Nie jestem ślepy, panno Meadowfield - ciągnął dalej Campbell. - I widzę, co się z wami dzieje.

- Ależ nic... - zaczęła, lecz jej przerwał.

- Wolf też tak mówi, ale niezła z was para kłamczuchów - powiedział i cień uśmiechu przemknął przez jego twarz. - Wolf o własnych siłach wyciągnął się z rynsztoka. Robił, co musiał, aby przeżyć. Nie ma pani pojęcia, skąd on pochodzi, jakie było jego życie i czym przyszło mu się zajmować. To, z czym się uporał, innych dawno by zabiło. Jednak jego uczucia do pani każą mu kwestionować wszystko, w co dotąd wierzył i co go podtrzymywało przy życiu przez te wszystkie ciężkie lata. Mówiąc wprost, panno Meadowfield, pani go zniszczy. A ja nie mogę do tego dopuścić. - Potrząsnęła głową.

- Nie! To nie tak! Nic między nami nie ma! - wykrzyknęła, choć serce mówiło jej, że to nieprawda, bo coś było między nimi od samego początku.

- Czyżby? Tak czy owak, lepiej nie ryzykować. - Campbell wyjął z kieszeni sakiewkę i rzucił ją na ziemię. - Jest w niej te trzydzieści funtów. Proszę je tym razem wziąć, panno Meadowfield.

Spojrzała z niedowierzaniem na sakiewkę. Campbell zatoczył ręką krąg.

- Oto pani wolność - powiedział z powagą. - Bierz, dziewczyno, pieniądze i uciekaj, bo drugi raz nie trafi ci się taka szansa.

Rosalind nie wierzyła własnym uszom. Naprawdę tak o niej myślał?

Wyprostowała się i zadarłszy głowę, spojrzała mu w oczy.

- Myli się pan, panie Campbell.

- Nie sądzę - mruknął. - Niech pani biegnie przez to pole. Po drugiej stronie są wzgórza i las. Pójdzie pani lasem na północ. Nie chcę, żeby Wolf panią znalazł. Rozumie pani?

Odwróciła się bez słowa, zostawiając na ziemi sakiewkę.

- Pieniądze, panno Meadowfield! - zawołał za nią Campbell.

Ona jednak zignorowała jego wołanie i puściła się biegiem.

Upewniwszy się, że sakwy są przytroczone jak należy, Wolf spiał ogiera do galopu, aby jak najrychlej dogonić Campbella i pannę Meadowfield. Wciąż kipiał z gniewu, a świadomość, że uciekła z Kempsterem, uwierała go jak ość w gardle, na tyle ostra, aby krwawił. Mimo to tęsknił za jej ciepłym ciałem w siodle, delikatnym zapachem włosów i miękkością obejmujących go ramion. Chciał jak najszybciej przejąć ją od Campbella - choć przecież nie powinien.

- Ty głupcze! - mruknął sam do siebie.

Jak mógł do tego dopuścić, żeby ta kobieta tak na niego działała? Powiniennem dać jej nauczkę, pomyślał, zgrzytając zębami. Powiniennem zadrzeć jej spódnicę i ulżyć sobie, jak przystało mężczyźnie. Może wtedy jego tortura dobiegłaby końca? Westchnął, bo jego ciało zareagowało już na samą myśl o tym.

Ledwie zobaczył Campbella, wiedział, że coś jest nie w porządku.

- Gdzie panna Meadowfield? - zapytał, podjeżdżając do niego.

- Nie ma jej, Wolf.

- Jak to, do jasnej cholery?

- Ano, tak. Skoczyłem na moment w krzaki, zostawiając ją przy koniu, a kiedy wróciłem, już jej nie było.

Zapadła cisza.

Wolf poczuł, że krew uderza mu do głowy.

- Pozwoliłeś jej uciec, prawda?

Campbell nie odpowiedział.

- Prawda? - powtórzył z furją. - Tak samo, jak nie dopiąłeś rzemieni przy torbach.

Zaplanowałeś to sobie z góry!

- Wszystko dla twojego dobra, Wolf.

- Dla mojego dobra?! - prychnął Wolf z niedowierzaniem. - Ona jest warta sporo grosza.

- Sto gwinei. A nawet gdyby było dwieście, i tak zrobiłbym to samo. Twoje życie jest warte znacznie więcej. Poza tym nie potrzebujesz tych pieniędzy.

- Czyś ty oszalał?

- Powinienem był zrobić to znacznie wcześniej. Nie widzisz, człowieku, co się z tobą dzieje? Dniami i nocami myślisz tylko o niej, jakby cię opętała. Ta namiętność cię niszczy. Ona nie jest z twojego świata, Wolf. Jest jedną z nich, szlachcianką, panną do towarzystwa bogatej damy. Ona oznacza same kłopoty, Wolf. Same kłopoty!

- To takie samo zlecenie jak każde inne. Ujęcie przestępcy. Ja ją tylko odwożę do Evedona.

- Przestań się okłamywać, człowieku! - krzyknął Campbell. - Przecież widzę, jak na nią patrzysz, nie jestem ślepy. Możesz sobie zaprzeczać, ale ja zauważyłem, co się z tobą dzieje.

- Nic się ze mną nie dzieje.

- Może powiesz, że jej nie pragniesz?

- Pragnę jej - burknął Wolf. - Ale to wcale nie znaczy, że zamierzam ją osiąść, bo jeszcze nigdy tak nie było, żeby rządził mną rozporek.

- Posłuchaj własnego rozumu. Pragniesz jej, chociaż reprezentuje wszystko, czego się wystrzegasz. Jest szlachcianką. Cokolwiek byś zrobił, nic tego nie zmieni. A ty nie możesz zmienić swojej przeszłości, choćbyś bardzo chciał.

Wolf zmarszczył brwi i przeszył go morderczym wzrokiem.

- Gdyby ktoś inny to powiedział...

- Już by nie żył - dokończył Campbell. - Wolf, byłeś dla mnie jak brat. Ocaliłeś mi życie. Dlatego nie pozwolę, żebyś się wykończył z powodu jakiejś kobiety. Możesz sobie być upartym bękartem, ale mnie zależy na twoim szczęściu.

Zapadła cisza. Wolf położył mu rękę na ramieniu.

- Wiem, Struan. Dlatego powiesz mi dokładnie, w którą poszła stronę.

Campbell westchnął i pokręcił głową.

- Wolf...

- Nie mogę jej tak po prostu puścić, Struan. Przecież ona nie przeżyje tu sama, dobrze o tym wiesz.

Campbell w milczeniu zaczął masować sobie skronie.

- Proszę cię, Struan - powiedział Wolf.

- Jestem takim samym durniem jak ty - westchnął Campbell. - Chodź, to ci pokażę! Ale jeżeli dotarła już do lasu, możemy jej nie znaleźć.

- Znajdziemy ją - stwierdził Wolf ponurym tonem. - Znajdziemy, bo musimy!

Rosalind dobiegła już prawie do lasu, kiedy w oddali zamajaczyły sylwetki dwóch jeźdźców. Nie musiała nawet na nich patrzeć, żeby wiedzieć, że to Wolf z Campbellem. Siwy ogier jechał na przedzie, a dosiadający go jeździec miał na sobie długie ciemnobrązowe okrycie.

Mimo dzielącej ich odległości wydało jej się, że widzi jego pociągłą, zaciętą twarz, której obraz zapadł jej w serce na całą wieczność.

- Wolf! - wyszeptała.

On zaś jakby ją usłyszał, bo spojrzął na nią, wskazując ręką w jej kierunku. A więc będzie ją ścigał! Zamarła na moment, a potem odwróciła się na pięcie i popędziła w stronę najbliższych drzew.

Wpadła do lasu i zaczęła się przedzierać przez gąszcz, nie zwracając uwagi na dziury w podeszwach. Już po kilku krokach przemokły jej pończochy, a grudki ziemi i ostre kamyki porozdzierały zaschnięte pęcherze na stopach. Krople deszczu bębniły w bladozielony baldachim nad jej głową i, przeciekając między liśćmi, wsiąkały w jej ubranie. Rozpadało się już na dobre, więc ziemia pod jej stopami rozmiękła i zaczęła zamieniać się w błoto. Pachniało deszczem i wilgocią. Raz potknęła się o wystający korzeń i upadła jak długa, ale się pozbierała i pobiegła dalej. Biegła i biegła, aż zabrakło jej tchu, choć starała się głęboko oddychać. Kłuło ją w boku, podeszwy stóp paliły żywym ogniem, nie miało to jednak znaczenia. Zmusiła się do desperackiego wysiłku, wiedząc, że to jej ostatnia szansa i że po tym wszystkim nie odważy się spojrzeć Wolfowi w oczy.

Ptaki umilkły. Słyszeć było jedynie monotony szum ulewy. W lesie panował półmrok. Padający deszcz zmył wiosenne kolory, pozostawiając jedynie szarość. W którymś momencie wydało jej się, że słyszy Wolfa przedzierającego się za nią przez gąszcz, nie była jednak pewna, bo wszystko zagłuszał jej chrapliwy oddech. Wstrzymała więc oddech i wyteżyła słuch, ale nic już nie usłyszała. Zaczęła znowu biec. Biegła i biegła, dopóki na drodze nie stanęła jej rzeka - wartka, szeroka i głęboka. Jej ciemne wody pieniały się, rozbijając się o kamienie, po których nie można było, niestety, przedostać się na drugi brzeg. Rosalind zaczęła się desperacko rozglądać za jakimś przejściem, ale nic nie znalazła. Po lewej stronie wznosiło się strome zbocze porośnięte drzewami i krzakami. Jego wierzchołek był płaski. A zatem albo rzeka, albo wspinaczka, pomyślała z goryczą, wybór naprawdę niewielki. Poza tym nie umiała pływać i nie miała ze sobą ubrań na zmianę, więc los sam za nią zdecydował. Z westchnieniem rezygnacji zaczęła wspinać się pod górę.

Krzaki i wystające korzenie stanowiły jej punkt zaczepienia. Sprawdzała każdy dokładnie, zanim zawisała na nim całym ciężarem. Pot spływał jej po plecach i łaskotał pod pachami, pięła się jednak mozolnie na szczyt, zerkając raz po raz w dół, aby sprawdzić, czy Wolf już jej nie dogonił. Aż w końcu rzeka pozostała daleko w tyle. Zakręciło jej się w głowie, więc musiała zaniechać patrzenia w dół.

Już tylko metr dzielił ją od wierzchołka, jej wspinaczka dobiegała końca. Chociaż mięśnie paliły ją, domagając się wytchnienia, czuła, że stać ją na ten ostatni, rozpaczliwy wysiłek. Sięgnęła do ostatniej gałęzi. Kiedy zaciskała wokół niej palce, gałąź, choć wilgotna i oślizła, wydawała jej się solidna. Jeden rzut oka na dół. Nie ma nikogo! Dzięki Bogu, pomyślała, i zaczęła podciągać się w górę. Nagle rozległ się trzask - to gałąź pękła, a ona zaczęła się zsuwać w dół zbocza. Usłyszała przeraźliwy krzyk, lecz nawet nie zdawała sobie sprawy, że to jej własny głos.

Konwulsyjnym gestem wyrzuciła rękę do góry i uczepiła się cienkich gałązek karłowatego krzaka. W tej chwili wszystko wokół jakby zamarło. Rosalind wisiała na jednej ręce, kołysząc się na wietrze. Zaczęła ostrożnie poruszać nogami w poszukiwaniu jakiegoś punktu oparcia, ale nic nie znalazła. Bała się wykonać jakikolwiek gwałtowniejszy ruch. W końcu udało jej się uchwycić krzaczka również drugą ręką. Niestety, pomiędzy nią u krawędzią zbocza nie było już nic, po czym mogłaby wspiąć się na szczyt, a jedyny pewny grunt znajdował się daleko w dole.

Ręce drżały jej już z wysiłku i czuła, że długo nie wytrzyma. A więc umrę, przemknęło jej przez głowę. Ale ta myśl nie przerażała jej tak bardzo jak konie i to wszystko, czego się bała. Nagle wstąpił w nią dziwny spokój. Dopiero teraz, wisząc nad przepaścią, zrozumiała, że większość swoich lat przeżyła w ciągłym strachu. Tyle strachu - i po co? Tak czy siak, na końcu zawsze przychodzi śmierć, a wraz z nią upragniona wolność.

Teraz mogła już spokojnie pomyśleć o Wolfie: o jego sile i gniewie, odwadze i pasji. Uciekała od niego, podobnie jak przez całe życie uciekała od wszystkiego. Uciekała, kiedy chciała wybiec mu naprzeciw. Serce ścisnęło jej się na myśl o tym, co mogłoby być, a na co jest już za późno. Niestety, zrozumiała to poniewczasie. Poczwała, że słabnie i zaczyna tracić czucie w palcach. Już niedługo wątłe gałązki wyslizną jej się z omdlałych rąk i polecą w dół, tam, gdzie tak wartko płynie rzeka...

- Panno Meadowfield, niech się pani trzyma! - usłyszała nagle wołanie, a gdy spojrzała w górę, zobaczyła nad sobą Wolfa.

## Rozdział trzynasty

Na widok Rosalind, uczepionej wątlego krzaczka Wolfowi serce zamarło z przerażenia. Na moment obezwładnił go lodowaty podmuch śmierci, a potem już się nie zastanawiał.

- Patrz na mnie! - zawołał. - Trzymaj się!

Uniosła ku niemu pobladłą twarz.

- Wolf - wyszeptała.

Popatrzył na jej kurczowo zaciśnięte ręce. Wilgotny krzak mógł się w każdej chwili wymknąć z bezkrwistych palców. Zatem, jeżeli chce uratować Rosalind, musi działać natychmiast. Zrzucił płaszcz i surdut i chwyciwszy zwój liny, owinał jeden jej koniec wokół najbliższego drzewa, a drugim obwiązał się w pasie.

- Błagam, pospiesz się! - Rosalind zaczęła się już ześlizgiwać.

- Trzymaj się, Rosalind, jeszcze tylko kilka sekund. - Mówił to ze spokojem, starając się powstrzymać jej atak paniki.

Zszedł, a właściwie zsunął się po nagim zboczu, żeby jak najprędzej do niej dotrzeć. Słyszał jej spazmatyczny oddech i cichy odgłos spadających w dół grudek ziemi i kamyków. Myśl, że Rosalind Meadowfield mogłaby polecieć w ślad za nimi, wydała mu się tak upiorna, że po raz pierwszy od czasów dzieciństwa zaczął się modlić.

- Dobry Boże, ocal ją, weź mnie zamiast niej, proszę.

Usłyszał jej jęk i zobaczył, jak zaczyna zjeżdżać w dół.

- Wolf!

Zdażył jednak! Był już przy niej i chwycił ją mocno w ramiona, tuląc do siebie.

- Rosalind, trzymam cię!

Przywarła do niego i ukryła twarz na jego piersi.

- Obejmij mnie rękami za szyję i opleć nogami. Wyciągnę nas oboje na górę. - Jeden Bóg wie, jak bardzo nie chciał jej teraz puszczać, nawet na sekundę, ale wiedział, co musi zrobić.

Kiedy Rosalind wykonała jego polecenie i objęła go z całej siły, zaczerpnęła tchu i zaczął się wspinać po linie ze swoim drogocennym ciężarem. Dopiero kiedy oboje byli już bezpieczni, z dala od przepaści, puścił ją i odwiązał linę.

Rosalind stała przed nim bez ruchu, tam gdzie ją postawił, i nie odrywała wzroku od jego twarzy.

- Myślałam... myślałam, że...

- Wiem - powiedział, biorąc ją z powrotem w ramiona. - Wiem - powtórzył, odgarniając jej włosy z czoła. - Ale jesteś już bezpieczna.

Kiwnęła głową i zamknęła oczy.

- Musiałam uciec - wyszeptała. - Musiałam spróbować. Ale ty mnie rozumiesz, prawda?

- Rozumiem - przytaknął, gładząc ją po plecach. Bóg mu świadkiem, że tak było. Musiała naprawdę uwierzyć, że Evedon ją powiesi, skoro ryzykowała życie, byle tylko przed nim uciec.

- Evedon nie odda cię pod sąd. Mówiłem ci, że bardzo mu zależy na wyciszeniu całej sprawy. Taka jest prawda.

Rosalind jak zafascynowana patrzyła nieruchomym wzrokiem na krawędź urwiska.

- Rosalind... - powiedział cicho.

Wtedy zwróciła na niego oczy, lśniące od hamowanych z trudem łez.

- Ja nie powiedziałam ci całej prawdy o tej historii i lord Evedon też nie... - Urwała i zagryzła wargi.

- Teraz to nieważne. Porozmawiamy o tym później, kiedy dojdiesz do siebie.

- Nie! Muszę ci to powiedzieć, Wolf. Chcę, żebyś wiedział.

Skinął głową i czekał w napięciu.

- Jestem złodziejką. Okradłam Evedona, ale nie zabrałam klejnotów jego matki, tylko coś innego... Coś o czym nikt nie może się dowiedzieć. Evedon uważa, że ukradłam jedno i drugie, ale przysięgam ci, że nie tknęłam ani brylantów, ani szmaragdów. - Odwróciła wzrok. - Nie wiem, czy wiadomo ci o... - zawahała się - ...o tej drugiej rzeczy.

- Wynajmując mnie, Evedon oskarżył cię tylko o kradzież biżuterii, nic więcej.



Spojrzała mu w oczy poważnym, zbolalym wzrokiem.

- No więc, co mu ukradłaś? - zapytał tak łagodnie, jak tylko potrafił.

Znowu zagryzła wargi, tym razem mocniej, gdyż zobaczył na nich małą kropelkę krwi.

- List. Nie zamierzałam go zabierać... ale nie miałam innego wyjścia... - Urwała, bo gardło jej się ścisnęło. - Proszę, nie pytaj, co w nim było - powiedziała cicho. - Lord Evedon nie musi się obawiać, nie zdradzę jego tajemnicy. Ale nie ze względu na niego, tylko na dobro innej osoby. Mam jednak w ręku niezbity dowód i dlatego on mnie zabije - dokończyła. - Och, Wolf... - W jej westchnieniu ulga mieszała się z lękiem. - Co mam robić?

Tym razem jej uwierzył. Przyciągnął ją do siebie, wystraszoną i drżącą, i zamknął w objęciach, jakby chciał ją obronić przed całym światem.

- On już nigdy cię nie skrzywdzi ani nikt inny, bo ja na to nie pozwolę.

Rosalind także mu uwierzyła i po raz pierwszy od tak długiego czasu poczuła się naprawdę bezpieczna. Wolf był taki silny i odważny. Nikt go nie pokona. Położyła mu głowę na piersi i usłyszała mocne, miarowe bicie jego serca. Człowiek z żelaza, twardy i bezlitosny, lecz w głębi duszy dobry i łagodny. Niezlomny rycerz, który walczył o to, w co wierzył, i któremu mogła zaufać.

Serce jej wezbrało bezbrzeżną czułością, łzy popłynęły po policzkach. Zaczęła płakać nad nim i nad sobą, nad wszystkim, co było i czego już nie będzie. A Wolf trzymał ją w objęciach, głaskał po głowie i szeptał, że ją obroni. Gdy wreszcie zabrakło jej łez, otulił ją płaszczem i wziął na ręce, jak dziecko. Zniósł ją na dół, gdzie Campbell czekał przy koniach. Nie będzie więcej żadnych ucieczek. Nadszedł czas, by spojrzeć wreszcie prawdzie w oczy.

Przebijali się przez szarą zasłonę deszczu wolnym, miarowym tempem. Rosalind jechała razem z Wolfem, milcząca i nieruchoma, jakby przeżyta trauma wysssała z niej całą energię, aż wreszcie, po godzinie jazdy, zapadła w drzemkę.

- No i co? - odezwał się Campbell. - Dalej chcesz mi wmawiać, że to tylko eskortowana złodziejka? - Spojrzył wymownie na Rosalind, śpiącą w objęciach Wolfa.

- To wszystko jest bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje - powiedział Wolf.

- Aha, już ja widzę, jakiego to rodzaju komplikacje prychnął Campbell. Choć Wolf spiorunował go wzrokiem, ciągnął dalej, niezrażony: - No więc, co robimy? Nadal masz zamiar odwiedzić ją do Evedona?

- Ona mówi, że nie ukradła tych klejnotów - Wolf udał, że nie słyszy pytania.

- Mówiła tak od początku.

Wolf spojrzał na wtuloną w niego Rosalind.

- I może od początku mówiła prawdę.

- Może... - w głosie Campbella zabrzmiały cyniczne nuty.

- Twierdzi, że ukradła jedynie list należący do Evedona, i że jemu chodzi bardziej o ten list niż o klejnoty.

- Co za różnica? Złodziejka to złodziejka.

- Owszem, jest różnica. Evedon nas okłamał. Może nie było żadnej kradzieży biżuterii i od początku chodziło tylko o odzyskanie tego listu?

Campbell odwrócił wzrok i zaczął sobie masować kark a kiedy znów spojrzał na Wolfa, minę miał zasepioną.

- Co to za list?

- Nie wiem. Wiem tylko, że dla Evedona wart jest sto gwinei - odparł Wolf.

- I ona wciąż go ma?

- Tak mi się wydaje.

- Łatwo to sprawdzić. - Campbell spojrzał na niego wymownie.

Wolf milczał. Wiedział, co Campbell sugeruje. Przeszukanie Rosalind nie byłoby trudne. Przed oczyma mignęła mu wizja jej nagiego ciała, więc mocno zacisnął powieki, aby odpędzić pokusę.

- Jeśli ona ma ten list, to zaczynam rozumieć te uporczywe nalegania Evedona, żeby nie rewidować ani panny Meadowfield, ani jej bagażu.

- Jak już mówiłem, może on chce mieć wymówkę, żeby samemu ją przeszukać - zasugerował Campbell. - Kempster twierdził przecież, że coś było między nią a Evedonem.

- Kempster kłamie jak najęty!

- Ale może nie na każdy temat?

Sugestia wydała się Wolfowi tak odrażająca, że nie chciał się nawet nad nią zastanawiać, bo wyobraźnia natychmiast podsunęła mu wizję tego, co mogło zająć pomiędzy Evedonem a panną Meadowfield. Zaciśnął zęby i nic nie odpowiedział.

Campbell zerknął na niego z ukosa.

- Więc które z nich nas oszukuje? Ta kobieta czy Evedon?

- Myślę, że Rosalind mówi prawdę - powiedział Wolf.

- Aha, więc już Rosalind? - Campbell wymownie pokiwał głową.

Wolf milczał. Czuł, że twarz mu płonie.

- A jeżeli ona kłamie? - ciągnął dalej Campbell. - Co wtedy? Wydasz ją Evedonowi?

- Nie wiem, Struan. - Wolf rozłożył ręce. - Musimy przeprowadzić nasze własne śledztwo w sprawie klejnotów Evedona. Stąd już niedaleko do Londynu, dyliżansem pocztowym najwyżej dwa dni. Mógłbyś pojechać dalej sam i odwiedzić paru naszych dawnych znajomych? Popytaj, czy ktoś w ostatnich tygodniach nie próbował sprzedać pokątnie cennych szmaragdów.

Campbell wskazał głową na śpiącą Rosalind.

- A co z panną Meadowfield?

- Zatrzymam Rosalind w zajeździe, w którym będziemy dziś nocować, dopóki się nie dowiem, jak sprawy stoją.

Campbell skinął głową i spojrzał mu w oczy.

- Jak już tam będziecie, prześpij się z nią, Wolf, i miej ją z głowy. Zapomnij o niej. Zrób to dla naszego dobra.

Wolf nic nie odpowiedział. Może Campbell miał rację? Może gdyby się przespał z Rosalind, zaspokoiłby dręczące go pragnienie i znów był w stanie myśleć logicznie? Wszystko stałoby się znowu proste i świat byłby albo czarny, albo biały, bez tych odcieni szarości. Życie wróciłoby na stare tory i potoczyło się tak jak dawniej, zanim poznał pannę Meadowfield. Popatrzył na Rosalind, śpiącą ufnie na jego piersi, i zaczął się zastanawiać, czy to jeszcze możliwe.

Dalszą część drogi przebyli w posępnym milczeniu.

Rosalind obudziła się, gdy Wolf przekazywał ją Campbellowi. Dzień był szary i wciąż padał ulewny deszcz.

Wysunęła się z objęć Campbella i stanęła na miękkich nogach, drżąc z zimna, chociaż miała na sobie płaszcz Wolfa.

- Przepraszam, nie chciałam zasnąć.

- Nie przejmuj się, dziewczyno. Dzięki temu jechaliśmy szybciej. - Campbell powiedział to grzecznie, lecz bez uśmiechu.

Spojrzała niepewnie na Wolfa. Czy wiedział już, że Campbell pomógł jej w ucieczce? Wolf patrzył jednak przed siebie ponurym wzrokiem i nie udało jej się nic wyczytać z jego twarzy.

Nie mogła pojąć, co działo się między nią a Wolfem, co to za siła przyciągała ich od samego początku. Schwytał ją przecież i był jej strażnikiem, a ona jego więźniarką. Czy wciąż miał zamiar odwieźć ją do Evedona? Przypomniała sobie jego słowa, wypowiedziane tam, na skraju urwiska: „On już nigdy cię nie skrzywdzi ani nikt inny, bo ja na to nie pozwolę”. Krzepiące słowa i obietnice, jakich nigdy od nikogo nie usłyszała, i te jego silne, opiekuńcze ramiona... Odwróciła się i ruszyła w stronę zajazdu.

Z tyłu dobiegły ją przyciszone głosy Wolfa i Campbella, a potem nagle usłyszała dźwięk trąbki i stukot kopyt. Serce na chwilę jej zamarło - to dyliżans pocztowy wjechał na podwórze.

- Wolf? - Odwróciła się, przerażona, że mógłby ją opuścić.

Wolf stał jednak nadal tam, gdzie go zostawiła. To Campbell wsiadł do dyliżansu i uniósł rękę, na poły machając, na poły salutując, zanim powóz wytoczył się za bramę i zniknął na drodze.

Spojrzała pytająco na Wolfa.

- Ma pewną sprawę do załatwienia - odpowiedział.

- Ale wróci tu jeszcze?

- Za kilka dni. - Wolf wziął swoje sakwy i podszedł do niej. - Tej nocy będziemy tylko ty i ja, Rosalind - powiedział cicho, po czym otworzył drzwi.

Rosalind serce szybciej zabiło, dreszczyk podniecenia przebiegł jej po plecach. Odwróciła się i weszła za Wolfem do zajazdu.

Pokój był bardzo wygodny i znacznie droższy niż te, w których się dotychczas zatrzymywali. Na kominku buzował ogień, rozpraszając wieczorny mrok. Wolf rzucił bagaże przy drzwiach, po czym zaciągnął na oknach grube kotary, gasząc resztki dziennego światła. Na jasnych ścianach zatańczyły cienie.

Rosalind zastygła bez ruchu. Krople deszczu kapwały z jej okrycia na podłogę.

Napięcie między nimi było tak silne, że Wolf niemal czuł, jak iskrzy w powietrzu. Rosalind pewnie także to odbierała. Poznał to po jej rozchylnych ustach, rozszerzonych źrenicach i falujących piersiach.

Przełknął ślinę, bo z nerwów zaschło mu w gardle. Ciało miał obolałe z pożądania.

Gdy podszedł bliżej, nie odsunęła się, tylko popatrzyła na niego z taką ufnością i wdzięcznością, że aż poczuł ucisk w piersi, tam gdzie powinno się znajdować jego serce - o ile jeszcze je miał. I w tym momencie zrozumiał, że nie może tego zrobić. Nie może wziąć jej do łóżka, bez względu na to, jak rozpaczliwie jej pragnie i jak gorąco namawiał go Campbell. Przecież to nie jej wina, że budzi w nim takie pożądanie. Skąd mogła wiedzieć, do czego zdolni są mężczyźni? Nie! Nie stanie się przyczyną jej upadku, aby zaspokoić własne żądze.

Już miał jej to powiedzieć, ale go ubiegła:

- Uratowałeś mi dzisiaj życie. Gdyby nie ty... - Ze wzruszenia odebrało jej mowę. Zagryzła wargi, a kiedy się opanowała, podjęła dalej: - Jeszcze ci nie podziękowałam. - Zrobiła dwa kroki i stanęła przed nim, patrząc mu w oczy. - Dziękuję ci, Wolf - wyszeptała. - Za dzień dzisiejszy, za Kempstera, za wszystko... - Wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jego poranego blizną policzka.

- Jestem ostatnią osobą, której powinnaś dziękować. - Głos jego zabrzmiał szorstko i ochryple. - Jestem przecież draniem bez serca, który ciągnął cię przez cały kraj. - Mówiąc to, czuł, że powinien się uchylić przed jej pieszczotą, ale nie potrafił się do tego zmusić.

Jego jasne, mokre włosy wydawały się teraz ciemne. Krople deszczu spływały mu po policzkach i nieogolonej brodzie. Odgarnął kosmyki opadające mu na oczy, a wtedy Rosalind położyła mu dłoń na piersi, w miejscu gdzie biło serce.

Nakrył ręką jej rękę.

- Rosalind - wyszeptał, bezskutecznie próbując odsunąć jej dłoń.

- Ty miałbyś być bez serca? Nigdy w życiu! - Biło przecież tak mocno i szybko pod jej palcami.

Gdy mu spojrzała w oczy, zrozumiał, że gotów jest bronić jej przed całym światem. Nie był w stanie już dłużej nad sobą panować, nachylił się i pocałował ją w usta.

Pocałunkiem tym pragnął uleczyć jej rany i przepędzić gnębiące ją strachy. Całował delikatnie, niespiesznie i czule. A kiedy wreszcie oderwał usta od jej ust, objęła go za szyję i znów przyciągnęła do siebie. Tym razem pocałował ją mocniej i bardziej namiętnie; jego wargi były gorące, a język penetrował wnętrze jej ust.

Całował ją i całował, aż zakręciło jej się w głowie i okryła się gęsią skórą. Serce biło jej szybko i głucho - jak zawsze, kiedy Wolf był blisko niej. Osłabła z pożądania, pragnęła tylko jego i jego pocałunków. Evedon, lęki, zmartwienia, wszystko przestało się liczyć. Był tylko Wolf, obecna chwila i ta cudowna magia między nimi.

Zarzuciła mu ręce na szyję i wtuliła się w niego, drżąc z podniecenia. Poczula, że krew zaczyna jej krążyć szybciej w żyłach, jakby się wreszcie obudziła z letargu, w którym upłynęło całe jej dotychczasowe życie. Wolf całował ją coraz bardziej zachłannie, a jego dłonie dokonywały cudów na jej plecach, szyi i ramionach. Dziwne też, że choć nie dotykał jej ud, ich delikatna skóra zdawała się płonąć.

- Rosalind... - W jego szepcie wychwyciła desperacką nutę, będącą odbiciem jej rozpaczliwych pragnień.

Przywarła do niego jeszcze mocniej. Przemoczony płaszcz zsunął jej się z ramion i wylądował na podłodze, u jej stóp.

- Wolf, och, Wolf - wydyszała, owładnięta jedną już tylko myślą.

Zaczęła zdzierać z niego surdut, podczas gdy on rozpinął guziki jej sukni. Czula, jak drżą mu palce, słyszała jego przyspieszony oddech. Już po chwili ściągnął jej suknię i halkę, tak że została w samej tylko koszuli i gorsecie.

Gdy zrzucił surdut, wyszarpnęła mu koszulę z paska i wsunęła pod nią ręce. Dłonie drżały jej, kiedy dotykała jego nagiego, muskularnego torsu. Nie mogła się nadziwić

swojej odwadze - że go tak śmiało rozbiera i patrzy na niego. Chciała jednak poczuć i zobaczyć w pełnej glorii mężczyznę, którego pokochała.

Zrzuciwszy koszulę, Wolf zabrał się do sznurówek jej gorsetu i poradził sobie z nimi prędzej, niż ona by to zrobiła. Tak więc gorset już po chwili znalazł się na podłodze, obok reszty ubrań, i Rosalind została w samej tylko koszulce. Śliski materiał oblepiał jej piersi, których pobudzone, różowe czubki prześwitywały przez cieniutkie płótno.

Wolf zamarł na chwilę. W ciszy słychać było tylko jego świszczący, urywany oddech.

- Nie powinniśmy... ja nie powinienem... - A potem nagle chwycił za koniec wstążki przy dekolcie jej koszulki... i mocno pociągnął.

Koszula zsunęła się z niej, tworząc pierścień piany wokół jej kostek. Rosalind usłyszała cichy jęk Wolfa i, zdezorientowana, spróbowała zakryć rękami swoją nagość.

- Och, Rosalind - wyszeptał, po czym porwał ją na ręce i zaniósł do łóżka.

Ułożył ją w gniazdku z ciepłych kołder niby drogocenny klejnot i zdjawszy jej buty i pończochy, wyciągnął się obok niej i zaczął ją czule głaskać i całować, aż pozbyła się resztek wstydu.

Wdychając męski zapach Wolfa, Rosalind badała palcami jego twarde mięśnie. Nie było w nim nic z miękkości - ciało miał twarde i krzepkie. W ciepłym blasku płomieni jego skóra nabrała złocistego, miodowego odcienia. Jej dłonie wydawały się przy niej takie białe. Koniuszkiem palca powiodła po bliźnie na jego policzku.

Dłonie Wolfa obejmowały jej piersi i drażniły ich czubki, zanim wziął je do ust. Pieścił nabrzmiące pączki wargami, językiem i zębami, aż zaczęła z jękiem przyciskać jego głowę, modląc się w duchu, aby nigdy nie przestawał.

Oczy pociemniały jej z pożądania, a jej nabrzmiące piersi reagowały na każdą jego pieszczotę. Kochał ją więc, najczulej i najlepiej jak potrafił. Gdy wycisnął ślad pocałunków na jej gładkim, białym brzuchu i dotarł do ciemnego trójkąta, zachnęła się, zalękniona.

- Wolf! Nie możesz...

- Zaufaj mi - wyszeptał, rozsuwając jej uda. Skórę w tym miejscu miała jedwabiście gładką i rozgrzaną z podniecenia. Kiedy ją tam całował, słyszał jej stłumiony jęk.

- Wolf...

Jego usta dotknęły źródła jej kobiecości i zaczęły je pieścić.

Szarpnęła się i chciała się odsunąć, ale ją przytrzymał, pragnąc jej ofiarować czystą rozkosz, bez bólu.

Całował ją dopóty, dopóki jej głośne okrzyki nie uświadomiły mu, że jest bliska ekstazy. Zaczął wtedy znów pieścić rękami jej piersi, nie przerywając pocałunku. Aż wreszcie poczuł, jak seria spazmów wstrząsa jej ciałem.

Rosalind nawet w najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie czegoś podobnego. Pławiła się w czystej ekstazie, wstrząsana dreszczem rozkoszy i obmywana gorącą falą. Wolf wziął ją w ramiona i obsypał drobnymi pocałunkami jej czoło, brwi, policzki oraz czubek nosa. Jego uścisk był tak delikatny i czuły, że straciła poczucie rzeczywistości. Tak chyba musi wyglądać raj i tak musi wyglądać miłość! Na myśl o tym jej serce wezbrało radością. Kochała Wolfa, całkowicie i bez reszty. Wtuliła się w niego, poczuła jeszcze, jak naciąga na nich kołdry, i odpłynęła w krainę snu.

Kiedy Wolf się obudził, musiało już być bardzo późno. Czuł to, nie musiał nawet rozsuwać kotar i patrzeć na atramentową czerń nieba. Ogień na kominku zaledwie się tlił i w pokoju zrobiło się zimno. Sięgnął po szczypce do węgla i cicho, aby nie budzić Rosalind, dołożył do ognia.

Spojrzał w stronę łóżka. Rosalind spała spokojnie pod ciepłą wełnianą kołdrą, z włosami rozsypanymi kusząco na poduszkach. Ile w niej ukrytej namiętności, pomyślał z uśmiechem, mając w pamięci ich miłosną noc. Tak bardzo chciał sprawić jej rozkosz i usłyszeć, jak wykrzykuje w ekstazie jego imię. To, że jego własne pożądanie nie zostało zaspokojone, w ogóle się teraz nie liczyło. Gdyby mógł cofnąć czas, postąpiłby dokładnie tak samo.

Na drugim końcu pokoju, na podłodze, leżała ich pomięta garderoba. Widział połę swojego płaszcza, wciąż mokrego od deszczu. Przypomnił sobie szaleńczy pośpiech, z jakim się rozbierali, uśmiechnął się i poszedł pozbierać ubrania.

Wychowany w skrajnej biedzie, Wolf zwykł dbać o swoje rzeczy. Poza tym nie chciał, aby musieli wkładać rano wilgotne ubrania. Powiesił płaszcz na haku przy



drzwiach, a potem ustawił krzesła przed kominkiem i rozwiesił na nich suknię Rosalind oraz jej halki. Swoją koszulę rozłożył płasko na podłodze, buty zaś ustawił blisko kominka. Pozostała już tylko bielizna Rosalind. Gdy wieszał koszulkę na karniszu, poczuł, że znów budzi się w nim pragnienie. Uśmiechnął się, po czym sięgnął po gorset.

Jego wstążki wydały mu się zmysłowo gładkie, kiedy dotknął ich palcami. Przypomnił sobie, jak je rozwiązywał i uwalniał ciało Rosalind. Jej odsłonięte piersi, jędrne, a zarazem miękkie, tak idealnie wypełniające jego dłonie - i trzepoczące się pod nimi serce. Rozplątał wstążki i rozsunął gorset, aby go powiesić na drugim końcu karnisza... i wzrok jego padł na płócienny pakiecik, przyszyty po wewnętrznej stronie gorsetu.

Przez chwilę wpatrywał się w niego w napięciu. Nareszcie miał prawdę w zasięgu ręki. Nie obchodziły go tajemnice Evedona, natomiast bardzo chciałby poznać sekrety Rosalind. Co tak pilnie ukrywała na sercu? List Evedona... czy może szmaragdy jego matki? Odpowiedź miał przed sobą i kusiło go, aby ją poznać. Klęczał, wpatrzony w zawiniątko. Mimo że w pokoju panował dotkliwy chłód, czuł, jak krople potu występują mu na czoło.

## Rozdział czternasty

Rosalind nie potrafiła powiedzieć, co ją obudziło. Pokój tonął w ciszy i złocistej poświacie z kominka. Miejsce obok niej na łóżku było puste. Wolf zniknął. Poderwała się, tknięta złym przeczuciem.

Wolf, ubrany tylko w spodnie, stał przy oknie, nieruchomy jak posąg, i wpatrywał się w nocną ciemność. Dopiero teraz zobaczyła to, czego nie widziała wcześniej - że całe plecy miał poorane głębokimi bliznami.

- Wolf!

Nawet nie drgnął, jakby jej nie słyszał.

Na końcu karnisza wisiała jej koszula i schła, reszta ich ubrań suszyła się przed kominkiem. Na stole leżał gorset, a obok niego nóż Wolfa... i list, rozłożony, a więc z pewnością przeczytany.

Serce załomotało jej ze strachu i oburzenia. Wyskoczyła z łóżka, owijając się kołdrą.

- Przeszukiwałeś moje ubrania!

- Chciałem je tylko rozwiesić. - Jego głos zabrzmiał głucho.

- Nie miałeś prawa!

- Nie miałem, to prawda - przyznał, nie odwracając się od okna.

Widziała na szybie ich odbicia - Wolfa, stojącego nieruchomo przy oknie, i w tle siebie, rozgniewaną i drżącą z upokorzenia.

- Czytałeś go, po tym wszystkim, co ci powiedziałam. Dlaczego, Wolf?

Nie odpowiedział, tylko dalej trwał w milczeniu.

- Nie uwierzyłeś mi, prawda? To dlatego chciałeś sam przeczytać ten list?

Nadal żadnej odpowiedzi.

- Spójrz na mnie, Wolf. Powiedz mi to prosto w oczy. - Mówiła zbyt głośno, ale było jej wszystko jedno, bo aż kipiała gniewem. Zaufała Wolfowi, myślała, że coś do niej czuje, a on ją wykorzystał i nadal jej nie wierzył. - A więc o to ci chodziło, tak? Posunąłeś się nawet do tego, że mnie uwiodłeś, byle zdobyć ten list!

- Nie! - Odwrócił się i spojrział na nią udreńczonym wzrokiem. - Nigdy tak nie myśl, Rosalind. Nie było moim zamiarem cię uwieść. Nie mógłbym... - Głos mu się załamał i byłby znowu odwrócił się do okna, gdyby go nie powstrzymała.

- Wolf? - wyszeptała, widząc, że dzieje się z nim coś złego. Głęboki niepokój w jednej chwili wyparł z jej serca gniew. - Co ci jest? Czy coś się stało?

Potrząsnął głową.

- Ten list.

- To tylko dowód na to, że Evedon nie powiedział ci prawdy.

- Evedon? - Wolf prychnął pogardliwie. - Jaki z niego Evedon? Jego ojcem nie był wcale lord Evedon, tylko Veryan.

- W tym liście jest napisane, że jego ojcem był lord Keddington.

- Robert Veryan i wicehrabia Keddington to ten sam człowiek.

- Słyszałeś coś o nim?

- Tak - odparł cicho Wolf z błyskiem nienawiści w oczach. - Słyszałem o nim.

- Wobec tego lady Evedon... - Rosalind urwała, nie chcąc krytykować osoby, której miała tyle do zawdzięczenia. - Od jakiegoś czasu prześladowają ją upiory z przeszłości. Ma przywidzenia, które wpędzają ją w depresję. Wydaje jej się, że nachodzi ją jakiś mężczyzna, do którego zwraca się per „Robercie”. Pewnie to ten Robert Veryan... czyli lord Keddington z tego listu.

- Niewątpliwie tak.

Rosalind zamyśliła się, a potem dotknęła jego ręki.

- Czy ten list przypomniawszy ci... okoliczności... twoich narodzin? - Wydawało jej się, że rozumie, dlaczego ów list tak nim wstrząsnął.

- Nie mogę się równać z Evedonem - zaśmiał się z goryczą. - Ale owszem, ten list przypomniawszy mi pewne sprawy, o których wolałbym zapomnieć.

- Może chciałbyś o tym porozmawiać? - zapytała łagodnie. - Mogłoby ci to pomóc.

- Nigdy w życiu o tym nie rozmawiałem. Czy słowa coś pomogą? Przecież nie zmienią przeszłości.

- Może pomogłyby ci się od niej uwolnić? Ja ci opowiedziałam o wypadku Elizabeth, i już samo to, że mogłam podzielić się z kimś tym tragicznym wspomnieniem, sprawiło, że ból i strach zaczęły znikać.

- Ale to nie to samo - rzucił szorstko.

Dotknięta jego tonem, opuściła rękę i odwróciła wzrok, aby nie dostrzegł w jej oczach łez.

- Rosalind... - Wolf z westchnieniem przeczesał włosy. - Wybacz mi, nie chciałem cię urazić.

Pokiwała głową, bez słowa.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - zapytał. - Mam ci wyznać hańbiącą prawdę o moim pochodzeniu? - W jego głosie frustracja mieszała się z goryczą.

- Tylko jeżeli sam tego chcesz.

Zapadła cisza. Wolf odwrócił się z powrotem do okna i zapatrzonej w mrok, jakby widział w nim swoją przeszłość, zaczął opowiadać:

- Moja matka była córką zamożnego dżentelmena. Miała adoratora, młodego człowieka z dobrej rodziny, przed którym rysowała się obiecująca przyszłość. Powiedział jej, że ją kocha i że chce się z nią ożenić. A potem ją uwiódł i porzucił dla innej panny, której ojciec był bogatszy i miał większe wpływy. I ożenił się z tamtą.

- To straszne - wyszeptała Rosalind, głęboko wstrząśnięta.

- To jeszcze nie wszystko - powiedział Wolf z gorzkim uśmiechem. - Kiedy się okazało, że moja matka spodziewa się dziecka, jej ojciec wydziedziczył ją i wypędził z domu. Poszła więc do swojego kochanka, a mojego ojca - słowo to wymówił z tak zapiekłą nienawiścią, że Rosalind zadrżała - aby go prosić o pomoc. On jednak odprawił ją z kwitkiem i kazał rodzić na ulicy. Pojechaliśmy do Yorku, w nadziei na lepsze życie, ale go tam nie znaleźliśmy. - Nie zdradził jej, co musiała robić jego matka, aby przeżyć. - Umarła, kiedy miałem dziesięć lat, ale przedtem nauczyła mnie nienawidzić tych wszystkich, którzy uważają się za coś lepszego.

- Tak mi przykro. - Rosalind wreszcie rozumiała trawiący go gniew, który był nieodłączną częścią jego życia, tak jak jej przez całe życie towarzyszył strach. - Co się z tobą działo po śmierci matki?

- Walczyłem o przetrwanie - odpowiedział, a ona domyśliła się, że pod tymi słowami kryły się lata cierpień.

Gdy się do niej odwrócił, twarz miał moką od łez. - Teraz już wiesz, kim jestem, Rosalind. Znasz całą wstydliwą prawdę o mnie.

Zalała ją fala współczucia.

- Tak, znam już prawdę - przytaknęła cicho. Zasuwała kotary, podprowadziła go do fotela i delikatnie otarła mu łzy. - Wiem, kim jesteś - powiedziała, głaszcząc go po głowie i całując jego bliznę. - I kocham cię, Wolf. - Słowa te przypieczętowała pocałunkiem, w który włożyła całe swoje serce.

Całowała go tak długo, aż wreszcie Wolf objął ją i zaczął jej oddawać pocałunki. Oboje byli tacy poranieni, tak skrzywdzeni przez los. Nareszcie zrozumiała, że niczym się nie różnią. Dwa złamane serca, zdolne razem stworzyć jedno, gorejące miłością.

Kołdra zsunęła jej się z ramion.

- Pragnę cię, Wolf - szepnęła. - I myślę, że ty mnie też.

- O, tak, dziewczyno. - Ponad życie.

Patrzyli sobie w oczy, kiedy ją brał na ręce i zanosił do łóżka. Opatulił ją troskliwie kołdrami, a potem rozebrał się i ułożył u jej boku. Żadne słowa nie były im już potrzebne. Zaczął ją całować, pieścić i dotykać, aż poczuła między udami żar, który tylko on mógł ugasić. Kiedy ją zagarnął pod siebie, pojęła, że tak właśnie miało być. Była jego kobietą, a on jej mężczyzną.

Poczuła jego podnieconą męskość i rozsunęła uda, aby go przyjąć w siebie. Czy mogła postąpić inaczej? Pragnęła go przecież i mu ufała.

Wolf zaczął się poruszać wolno i rytmicznie. Czowała jego nacisk tam, gdzie ją wcześniej całował, w miejscu najwrażliwszym. Przytuliła się mocniej i razem z nim podjęła rytm, który miał ich połączyć. Poruszali się coraz szybciej i szybciej, i nagle poczuła silne pchnięcie, a po nim ostry ból. Krzyknęła głucho, ale Wolf stłumił ustami jej okrzyk. A potem ból zniknął - i ciała ich stopiły się w jedno.

Po chwili Wolf zaczął się w niej poruszać. Złączeni, wspólnie pięli się do góry, mokrzy od potu. Rosalind przyciskała go coraz mocniej do siebie, jęcząc z rozkoszy. O krok od szczytu Wolf wycofał się z niej nagle i wtuleni w siebie, doznali spełnienia.

Opadł potem obok niej, z zamkniętymi oczami, ciężko dysząc.

Rosalind leżała w jego objęciach, z głową na jego piersi, słuchając bicia jego serca. Nie da się już odwrócić tego, co zaszło między nimi tej nocy. Kochała go i on ją kochał, a reszta przestała się liczyć. Co znaczy Evedon, strach przed końmi, nawet los jej ojca - wobec potęgi ich miłości?

Kiedy Wolf się obudził, słońce zaglądało przez okno. Jego promienie sprawiły, że ciemne zasłony zapłonęły królewską purpurą i cały pokój tonął w różowej poświacie. Popatrzył na kobietę spoczywającą u jego boku i serce wezbrało mu bezbrzeżną czułością. Poznała całą prawdę o nim, a mimo to nie odepchnęła go ze wstrętem i nienawiścią. Zaakceptowała go takim, jaki był, bez względu na jego mroczną przeszłość, która nagle jakby utraciła nad nim swoją władzę. Oddała mu się z taką tkliwą miłością, jakby chciała wyssać jad zatruwający mu duszę. Uleczyła jego serce, uciszając gniew i kojąc ból. To wszystko jej zasługa. Rosalind. Nagle zapragnął, aby ta chwila trwała wiecznie i żeby mogli już na zawsze zostać tu tylko we dwoje, z dala od świata.

Rosalind poruszyła się i otworzyła oczy. Spojrzała na niego i uśmiech rozjaśnił jej twarz.

On także się uśmiechnął i po raz pierwszy poczuł, że życie jest piękne.

Pocałował Rosalind w usta, a potem znów okazał jej, jak bardzo ją kocha.

Kiedy się w końcu ubrali i zasiedli nad tacą, którą Wolf kazał podać do pokoju, było już południe. Przyniesiono im chleb, ser, zimną szynkę i butelkę najlepszego czerwonego wina, jakie właściciel zajazdu miał w swojej piwniczce.

- Tej nocy... - Rosalind urwała i oblała się ciemnym rumieńcem.

Wolf, który właśnie rozlewał wino do dwóch kieliszków, spojrzał na nią z łobuzerskim uśmiechem.

- Czy to jakieś święto?

- Mam nadzieję - odparł z powagą.

- A co z Evedonem?

- Och, zostaw go mnie.

Zagryzła wargi. Wyglądała na zaniepokojoną.

- Będzie wściekły. Boję się, że może ci zrobić krzywdę.

Wolf nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Rosalind bała się nie o siebie, ale o niego!

- Nie przejmuj się - powiedział, biorąc ją za rękę.

Serce zaczęło mu szybciej bić i zaschło mu w ustach. Czuł jednak, że zanim dopadnie go lęk, musi jej powiedzieć słowa, których nie zmierzał mówić nigdy i nikomu:

- Skradłaś mi serce, Rosalind Meadowfield. Wyjdiesz za mnie? Zostaniesz moją żoną?

- Tak! - wykrzyknęła z radosnym zdumieniem. - O, tak! - I w jednej sekundzie wylądowała mu na kolanach, śmiejąc się i płacząc.

Zaczął scałowywać łzy, płynące jej po policzkach.

- Teraz to rzeczywiście mamy co świętować, moja słodka.

Przytknął jej swój kieliszek do ust, aby upiła łyk, a gdy kilka rubinowych kropelek pociekło jej po brodzie, rozmazał jedną z nich koniuszkiem palca, po czym pocałował swoją narzeczoną.

Wolf chciał się z nią ożenić! Kochał ją, a ona zgodziła się zostać jego żoną. Rosalind nigdy w życiu nie była równie szczęśliwa. Czuła, jak rozpiera ją radość i kręci jej się w głowie. Odtąd będą już zawsze razem, on i ona. Evedon zniknie z jej życia i już nigdy więcej nie będzie musiała przed nikim uciekać. Koniec z ukrywaniem się! Już wkrótce zostanie panią Wolversley i odetnie się od wstydlivej przeszłości. Będzie tylko Wolf oraz ich miłość.

Wiosenne słońce zalało ich swoją poświatą. Kiedy Wolf zaczął ją znów całować, poczuła, że topnieje w jego ramionach.

Nagle rozległo się stukanie do drzwi, ale Wolf zignorował je i nadal całował Rosalind.

Oderwała usta od jego ust. Obejmując go za szyję, powiedziała z uśmiechem:

- Ktoś jest za drzwiami.

- Rzeczywiście - potwierdził i znów zabrał się do całowania.

Odsunęła się ze śmiechem.

- Nie możemy udawać, że nas nie ma, Wolf.

- Skoro tak sobie życzysz... - mruknął. Jeszcze jeden szybki całus - i pozwolił jej wstać ze swoich kolan.

Podszedł do drzwi, a Rosalind w tym czasie poprawiła szal i przyglądała włosy. Zastanawiała się przy tym, czy Wolf będzie się z nią znowu kochał tego wieczoru. Od drzwi dobiegły ją przytłumione słowa:

- To dla pani. Od dżentelmena na dworze - mówił chłopięcy głos.

- Od jakiego dżentelmena? - zapytał Wolf, ale chłopak już zniknął.

Drzwi zamknęły się. Rosalind stała, tknięta złym przecuciem. Bała się nawet obejrzeć. Kiedy się w końcu odwróciła, zobaczyła, że Wolf trzyma w ręku zrolowaną gazetę, obwiązaną czarnym jedwabnym sznurem - takim samym jak ten, który widziała w gabinecie Evedona, całe wieki temu. Przepelniająca ją radość ulotniła się w jednej sekundzie. Zastygła bez ruchu, ze wzrokiem wbitym w złowieszczą przesyłkę.

- Nie! - Nie potrafiła nawet powiedzieć, czy wykrzyczała to na głos, czy tylko wyszeptała w myślach.

- Rosalind? - Wolf szedł już w jej stronę z zatroskaną twarzą.

Nagle jakby odzyskała władzę w nogach. Rzuciła się do okna i wyjrzała na dwór, szukając wzrokiem Kempstera, ale to nie był on.

Na drodze, przed zajazdem, ujrzała mężczyznę w czerni na czarnym ogierze. Dżentelmena. Musiał to być ten tajemniczy, smagły cudzoziemiec, o którym mówił Kempster.

Od razu ją zobaczył i odniosła wrażenie, że na nią czekał, bo się uśmiechnął. Nawet z daleka widać było jego białe zęby i oczy czarne jak węgle. Oczy te spoglądały na nią wyzywająco, można nawet powiedzieć zalotnie. Nie mogła oderwać od niego wzroku.

Gdy Wolf stanął w oknie obok niej, jeździec uchylił kapelusza i oddalił się galopem. Wolf patrzył za nim pełen niepokoju, pamiętał bowiem tego człowieka sprzed lat. Był to handlarz biżuterią i drogimi kamieniami, Cygan, który podobnie jak on często działał poza prawem. Dlaczego ktoś taki szukał teraz Rosalind? Wniosek nasuwał się sam: Czyżby Rosalind ukradła, mimo wszystko, te szmaragdy? Nie chciał dopuścić do siebie tej myśli - ale nawet jeśli go okłamała, jakie to ma znaczenie, skoro ją kochał?



Rosalind stała poszarzała na twarzy, wpatrzona w pusty gościniec.

- To ten człowiek, który zapłacił Kempsterowi za to, żeby ukradł klejnoty lady Evedon - wyszeptała. - Kempster sam mi o tym powiedział.

- Nigdy mi tego nie mówiłaś.

- A uwierzyłbyś mi, gdybym ci powiedziała? - Popatrzyła mu w oczy, a potem wskazała wzrokiem gazetę, którą trzymał w ręku. - To jego robota.

- Kempstera?

- Nie, tego cudzoziemca.

- To handlarz biżuterią. - Rozwiązał sznur i rozwinął gazetę. - Może wolisz, żebym ją najpierw przejrzał?

Potrząsnęła głową.

- Nie, muszę ją sama przeczytać, choć obawiam się, że nie ma w niej dobrych wiadomości.

Wzięła od Wolfa gazetę i zaczęła ją przeglądać, aż wreszcie natrafiła na to, czego szukała.

Już wcześniej była blada, ale teraz zrobiła się biała jak kreda. Gazeta trzęsła jej się w rękach, a ona czytała i czytała. Wolfowi wydawało się, że dłużej nie zniesie tego napięcia. Kiedy wreszcie skończyła i podniosła na niego oczy, wyzierał z nich tak ogromny ból, że serce mu się ścisnęło.

- Masz. - Podała mu gazetę. - Możesz to sobie przeczytać. Już i tak cały Londyn o tym wie.

Pełen złych przeczuć, wziął pismo i zaczął czytać, nie wierząc własnym oczom:

*Nasza gazeta otrzymała z poufnych źródeł informację o niebywałym skandalu, jaki miał miejsce w rezydencji lorda Evedona. Otóż pewna osoba, pełniąca od siedmiu lat rolę damy do towarzystwa owdowiałej matki obecnego lorda Evedona, okazała się złodziejką i oszustką. Szokująca prawda, do jakiej dotarła nasza gazeta, wygląda tak, że osoba owa, podająca się za pannę Rosalind Meadowfield, to w rzeczywistości panna Rosalind Wardale, najstarsza córka niesławnej pamięci hrabiego Leybourne'a, który, jak część naszych czytelników może jeszcze pamiętać, w roku 1794 zamordował w bestialski*

*sposób swojego przyjaciela, lorda Framlinghama. Za tę odrażającą zbrodnię lord Leybournie został pozbawiony tytułów szlacheckich oraz majątku i powieszony na jedwabnym sznurze, ze względu na jego szlacheckie pochodzenie.*

*Panna Wardale nie tylko oszukała hrabiego Evedona i jego matkę, ale również wykorzystwała w niecny sposób swoją pozycję, aby okraść szacowną damę z jej najcenniejszych klejnotów, z którymi uciekła potem do Szkocji. Mówi się, że lord Evedon podjął stosowne kroki w celu zatrzymania i postawienia przed obliczem sprawiedliwości tej bezwstydney złodziejki, córki mordercy...*

*The London Reporter,*

*19 maja 1815*

- Czy to prawda? Hrabia Leybournie był twoim ojcem? - Pytając, Wolf spodziewał się, że Rosalind zaprzeczy, powie mu, że to jedno wielkie kłamstwo, że nie ma w tym żdźbła prawdy.

- Tak, to był mój ojciec - odparła głosem niewiele mocniejszym od szeptu.

- Jesteś więc hrabianką!

- Czytałeś, co tam jest napisane. Mój ojciec został pozbawiony tytułów szlacheckich oraz majątku.

- Ale to nie ma znaczenia - rzucił. Nadal przecież była panną z wyższych sfer. - Dlaczego mi nie powiedziałaś, Rosalind?

- Ja... - Potrząsnęła głową.

- Nie przyszło ci na myśl, że mam prawo wiedzieć? Na miłość boską, przecież cię poprosiłem o rękę! - On, bękart, i ona, córka hrabiego. Znajac całą prawdę o nim, pozwoliła, by się w niej zakochał i uwierzył, że szczęście jest mu jednak pisane. Sytuacja tak absurdalna, że niemal śmiechu warta, gdyby nie to, że pękało mu serce.

- Nie mogłam ci powiedzieć - wykrztusiła przez ściśnięte gardło. - Gdybyś wiedział, kim był mój ojciec, wszystko wyglądałoby inaczej.

- To prawda - przyznał, bo nie potrafił jej okłamywać. Córka hrabiego nie mogłaby poślubić bękarta, wychowanego w ryszotkach Yorku, bez względu na to, jakie zbrodnie popełnił jej ojciec.

Milczała przez chwilę, a potem odezwała się cicho:

- Jeżeli chcesz cofnąć swoją propozycję...

- Rosalind... - westchnął Wolf i przeciągnął ręką po włosach. - To małżeństwo nie jest możliwe... z uwagi na zbyt wielką różnicę w naszym statusie. Ty jesteś hrabianką, a ja... dobrze wiesz, kim jestem.

- Ja... ja rozumiem - rzekła z dumnie uniesioną głową, on zauważył jednak jej kurczowo splecione palce.

- Rosalind... - Wyciągnął do niej rękę, ale się cofnęła.

- Powiedziałam, że rozumiem. - Głos jej był nabrzmiąły od emocji, mimo to nie płakała.

To i lepiej, bo nie wiedział, czy potrafiłby znieść widok jej łez. Może nawet sam by się rozplakał?

Chrząknął i zebrawszy całą swoją odwagę, powiedział:

- Kempster mówił, że jesteś sierotą...

Potrząsnęła głową.

- Matka kazała mi zerwać kontakty z nią i z moją siostrą, aby moja pozycja u lady Evedon pozostała niezagrożona. Gdyby ktoś poznał moją prawdziwą tożsamość... Nie muszę ci mówić, jakie pociągnęłoby to za sobą konsekwencje - Przełknęła ślinę. - Decyzję tę podjęliśmy z konieczności, nie z wyboru. Miałyśmy zbyt mało pieniędzy, aby się wszystkie z tego. utrzymać. Poza tym zostałyśmy całkiem same, bo mój brat przepadł bez wieści. Tak więc, kiedy matka dowiedziała się, że owdowiała lady Evedon poszukuje damy do towarzystwa, kazała mi się starać o tę posadę. Na jej życzenie zachowałam wszelkie szczegóły w tajemnicy przed siostrą, na wypadek gdyby mnie kiedyś zapragnęła odszukać. Matka obawiała się, że gdyby prawda wyszła na jaw, straciłabym szansę na godziwe życie. Ja natomiast pocieszałam się myślą, że będzie im lepiej z jedną osobą mniej na utrzymaniu.

- Gdzie one teraz są?

- Nie wiem. Po ucieczce od Evedona od razu udałam się do naszego dawnego mieszkania. Tam wysyłałam w tajemnicy listy, bo innego adresu nie miałam. Właściciele

domu powiedzieli mi, że moja matka i Nell wyprowadziły się dawno temu. - Spojrzała mu w oczy. - I co teraz? Odwiesz mnie do Evedona?

Jak w ogóle mogła pytać go o coś takiego?! Przecież ją kochał! Nie mógł jej jednak tego powiedzieć, bo tym trudniej byłoby im się rozstać. Lepiej zostawić ją z nienawiścią w duszy niż ze zbolącym sercem.

- Załatwię z Evedonem kwestię tego listu oraz klejnotów. Potem odnajdę twoją matkę i siostrę, i ci je przywiozę. - Mówił to beznamiętnym tonem, bo dawno temu nauczył się wyłączać emocje w kluczowych momentach. To wszystko dla jej dobra, powiedział sobie. Rosalind zasługuje przecież na kogoś lepszego niż on. A ponieważ ją kocha, zrobi to, co będzie najlepsze dla niej, nie dla niego. Poświęci się, zrezygnuje z własnego szczęścia dla jej dobra.

Skinęła głową, zaciskając wargi.

- Skoro tak sobie życzysz...

- Mam pieniądze... - zaczął.

- Nie chcę twoich pieniędzy, Wolf.

Mimo to dostanie je, pomyślał. Nie zostawi jej i jej rodziny bez grosza. Całe szczęście, że uważał, kiedy się kochali, bo będzie mogła układać sobie życie bez obaw, że nosi jego dziecko.

Podniósł z podłogi gazetę i sznur. Dopiero teraz zauważył na nim małą pętlę. Wszystko zdawało się wskazywać na to, że jakiś psychopata rzeczywiście chce ugodzić Rosalind. Będzie musiał zatem wybadać, jaką rolę odgrywał w całej sprawie ów handlarz biżuterią. Wrzucił gazetę i sznur do ognia, po czym wziął Rosalind za rękę i kazał jej patrzeć, jak się palą, dopóki nie pozostała po nich garstka popiołu.

Tej nocy Rosalind spała w łóżku sama, bo Wolf rozłożył sobie kołdry na podłodze. Jak tylko zobaczyła tę gazetę obwiązaną lśniącym sznurem, wiedziała, że stanie się coś strasznego. W jednej chwili cała jej przyszłość legła w gruzach. Przez długie, bezsenne godziny myślała o latach przeżytych w strachu, że ktoś odkryje jej tajemnice. Co za ironia losu, pomyślała z gorzkim uśmiechem. Teraz prawdę o niej znał już cały Londyn. Tyle strachu, ukrywania się, sekretów spędzających sen z powiek - i wszystko na nic... Była skończona! Stało się to, czemu jej matka tak rozpaczliwie pragnęła zapobiec.

Jednak i ta gazeta, i jej kompromitacja były niczym wobec faktu, że została odtrącona przez Wolfa.

Nigdy by nie pomyślała, że okaże się takim hipokrytą. Nie chciał jej, bo świat uznał jej ojca za mordercę. Odtrącił ją, a mimo to nie przestała go kochać. Przypomniła sobie jego słowa o zbyt wielkiej różnicy w ich statusie. Czczą wymówka, bo nie miał odwagi jej powiedzieć, że nie chce się żenić z córką przestępcy okrytego niesławą. Uważała Wolfa za najodważniejszego, najsilniejszego człowieka, a tymczasem okazał się takim samym tchórzem jak ona.

W jednej chwili prysły jej nadzieje i rozwiały się piękne sny. Po raz kolejny została całkiem sama. Pod osłoną ciemności łzy popłynęły jej po twarzy niepowstrzymanym strumieniem. Byłoby lepiej, gdyby Evedon wezwał wtedy konstabla, bo nie zostałaby pojmana przez Wolfa. Lepiej byłoby wyznać Evedonowi całą straszną prawdę na swój temat, niż zakochiwać się w człowieku, który ją schwytał.

Leżała, zalewając się łzami, z uczuciem, że zaraz pęknie jej serce.

## Rozdział piętnasty

Do Londynu wyruszyli nazajutrz, poranną pocztą, by dotrzeć wieczorem do Stamford, gdzie zatrzymali się na noc w zajezdzie „U George'a”. Rosalind znowu spała w łóżku sama, Wolf ułożył się w fotelu. Przez cały ten czas zamienili zaledwie parę słów, gdyż zbrodnia jej ojca wbiła się klinem między nich, jakby ich miłość nigdy nie istniała. Wolf znów upodobił się do tego dawnego Wolfa, który odbierał ją w Munnoch Moor - szorstkiego, o surowej, zaciętej twarzy i zaciśniętych ustach. Tylko jego oczy zmieniły się od tamtej pory: ich spojrzenie złagodniało i było pełne smutku. Widziała to przy tych rzadkich okazjach, kiedy spotykali się wzrokiem.

Rankiem wsiedli do dyliżansu pocztowego, który ich dowiózł do Londynu. Potem Wolf poprowadził Rosalind przez ruchliwe ulice. Trzymał ją przy tym mocno za łokieć, jakby się bał, że znowu mu ucieknie. Nasunęła jej się gorzka refleksja: skoro postanowiła, że już nigdy więcej nie będzie uciekać, to niepotrzebnie się obawiał. Prowadząc ją, starał się zachować między nimi należyty dystans, mimo to jego uścisk parzył jej skórę. Szedł o pół kroku przed nią, osłaniając ją swoją osobą, jakby wyrąbywał ścieżkę w tłumie. Zanim dotarli do celu, zablokował czyjś łokieć, odparował cios i odepchnął rękę kieszonkowca.

Wreszcie zatrzymał się na małym londyńskim skwerze, Cumberland Place, otoczonym eleganckimi domami z bladożółtego piaskowca, o śnieżnobiałych oknach i czarnych jak heban frontowych drzwiach, na których lśniły mosiężne kołatki. Przed jednym z nich czterokonny powóz ze stangretem w liberii czekał na pasażerów.

W głowie Rosalind zrodziło się nagle podejrzenie. Spojrzała z niepokojem na Wolfa. Czy przyprowadził ją tu, aby mimo wszystko wydać ją w ręce Evedona?

- Mówiłeś, że idziemy do ciebie.

Nie odpowiedział, tylko zaczął wchodzić po schodach prowadzących do drzwi frontowych jednego z domów.

- Owszem, tak mówiłem.

- Wolf! - Rosalind nie ruszyła się z miejsca.

Spojrzał na nią, a jego srebrzyste oczy zdawały się przeszywać ją na wylot.

- Czy jest tam Evedon? - zapytała drżącym głosem. - Przyprowadziłeś mnie do niego?

Nie mogła nic wyczytać z jego rysów, bo odkąd poznał prawdę o jej ojcu, twarz miał chłodną i nieodgadnioną. Mijały sekundy, aż wreszcie odpowiedział:

- To mój dom, Rosalind.

Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Myślałam, że... - Urwała i spróbowała zebrać myśli.

Nie mógł chyba mówić prawdy?

- Co myślałaś? - zapytał i czekał na jej odpowiedź.

Ona jednak potrząsnęła tylko głową i wzruszyła ramionami, jakby to było nieistotne.

Stanęli przed drzwiami, które nagle otworzyły się i ukazał się w nich lokaj w liberii.

- Pan Wolversley! - powitał radośnie Wolfa.

- Dobry wieczór - odpowiedział Wolf.

Rosalind oniemiała.

Wolf znów na nią spojrzał.

- Byłoby lepiej, gdybyś nie chodziła po ulicach, zanim się nie rozmówię z Evedonem.

Skinęła głową bez słowa, po czym weszła za nim do domu.

Dom był duży i bardzo luksusowo urządzone. Z wykładanego białym marmurem holu prowadziły na górę szerokie, wygodne schody. Wolf rzucił bagaże na posadzkę z włoskiej terakoty i poszedł dalej, krokiem tak pewnym siebie, jakby zapomniał, że ma na sobie stare, brudne buty i ubłocony płaszcz. Rosalind przemknęło przez myśl, że i ona musi wyglądać równie nie na miejscu w tak eleganckim wnętrzu. Ruszyła za nim, nie do końca przekonana, że mówił prawdę.

Wolf zaprowadził ją do salonu urządzonego w chłodnych odcieniach szarości i błękitów. Meble były wprawdzie proste w formie, ale doskonałej jakości. Przez wielkie półokrągłe okna widać było ulicę, na której zapadał zmrok.

Rozejrzała się wokoło, na wpeł spodziewając się ujrzeć Evedona. Gdy Wolf zapro-  
sił ją gestem, aby usiadła, przycupnęła na brzegu wielkiego niebieskiego fotela.

- Naprawdę mieszkasz w tym domu? - zapytała.

- Tak.

- To dziwne. Wydawało mi się, że masz inny adres.

- W jakiejś ruderze na przedmieściach? A może w zapluskwionej noclegowni?

- Nie, myślałam, że wynajmujesz komfortowy pokój w jakimś pensjonacie -  
powiedziała, czując, że wzbiera w niej gniew. - Oszukałeś mnie, Wolf.

Uniósł brwi i nic nie powiedział, ale z jego oczu wyczytała identyczne oskarżenie.

Poczerwieniała, bo uświadomiła sobie swój nietakt. Opowiedział jej przecież o  
swoim pochodzeniu i przyznał się, że jego siłą napędową były gorycz i ból, dzięki  
którym stał się tym, kim był teraz. Obnażył przed nią swoją duszę - pamiętała doskonale  
słony smak jego łez. Silny, odważny i zawzięty mężczyzna odsłonił swój najczulszy  
punkt, podczas gdy ona zachowała dla siebie swoje mroczne tajemnice. Nie miała prawa  
krytykować Wolfa. To ona wprowadziła go w błąd i to ona kłamała.

- Nie to chciałam powiedzieć. Myślałam tylko, że... Po tym wszystkim, co mówiłeś  
na temat wyższych sfer...

- Wszystko to prawda, co do joty. Mogę być bogaty, Rosalind, ale nigdy nie  
ucieknę przed konsekwencjami mojego pochodzenia. I nawet nie mam zamiaru.

- Ale... byłeś przecież bez grosza. Chowalesz się na ulicy...

- Tak. Ale to już przeszłość, bo teraz jestem człowiekiem bardzo zamożnym.  
Powiodło mi się w interesach, potrafię też dobrze zainwestować. Zarobiłem każdego  
pensa z mojego majątku, w przeciwieństwie do reszty mieszkańców tej ulicy. Moi  
sąsiedzi nienawidzą mnie za to. - Uśmiechnął się z goryczą, jakby mu było wszystko  
jedno, lecz Rosalind wiedziała swoje.

- Skoro nie musisz już pracować, dlaczego przyjąłeś zlecenie Evedona?

- Musiałem to zrobić, Rosalind. Tu nie chodzi o pieniądze, i nigdy nie chodziło,  
choć zdaję sobie sprawę z tego, jak ogromnie są ważne, bo przez większą część życia  
ich nie miałem.

- Wolf...



Odwrócił się i zapatrzony w okno, zaczął mówić rzeczowym, beznamiętnym tonem:

- Jak już ci obiecałem, natychmiast rozpocznę poszukiwania twojej rodziny. A ty możesz tu zostać, dopóki ich nie odnajdę. Czuj się jak u siebie w domu. Chcę, żeby było ci tu wygodnie. Gdybyś miała jakieś życzenie, powiedz Haddowowi, on się wszystkim zajmie.

- Kto to jest Haddow?

- Mój lokaj - odpowiedział.

A więc nie chciał, aby zwracała się do niego. To ją zabolalo. Rosalind uniosła wyżej głowę i wyprostowała plecy, nie chcąc po sobie pokazać, że czuje się po raz kolejny odtrącona.

- I nie wychodź z domu - dodał. - Chyba że chcesz wzbudzić zainteresowanie prasy i mieć tu dziennikarzy koczujących na schodach.

- A Evedon?

- Porozmawiam z nim.

Rosalind kiwnęła głową.

W ciszy, jaka zapadła, słyhać było jedynie tykanie zegara na kominku.

- Haddow zaprowadzi cię do twojego pokoju.

Pomyślała, że Wolf jest takim samym oszustem jak ona, bo także udawał kogoś innego. Twierdził, że nienawidzi wyższych sfer za ich pieniądze i władzę, będąc jednocześnie bogatym jak Krezus. A ona mu uwierzyła i go pokochała.

Gdy w progu stanął lokaj, wstała i nie spojrzawszy nawet na Wolfa, wyszła za utykającym Haddowem.

Następnego ranka Rosalind stała przy oknie w sypialni, która robiła wrażenie, jakby nikt jej nigdy nie używał. Wyglądała na opustoszałą ulicę. W pewnej chwili drzwi frontowe zatrzasnęły się i zobaczyła, jak Wolf zbiega po schodach i znika za rogiem.

Niech go diabli, pomyślała. Niech go piekło pochłonie!

Gniew przytłumił ból w jej sercu.

Wolf wrócił dopiero późnym popołudniem, kiedy siedziała w małym buduaraku przylegającym do sypialni. Usłyszała trzaśnięcie drzwi i od razu wiedziała, że to on. Przez ostatnie godziny zastanawiała się nad swoim położeniem, przemyślała ostatnie wydarzenia i jej gniew przerodził się w furję. Stało się to, czego tak się bała przez całe życie. Ostrzeżenia jej matki okazały się prorocze. Z chwilą kiedy jej sekret ujrział światło dzienne, wszystko się zmieniło. Na samą wzmiankę o skandalu jej ukochany zerwał zaręczyny, podając jako wymówkę hrabiowski tytuł jej ojca. Ona знаła jednak prawdziwy powód, dla którego nie mógł ścierpieć myśli o ich związku. To dlatego, że przykleili jej na zawsze etykietkę córki mordercy. Od tego nie da się już uciec. Bez względu na to, jak bardzo starałaby się to ukryć, i bez względu na to, czy jej ojciec był winny, czy nie.

Pomyślała o tajemniczym nieznajomym, który zapłacił Kempsterowi za to, aby ukraść klejnoty i ukrył je w jej pokoju. Przypomniała sobie wyraz jego twarzy po tym, jak dostarczył jej gazetę z tym strasznym artykułem. Oczywiście, była w nim prawda, ale podana w taki sposób, żeby podsunąć pikantne skojarzenia. Nic dziwnego, że po przeczytaniu artykułu Wolf nie chciał się już z nią ożenić. Bo też który mężczyzna chciałby, mówiąc szczerze? Zaczęła się zastanawiać, dlaczego temu handlarzowi biżuterią tak bardzo zależało na tym, aby ją pogrzyżyc. Kto to był? Widziała spojrzenie, jakim obrzucił ją Wolf, kiedy zobaczył go na drodze przed zajazdem, ten podejrzliwy błysk w jego oczach. Jak on śmiał?!

Owszem, skłamała, nie może się tego wyprzeć. Zataiła swoją przeszłość, ale czy można jej się dziwić, skoro reakcja Wolfa w pełni usprawiedliwiała jej obawy? A teraz nie miała już ani pieniędzy, ani adresu, pod który mogłaby się udać. Była skończona. To pewne, że wszyscy się od niej odwrócą. Jej rodzina gdzieś zaginęła, Evedon wciąż dybie na jej życie, a Bóg jeden wie, co jeszcze planuje ten nieznajomy o urodzie południowca. Wolf obiecał wprawdzie, że jej pomoże, odnajdzie jej rodzinę, pomówi z Evedonem i rozwiąże wszystkie jej problemy... poza złamanym sercem, rzecz jasna. Teraz jednak nie chciała już jego pomocy. Nie życzy sobie być uzależniona od jego łaski.

Była zła na siebie i na całe swoje życie za te wszystkie lata uległości i strachu, za ukrywanie prawdziwej Rosalind Wardale. Gniew wzbierał w niej, aż poczuła, że już

dłużej tego nie zniesie. Poderwała się i wyszła z pokoju z zamiarem wygarnięcia Wolfowi prosto w oczy, jak mierzi ją jego dwulicowość.

W holu na dole natknęła się na Haddowa.

- W czym mogę pomóc, panno Meadowfield?

- Nazywam się Wardale, nie Meadowfield. Rosalind Wardale. I byłabym wielce zobowiązana, gdyby mnie pan niezwłocznie zaprowadził do pana Wolversleya. Muszę z nim porozmawiać.

Lokaj miał zniszczoną, pooraną szramami twarz, jakiej nigdy dotąd nie widziała u żadnego służącego. Ta twarz pozostała jednak kompletnie niewzruszona, kiedy wyjawiała mu swoją prawdziwą tożsamość.

- Pana Wolversleya nie ma w domu, panienko.

- Przecież słyszałam, jak wrócił jakieś dziesięć minut temu.

- Powtarzam: pana Wolversleya nie ma w domu. Czy mogę jeszcze w czymś pomóc? Może podać herbatę?

- Nie, dziękuję - rzuciła przez zaciśnięte zęby i zaczęła wchodzić powoli na górę.

Była już na półpiętrze, kiedy usłyszała oddalające się kroki lokaja. Drzwi się otwarły i zamknęły. Zapadła cisza.

Rosalind odwróciła się na pięcie i zbiegła szybko na dół. Zaczęła otwierać wszystkie drzwi w holu, cicho, żeby Haddow jej nie usłyszał, i zaglądać do każdego pokoju. Za trzecim razem jej się powiodło. Drzwi prowadziły do niewielkiego pokoju urządzonego, w przeciwieństwie do reszty, bardzo niedbale. Ciemne mahoniowe meble i ciężkie kotary z czarnego aksamitu, zaciągnięte teraz, stwarzały mroczną, nieco tajemniczą atmosferę. Mimo że dzień był pogodny, na kominku płonął ogień, zalewając pokój ciepłą, bursztynową poświatą. Jeżeli spodziewała się półek na książki, to się zawiodła. W rogu upchnięto niewielkie biurko i krzesło, które wyglądało na kulawe. Przy kominku stały dwa wytarte skórzane fotele o wysokich oparciach, a między nimi stolik z butelką brandy. Gniazdko Wolfa.

Pokój ten zdawał się do niego pasować. To tutaj odpoczywał i mógł wreszcie być sobą. Każda rzecz w tym pokoju była jakby naznaczona jego piętnem. Nawet unoszący

się w powietrzu zapach. A więc to tu spędzał większość czasu, w tym pokoiku, tak niepodobnym do reszty.

Podeszła do biurka. Wykonane, jak pozostałe meble, z mahoni, pociemniało z czasem i było z jednej strony uszkodzone, jakby ktoś pociął je nożem. Przeciągnęła palcem po jednej ze szram. Zniszczone, ale wciąż solidne, naznaczone, a jednak tym piękniejsze, bo z charakterem... Od razu pomyślała o Wolfie.

Z drugiego końca pokoju dobiegł ją jakiś szmer. Wzdrygnęła się, a potem szybko się odwróciła, gotowa na konfrontację z Wolfem. Serce waliło jej w piersi, ostre słowa same pchały się na usta, a oczy miały błyskawice.

Nie był to jednak Wolf, tylko Campbell. Stał obok fotela, ze szklaneczką brandy w reku. Musiał siedzieć w fotelu tyłem do niej, więc go nie zauważyła, kiedy weszła do pokoju.

- Wojskowe, uratowane podczas bitwy z rąk pewnego francuskiego pułkownika. - Wskazał na biurko. - Podoba się pani?

- Dzień dobry, panie Campbell.

- Witam, panno Meadowfield. A może mam zwracać się do pani - panno Wardale?

- Więc pan już wie - powiedziała, i nie było to bynajmniej pytanie.

- Tak, dziewczyno. Czytałem w gazecie.

- Koniec udawania - rzuciła. - Cały Londyn wie, kim jestem. „Odrażająca zbrodnia”, napisali, jakby jakakolwiek zbrodnia mogła być piękna. Nazwali mojego ojca mordercą, a mnie córką mordercy.

- Przykro mi, panienko - rzekł Campbell łagodnym tonem.

Jego oczy tonęły w cieniu.

- Z pewnością nie tak przykro jak mnie, panie Campbell. - Uśmiechnęła się z goryczą. - Jestem doszczętnie skompromitowana.

- Panno Wardale, przecież już jutro będą to tylko wczorajsze sensacje. Ludzie zapomną.

- Ale nie Wolf.

- Co masz, dziewczyno, na myśli?

Potrząsnęła głową, jakby to było nieistotne.

- Mówił, że nienawidzi arystokracji, szlachty, tych co mają pieniądze i władzę, zżeranych korupcją... A ja mu uwierzyłam. Wierzyłam we wszystko, co mi opowiadał. Tymczasem okazało się, że mieszka tutaj - zatoczyła ręką krąg - na Cumberland Place, w domu większym od miejskiej rezydencji mego ojca. Ma służbę, pieniądze... Nie jest tym, za kogo się podaje.

- Podobnie jak my wszyscy, panno Wardale.

- Wolf jest takim samym kłamcą jak ja.

Campbell uniósł się gniewem.

- Wolf zapracował na każdego pensa ze swojej fortuny! Swoimi zdolnościami, charakterem, siłą pięści i mieczem. Może i wyszedł z rynsztoka, ale nigdy nie zapomniał o swoich towarzyszach. Ci służący, o których pani mówiła, to ludzie, z którymi służył w armii Wellingtona, uznani za niepotrzebnych, bo nie byli już zdolni do walki. Ludzie, którzy potracili kończyny i wzrok, służąc swojej ojczyźnie, i którzy żebraliby teraz przy drodze, gdyby nie Wolf. To on zapewnił im pracę, przywrócił należny szacunek i dał możliwość zadbania o swoje rodziny. Płaci im wszystkim dwa razy więcej niż każdy z tych skąpych dżentelmenów mieszkających w okolicy. I dobry z niego pan.

Przypomniała sobie utykanie Haddowa, innego służącego z podpiętym rękawem, srebrną piersiówkę z wygrawerowanym napisem: *Porucznik Will Wolversley, 26 Pułk Piechoty...* - i złość jej przeszła.

- Owszem, ma wspaniały dom - ciągnął dalej Campbell - piękny powóz i czwórkę koni, ale to w niczym nie zmienia tego, kim jest. I nie uleczy ran jego serca. To twardy człowiek, panno Wardale, a najbardziej surowy wobec siebie. On nie jest kłamcą i nie pozwolę go tak nazywać!

- Nie wiedziałam o tym - powiedziała Rosalind.

- No to teraz pani już wie. - Campbell stał nadal przy fotelu, nie odrywając od niej wzroku.

Z zewnątrz dobiegł ich stukot butów na kamiennych schodach, odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, a potem przyciszona rozmowa. Drzwi do pokoju otworzyły się. Rosalind nie musiała się nawet odwracać, żeby wiedzieć, że to Wolf. Odwróciła się jednak - i spotkali się wzrokiem. Ciepły blask ognia złagodził zimne srebro jego oczu.

Powiódł wzrokiem od Rosalind do Campbella i z powrotem, i w jego spojrzeniu dostrzegła nieme pytanie.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Gniew w jej duszy ustąpił miejsca cierpieniu. Nie mogła jednak pokazać tego po sobie, gdyż wzbraniała jej tego duma.

- Panowie wybaczą. - Uniosła głowę i taką godnością, na jaką ją było stać, wymaszerowała z pokoju.

Wolf poczekał, aż drzwi zamkną się za nią, i dopiero wtedy zapytał:

- Co się tutaj działo, do cholery?

Rosalind wyglądała, jakbyś jej dał po twarzy.

Campbell odstawił swoją na wpół pełną szklaneczkę i napelnił drugą.

- Dziewczyna miała jakieś mylne wyobrażenia, a ja tylko je skorygowałem, nic więcej. - Wziął swoją szklaneczkę, pozostawiając drugą na stoliku, i usiadł w fotelu. - Więc jednak nie poszedłeś z nią do łóżka - powiedział z żalem.

Wolf potarł z westchnieniem skronie, a potem zajął miejsce w fotelu naprzeciw.

- Nie zaczynaj, Struan. - Sięgnął po swoją brandy i wychylił spory haust. - Rozumiem, że dostałeś moją wiadomość?

Campbell pokiwał głową.

- Nie podoba mi się, co ta dziewczyna z tobą wyprawia, ale to już gruba przesada. Ona nie zasługuje na coś takiego. Czy to prawda, co wypisują w tej gazecie?

- Tak, Rosalind jest córką Leybourne'a. Cholerną hrabianką!

- W gazecie napisali, że pozbawiono go tytułów.

- Co za różnica? Nadal jest szlachcianką. - Wolf wymówił te słowa z bólem, po czym wbił wzrok w płomienie na kominku.

Na moment zapanowała cisza. Campbell zaklął pod nosem i syknął, ale Wolf nawet się nie odwrócił.

- Tu chodzi o coś więcej niż tylko łóżko - zarzucił mu Campbell. - Ty coś do niej czujesz.

Wolf odwrócił się i napotkał zatroskany wzrok starego przyjaciela.

- Kocham ją, Struan - powiedział. - Zanim się dowiedziałem, kim jest naprawdę, poprosiłem ją, żeby została moją żoną.

- Chciałeś się żenić? - przeraził się Campbell.

- Nie musisz się obawiać. Ta historia w gazecie wszystko zmieniła. Hrabianka nie może poślubić bękarta, syna ladacznicy.

- Więc dała ci kosza?

- Nie, przyjęła mnie z otwartymi ramionami. - Wolf uśmiechnął się mimo woli. - To ja się wycofałem.

Campbell wytrzeszczył oczy.

- Nic już z tego nie rozumiem. Ty ją kochasz, ona zgadza się wyjść za ciebie, a potem nagle nie chcesz się żenić, bo jej ojciec był hrabią?

- Przecież wiesz, gdzie się wychowałem i kim jestem, Struan.

- Jakie to ma znaczenie, skoro się kochacie?

- Dla mnie ma. - Wolf jednym haustem dopił resztkę brandy i nalał sobie następną szklaneczkę. - Dla niej też. Zresztą nie zaprosiłem cię tu, żeby o tym rozmawiać. Czego się dowiedziałeś w sprawie szmaragdów?

- Nie spodoba ci się to, co powiem, Wolf... - Campbell zawiesił głos, po czym znów podjął: - Trafiły do pasera jeszcze tej samej nocy, kiedy miała miejsce kradzież. Przyniósł je ktoś ze służby Evedona.

Wolf spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

- To był Kempster.

- Niech to diabli! - mruknął Wolf pod nosem. - Te kamienie wpadną pewnie w końcu w ręce Beshaleya.

- Beshaleya? - zaniepokoił się Campbell. - Masz na myśli tego Cygana, Stephano Bashaleya? Handlarza biżuterią?

- We własnej osobie - potwierdził Wolf. - Beshaley jest centralną figurą całej tej afery. Z początku nie potrafiłem umiejscowić jego nazwiska, ale kilka dyskretnych wywiadów, jakie dziś przeprowadziłem, pomogło mi rozszyfrować jego tożsamość. Beshaley to ten człowiek z zajazdu, o którym ci pisałem. To on przywiózł Rosalind tę nieszczęsną gazetę. To on zapłacił Kempsterowi za to, żeby ukradł klejnoty lady Evedon i podrzucił je do pokoju Rosalind. Beshaley zadał sobie wiele trudu, by ją skompromitować.

- Kim jest dla niego Rosalind Wardale?

Wolf potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia. Rosalind mówi, że go nie zna.

- A ty jej wierzysz?

- Wierzę.

- Czyli Kempster, ta przewrotna gnida, oszukał również Beshaleya. Ukradł obydwie komplety drogocennych kamieni, ale podrzucił tylko brylanty, a szmaragdy sprzedał na boku, nieświadomy prawdziwej profesji swojego zleceniodawcy. Możesz jednak być pewien, że Beshaley jeszcze go dopadnie, o ile już tego nie zrobił.

- Nie sądzę, żeby Beshaley szczególnie się tym przejął - stwierdził Wolf. - To rodzaj prywatnej vendetty przeciwko Rosalind. Trzeba wy badać, jaki jest związek między nimi.

- A Evedon? Jaka jest jego rola w tym wszystkim?

- Żadna - odparł Wolf. - Beshaley szukał po prostu sposobu na skompromitowanie Rosalind. Więc kiedy Kempster doniósł mu, że Evedon chce zatuszować sprawę kradzieży klejnotów, zwrócił się do prasy. Evedon jest w tej aferze tylko przypadkową ofiarą. - Pomyślał o liście, który Rosalind nosiła pod gorsetem, a który spoczywał teraz bezpiecznie w kieszeni na jego piersi.

- A czy Rosalind rzeczywiście ukradła Evedonowi jakiś list?

- Tak.

- I co? - Campbell spojrział na niego wyczekująco.

- To już nie nasze zmartwienie, Struan. - Wolf dopił resztkę brandy i odstawił szklaneczkę na stół. - Spróbuj się jeszcze czegoś dowiedzieć o Beshaleyu. Ja muszę teraz iść na spotkanie z Evedonem.

- Lepiej ty niż ja. Podejrzewam, że Evedon nie będzie zachwycony. Ani dziewczyny, ani szmaragdów, tylko jakiś durny list. - Campbell podniósł się z fotela.

Wolf uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Zapewniam cię, że ten nieszczęsny dureń będzie aż nadto szczęśliwy, kiedy dostanie z powrotem swój list.



Rosalind usłyszała trzask frontowych drzwi. To wyszedł Campbell. Pięć minut później ktoś zapukał do jej pokoju.

- Rosalind? - usłyszała głos Wolfa, który czekał, chociaż to był jego dom i drzwi nie były zamknięte na klucz.

Kiedy mu otworzyła, był jakby stropiony.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Bardzo dobrze, dziękuję - odparła uprzejmie.

Pokiwał głową i chrząknął, ale nadal stał w progu.

- Czy sypialnia ci się podoba?

- Tak - skłamała.

Pokój był przestronny i elegancki, urządzone na białe i kremowe i kosztownie umeblowane, lecz nieprzytulny. Nie wyczuwało się w nim domowej atmosfery, podobnie jak w całej reszcie domu, z wyjątkiem skromnego gabinetu Wolfa - jedyne pomieszczenia, jakie jej się naprawdę podobało.

- A to się cieszę - powiedział, patrząc na nią niepewnie. - Haddow mówił mi, że życzyłaś sobie ze mną porozmawiać.

Spojrzała na niego uważnie i pomyślała, że stara się, podobnie jak ona, pod maską dobrych manier ukryć prawdę o swoich uczuciach.

- Campbell powiedział mi, że byłeś w wojsku, poruczniku Willu Wolversley.

- Nie miał prawa ci tego mówić.

- I nie powiedział. To ja przeczytałam napis na twojej flasce, wtedy, nad strumieniem, tego dnia, kiedy jechałam z Kempsterem.

- Tego dnia, kiedy uciekłaś.

- A ty przyprowadziłeś mnie z powrotem. - Ich oczy spotkały się na dłuższą chwilę i Rosalind poczuła lekki dreszczyk. - Co się stało? - zapytała. - Przecież Anglia nadal jest w stanie wojny z Francją. Dlaczego więc nie jesteś w wojsku?

- To Campbell nie opowiedział ci reszty tej historii? - Pokręcił głową i odwrócił na moment wzrok, a potem znów na nią spojrzał. - Zostałem zwolniony dyscyplinarnie. Chłostali mnie tak długo, aż mi zdarli całą skórę z pleców. Miałem szczęście, że wyrok był taki łagodny, bo gdyby postąpili zgodnie z regulaminem, już bym nie żył.

Przypomniała sobie, jak tamtej nocy w zajeździe zobaczyła jego straszliwe blizny na plecach.

- Ale dlaczego? - zapytała, zagryzając wargi.

Bała się odpowiedzi, a zarazem chciała ją usłyszeć.

- Zabiłem innego oficera - odparł. - Jesteś zaszokowana? - dodał, widząc jej szeroko otwarte oczy.

- Trochę, jednak z pewnością miałeś powody, żeby... żeby posunąć się do czegoś takiego.

Uśmiechnął się, rozładowując nieco obopólne zakłopotanie.

- Przez swoją głupotę i pychę posłał na pewną śmierć wielu dobrych żołnierzy. I byłby przywiódł do zguby całą kompanię, gdybym nie odmówił wykonania jego rozkazu.

- Więc zabiłeś go za karę?

- Zabiłem go w pojedynku. To on mnie wyzwiał. Ja zamierzałem jedynie zranić tego dumia.

- Wolf...

Potrząsnął głową, jakby nie chciał już nic więcej słyszeć.

- Było, minęło. To już przeszłość.

- Wiem - powiedziała cicho.

- Wtedy, w tym zajeździe, ten człowiek, który przywiózł ci gazetę... Powiedziałaś, że go nie znasz...

- Bo go nigdy w życiu nie widziałam.

- Nazywa się Stephano Beshaley.

Rosalind potrząsnęła powoli głową.

- To nazwisko nic mi nie mówi.

- Musi jednak być jakiś związek między wami, skoro on tak desperacko pragnie twojej zguby.

Ich oczy znów się spotkały, a ją znowu przeszedł dreszcz.

- Ale nie bój się, Rosalind. Tu jesteś bezpieczna. Zrobię wszystko, aby się dowiedzieć, o co tak naprawdę chodzi temu Beshaleyowi.

- A Evedon?

- Mam się z nim spotkać za pół godziny. Tak czy inaczej, z jego strony nic ci już nie grozi.

- Ty... ty masz ten list?

Wolf skinął głową.

- Tak, mam ten list.

Patrzyli na siebie przez chwilę w narastającym napięciu. Tyle niewypowiedzianych słów... Odnaleźli tak wiele, aby to potem utracić... Mimo to nie chciała, aby Wolf poszedł sam do Evedona.

- Pozwól mi pójść z tobą.

- Lepiej będzie, jak z nim porozmawiam w cztery oczy.

- Lepiej dla kogo? - zapytała cicho.

- Dla nas wszystkich, Rosalind.

- Nie znasz go, więc nie wiesz, co to za człowiek.

- Mimo wszystko mogę spokojnie zaryzykować, bo się domyślam.

- Próbuję cię tylko ostrzec.

- Wiem, dziewczyno - odparł łagodnie. - I jestem ci za to wdzięczny. - Nachylił się i cmoknął ją w policzek, po czym odwrócił się i wyszedł.

Rosalind została sama. Policzek, którego dotknęły usta Wolfa, palił ją żywym ogniem. Huk zatrzaskiwanych frontowych drzwi odbił się echem po domu, a potem zapadła cisza.

## Rozdział szesnasty

Wolf nie zasiadł w fotelu wskazanym mu przez Evedona. Podczas ich rozmowy w bibliotece hrabiego wolał stać. Evedon był spocony i czerwony na twarzy, jakby już tego dnia sporo wypił, chociaż było dopiero wczesne popołudnie.

- Gdzie ona jest? - W oczach Evedona spoza gniewu przebijał strach. - Złodziejka i córka mordercy... zrujnowała reputację mojej matki... i moją też.

- Niczyja reputacja na tym nie ucierpiała, oprócz opinii samej panny Wardale - powiedział Wolf.

- Miałeś trzymać gębę na kłódkę. Taka była umowa. Sto gwinei za to, że mi ją po cichu odwieziesz. A ty sprzedałeś tę historię do gazety! Ile ci za to zapłacili, do diaska? Moje pieniądze ci nie wystarczyły?

- Ta notatka w gazecie to nie była moja robota.

- Kempster powiedział, że ona wpadła ci w oko i że sypiałeś z tą dziwką.

Wolf ruszył w stronę Evedona, który zaczął się cofać.

- Uważaj na słowa, Evedon! Nie będziesz się tak wyrażał o pannie Wardale.

- Więc miał rację - mruknął Evedon.

Odwrócił się i nalał sobie kolejnego drinka.

Wolf wytrącił mu kieliszek z rąk. Misternie rżnięty kryształ roztrzaskał się o kamienną obudowę kominka.

- Dostyc już dzisiaj wypiełeś, Evedon. Kempster to łgarz, złodziej i podpalacz. To on ukradł klejnoty lady Evedon, a nie panna Wardale.

Evedon wybałuszył na niego oczy.

- To ty łżesz, bo z nią sypiasz.

Wolf złapał go za fular i przyciągnął do siebie, tak że niemal stykali się twarzami.

- Powiedz lepiej Kempsterowi, żeby brał nogi za pas, bo jak go dorwę, to go zabiję. Zapłacono mu za to, żeby okradł lady Evedon, a podejrzania skierował na pannę Wardale. To dlatego ukrył brylanty w jej pokoju, natomiast szmaragdy, powodowany chciwością, sprzedał paserowi i przywłaszczył sobie pieniądze. Gdzie on teraz jest, ten tchórzliwy szczur?

- Nie ma go - wychrypiał Evedon. Twarz mu spurpurowiała, a oczy wychodziły z orbit. - Jak tylko wrócił ze Szkocji, poprosił o referencje i znów wyjechał. Chyba ma jakieś rodzinne kłopoty...

Wolf wysłuchał Evedona z zaciętą twarzą. Puścił go, ale nie pozwolił mu podejść do stolika, na którym stał dzwonek do wzywania służby.

- Spróbuj zadzwonić, to ci wpakuję kulkę w serce, zanim pierwszy lokaj zdąży przekroczyć próg. - Jego dłoń dotknęła pistoletu, ukrytego pod płaszczem.

Evedon spojrzał na niego z wyrzutem.

- Przyszedłeś tu bez dziewczyny, więc czego chcesz, Wolversley? Bo chyba nie zapłaty?

Wolf sięgnął do kieszeni, wyjął list i rozłożył go na stole. Evedon zbladł, a potem jeszcze bardziej poczerwieniał. Popatrzył na list, oblizwał wargi i przełknął nerwowo ślinę.

- Ile chcesz?

- Chcę twojego słowa, Evedon.

Evedona zamurowało. W jego wzroku odmalowała się podejrzliwość.

- Mojego słowa, Wolversley?

- Tak. Dasz mi słowo, że cały Londyn dowie się o łajdactwach Kempstera i jego roli w tej aferze.

Evedon odetchnął z ulgą.

- Och, z tym nie będzie kłopotów.

- Nie będziesz szukał panny Wardale, nie będziesz próbował się z nią skontaktować i nie będziesz mówił o niej źle - do nikogo! A twoja matka wystawi jej doskonałe referencje. To wszystko.

- A jeżeli spełnię wszystkie żądania...

- List należy do pana, Evedon, może pan z nim zrobić, co pan chce. Ani ja, ani panna Wardale nie piśniemy słówka na ten temat.

- Nie chce pan pieniędzy?

Wolf parsknął śmiechem.

- Lordzie Evedon, ja nie potrzebuję pańskich pieniędzy, bo mam swoich więcej, niż mi potrzeba.

Twarz Evedona pociemniała.

- Kempster miał rację. Pragniesz tej kobiety.

Wolf puścił mimo uszu tę uwagę. Obaj mężczyźni popatrzyli sobie przeciągle w oczy. W ciszy, jaka zapadła, słychać było tylko tykanie zegara na kominku. W końcu Evedon skinął głową.

- Dobrze, panie Wolversley. Zrobię, czego pan sobie życzy. Ma pan na to moje słowo. - Wyciągnął rękę.

Wolf złapał go za tę rękę, przyciągnął do siebie i wyszeptał mu na ucho:

- Jeżeli chociaż jeden warunek nie zostanie spełniony, cała Anglia pozna pańską tajemnicę. - Puścił go i odepchnął gwałtownie.

Evedonowi pot wystąpił na czoło. Twarz miał całą w plamach i ciężko dyszał, ale nic nie powiedział.

Wolf popchnął leżący na stole list w jego stronę. Evedon porwał go. Ręce mu się trzęsły. Dotknął pieczęci, przejrzał jego treść, po czym złożył kartkę i z westchnieniem ulgi schował ją do wewnętrznej kieszeni surduta.

- Dziękuję, panie Wolversley. To wszystko.

- Niezupełnie - powiedział Wolf. - Jest jeszcze coś, co muszę panu powiedzieć, a co dotyczy nas obu.

Evedon zakrztusił się, położył rękę na kieszeni, w której spoczywał list, i ruszył chyłkiem w stronę stolika z dzwonkiem, chcąc wezwać służbę, ale Wolf zagroził mu drogę.

- Byłoby chyba korzystniej dla pana, żeby służba tego nie usłyszała - rzekł z drwiącym uśmiechem. Popchnął Evedona w stronę biurka. - Niech pan lepiej usiądzie, lordzie Evedon.

Rosalind, pozostawiona samej sobie w kremowej sypialni, nie była w stanie odpoczywać. Krążyła nerwowo po pokoju, przesiadała się z krzesła na krzesło i raz po raz wyglądała przez okno, modląc się o bezpieczny powrót Wolfa. Znała Evedona na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że będzie wściekły i że spotkanie z Wolfem nie przebiegnie tak

gładko, jak on to sobie wyobrażał. Sam zwrot listu wszystkiego nie załatwi. Evedon domyśli się, że go czytali, toteż żadne z nich nie będzie bezpieczne.

Odniosła wrażenie, że Wolf nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa, na jakie się narażał. Oczywiście, starał się ją chronić. Obiecał jej przecież, że załatwi wszystko z Evedonem, a kto mógł zrobić to lepiej niż on? Zacięty i groźny, wzbudzał respekt i lęk. Evedon nigdy mu nie dorówna. Jednak nawet wiedząc to i ufając mu, nie potrafiła się odprężyć. Powinna była z nim pójść, nie zwracając uwagi na jego protesty. Nie musiałyby siedzieć tu teraz i się zamartwiać.

- Boże, miej go w swej opiece - zaczęła się modlić, powtarzając te słowa w kółko, jak litanie. Po raz setny podeszła do okna, żeby sprawdzić, czy nie wraca.

Godzinę później usłyszała wreszcie odgłos otwieranych drzwi. Z bijącym sercem wypadła z sypialni i zbiegła na dół.

Wolf, który właśnie zdejmował w holu płaszcz, odwrócił się na dźwięk jej kroków.

Zatrzymała się przed nim, zawstydzona. Zobaczyła wyraz rozbawienia na twarzy Haddowa i oblała się ciemnym rumieńcem.

- Nic ci się nie stało? - Chciała dotknąć Wolfa, lecz w ostatniej chwili się pohamowała i tylko pełnym niepokoju wzrokiem zlustrowała go od stóp do głów.

- Nic, jak widzisz - powiedział z uśmiechem. Wprowadził ją do najbliższego saloniku i tam mówił dalej: - Sprawa załatwiona. Wszystko w porządku, Rosalind.

- Jesteś pewny?

- Absolutnie. Evedon już nigdy więcej nie będzie cię niepokoić.

- Więc rzeczywiście poszło ci tak łatwo?

- Dosyć łatwo.

Odetchnęła z ulgą i uśmiechnęła się.

- Dziękuję.

Gdy dotknęła jego ręki, ujął jej dłoń, popatrzył na ich splecione palce, a potem znów spojrzał jej w oczy. W jego wzroku dostrzegła pożądanie. Nachylił się ku niej, jakby chciał ją pocałować, ale zatrzymał się nagle i płomień zgasł w jego oczach.

Puścił jej rękę, przestał się uśmiechać, zmarszczył brwi i wyraźnie posmutniał. Napięcie między nimi znów zaczęło rosnąć i powróciło uczucie skrepowania.

- Powinienem już iść. Mam tyle spraw do załatwienia.

- Jest już późno, a ty nic nie jadłeś.

- Muszę odnaleźć twoją rodzinę.

Rosalind zachnęła się w duchu. Czyżby chciał się jej tak szybko pozbyć?

- Tak - powiedziała. - Masz rację. - Cofnęła się, powiększając dzielący ich dystans, zdecydowana nie okazywać po sobie, jak ogromną sprawił jej przykrość.

Wolf nadal nie przestawał patrzeć jej w oczy, a ona, choć próbowała, nie była w stanie odwrócić wzroku.

- Rosalind... - odezwał się ochryłym głosem.

Oczy mu nagle pociemniały i z jasnoszarych stały się grafitowe.

Na jego twarzy odmalowała się determinacja.

W pokoju zrobiło się tak duszno, że Rosalind oddychała z wielkim trudem. Gdy oblizła zaschnięte wargi, Wolf jęknął głucho. Nagle znalazła się w jego ramionach i jego gorące usta zaczęły całować zachłannie jej usta. Wczepiła się palcami w jego włosy, jego język oplótł się wokół jej języka. Gdy poczuła, że cała płonie i topnieje w jego objęciach, niespodziewanie się od niej odsunął.

- Wybacz mi - powiedział, patrząc jej w oczy. - Nie powinienem był tego robić. - Po tych słowach odwrócił się wyszedł.

Rozległ się dźwięk zatraskiwanych drzwi, a potem zapadła cisza. Rosalind słyszała tylko łomot własnego serca.

Lokaj wprowadził Wolfa do małego kantorku w okazałej rezydencji Stanegate'ów, położonej przy modnej Bruton Street, po czym go zostawił. Był to pokoik, w którym załatwiano interesy oraz przyjmowano służbę. On przywykł jednak do takiego traktowania. Nie mówił językiem ludzi z wyższych sfer i nie ubierał się jak oni. Prawda wyglądała tak, że nie był dżentelmenem. Pozostawiony sobie, nie usiadł na jednym z prostych drewnianych krzeseł, jakie wskazał mu lokaj, tylko stanął przy wąskim oknie wychodzącym na podwórko i stajnie. Nie musiał długo czekać, bo już po chwili do pokoju wszedł wysoki, ciemnowłosy mężczyzna. Wolf skinął głową.

- Witam, lordzie Stanegate.



- Do pańskich usług, panie Wolversley. W swoim liście napisał pan, że ma pan wiadomości o siostrze mojej żony.

- Istotnie. Przyszedłem dowiedzieć się o miejsce pobytu pani Wardale oraz jej młodszej córki, aby panna Rosalind Wardale mogła do nich dołączyć.

Cień przemknął przez uprzejmie obojętną twarz lorda Stanegate'a.

- Pani Wardale zmarła kilka lat temu, ale lady Stanegate, jej córka, a moja żona, bardzo pragnie dowiedzieć się czegoś o swojej siostrze. Czytaliśmy tę relację w gazecie... - Urwał w pół zdania.

- Cały Londyn to czytał. Nie musi się pan jednak obawiać, milordzie, bo wbrew temu, co pisze prasa, to nie panna Wardale dopuściła się kradzieży tej biżuterii. Sam pan rozumie, ile szkód może wyrządzić złośliwa plotka...

- Tak. Nie rozumiem natomiast, jakie są pańskie powiązania z panną Wardale.

- Jestem jej przyjacielem, sir.

- Przyjacielem? Z tego, co słyszałem, jest pan kimś w rodzaju łowcy złodziei, panie Wolversley. Wynajętym przez lorda Evedona w celu ujęcia panny Wardale.

- Bo tak też jest. - Wolf spojrzął mu przenikliwie w oczy. Oprócz podejrzliwości, z jaką zawsze spoglądali na niego ludzie z wyższych sfer, dostrzegł w nich również szczerą troskę. - Panna Wardale dosyć już wycierpiała, ale jeżeli chce ją pan jeszcze dodatkowo krytykować, proszę, niech pan mówi.

- Chodzi mi tylko o szczęście mojej żony. Z pewnością ucieszy ją wiadomość, że jej siostra jest bezpieczna i ma się dobrze. Oczywiście, dama ta będzie mile widziana w naszym domu.

Wolf kiwnął z aprobatą głową.

- Wobec tego przywiozę ją tutaj.

- Panie Wolversley...

Ale Wolf już szedł do drzwi.

- Niech pan dopilnuje, żeby została dobrze potraktowana, lordzie Stanegate.

Stanegate, jeśli sądzić po jego minie, nie był przyzwyczajony, aby mu wydawano polecenia, a już na pewno nie we własnym domu. Wolf nie przejął się tym jednak ani trochę, skinął głową i wyszedł. Jego misja dobiegła końca. Z wywiadu, jaki

przeprowadził, wiedział już, że Stanegate to przyzwoity człowiek, szczerze oddany swo-  
swojej młodej żonie i dziecku. Był też pewien, że Stanegate przyjmie Rosalind pod swój  
dach i otoczy troskliwą opieką. A zatem Rosalind będzie wreszcie bezpieczna, na swoim  
miejscu, wśród kochających ją ludzi.

Mimo to wracał do domu z ciężkim sercem i uczuciem rozgoryczenia. Kochający  
ją ludzie, pomyślał znowu, ale przecież nikt nie kochał jej bardziej niż on. Najpierw  
jednak będzie musiał przekazać Rosalind wiadomość o śmierci jej matki. Kiedy to sobie  
uświadomił, skręcił do tawerny „Pod Czerwonym Lwem”, aby choć trochę opóźnić to, co  
nieuniknione.

Z wieczoru zrobiła się noc, kiedy wreszcie zapukał do pokoju Rosalind. Była  
dopiero dziesiąta, ale ona leżała już w łóżku, w koszuli nocnej, pod czystą, świeżo wy-  
prasowaną pościelą. Zgasiła światło, choć jeszcze nie spała. Od razu wyczuła  
instynktownie, że to Wolf.

Kiedy otworzyła drzwi, jego twarz tonęła w mroku. Tylko ciemna sylwetka  
rysowała się na tle oświetlonej ściany w korytarzu. Bił od niego zapach świeżego powiet-  
rza oraz słodkawa woń brandy.

Odwrócił się. Światło padło na jego twarz i Rosalind zobaczyła, jak zlustrował jej  
nocny stój.

- Wybacz mi - powiedział. - Nie chciałem cię budzić. Mogę z tym poczekać do  
jutra.

- Nie. - Wyciągnęła rękę, ale szybko ją cofnęła, kiedy poczuła dotyk jego palców. -  
Jeszcze nie spałam. - Umilkła, skonsternowana.

Była przecież noc, a on przyszedł do jej sypialni... Serce jej szybciej zabiło. Jednak  
gdy poszukała wzrokiem jego oczu, nie dostrzegła w nich mgiełki pożądania, lecz tylko  
frustrację i ból. Zadrzała, tknięta złym przecuciem. Strach zimną ręką ścisnął ją za  
gardło.

- Ma pan jakieś wiadomości? - zapytała tonem uprzejmie obojętnym.

Był to głos Rosalind Meadowfield, a nie Rosalind Wardale. Zrozumiała, że znów  
się wycofuje za parawan bezpiecznej mistyfikacji.

- Owszem. - Wolf skinął głową.

Jego posepna mina nie rozproszyła bynajmniej jej obaw.

Jakieś złe wieści? O Evedonie? O tym egzotycznym nieznajomym? O jej rodzinie? Zamarła w oczekiwaniu. Nie wykonała żadnego ruchu, aby go zaprosić do pokoju, tylko nadal trzymała go na korytarzu. To jedno, co jej pozostało, дума, pomyślała. Stała więc z uniesioną wysoko głową, patrząc mu w oczy, i czekała.

- Odnalazłem twoją siostrę. Od półtora roku jest żoną Marcusa Carlowa, wicehrabiego Stanegate'a.

- Nell! - Rosalind w jednej chwili zapomniała o dumie. Myślała już tylko o siostrze. - Czy u niej wszystko w porządku?

Wolf kiwnął głową.

- Gdzie ona teraz jest?

- Mieszkała z mężem w rezydencji teścia na Albemarle Street, ale po urodzeniu dziecka przeprowadzili się do własnego domu na Bruton Street.

- Więc Nell ma dziecko?! - W śmiechu Rosalind radość mieszała się z ulgą. - Przeżyłam chwilę trwogi, bo mi się wydawało, że przynosisz złe wieści. Tak się cieszę, że się omyliłam. Widziałeś ją? Jak teraz wygląda?

Wolf nie uśmiechnął się, twarz wciąż miał surową i smutną, i nagle rozsadzająca ją radość przygasła.

- A co z moją matką?

W odpowiedzi zamknął jej rękę w swoich dłoniach i już wiedziała - słowa przestały być potrzebne.

- Tak mi przykro, Rosalind. Pani Wardale nie żyje już od kilku lat.

Z ust Rosalind wyrwał się cichy jęk.

- To niemożliwe! - wyszeptała.

- Zmarła na gruźlicę.

- Nie wierzę! Mama nie mogła umrzeć! Przecież tak oszczędzałam przez te wszystkie lata... Chciałam do nich wrócić, kiedy uzbieram odpowiednią sumę. Miałam zamiar kupić dla nas mały domek w jakiejś ładnej okolicy. Potem odnalazłabym brata. Nathan mógłby wreszcie do nas dołączyć... - Urwała, bo poraziła ją straszna myśl. - Co z Nathanem?

- Nie mam żadnych wiadomości o twoim bracie, Rosalind - odparł.

Zwiesiła głowę i odwróciła się, jakby chciała wrócić do łóżka. Tego, co usłyszała, nie potrafiła jeszcze pojąć. Nie była w stanie zebrać myśli.

Potrząsnęła głową, jakby to wystarczyło, aby przywrócić do życia jej matkę, po czym oswobodziła dłoń z jego uścisku i podeszła do kominka. Słowa Wolfa wciąż dźwięczały jej uszach, a ona nadal nie mogła w nie uwierzyć.

Złociste płomienie tańczyły na kominku, podświetlając ciemny kształt ciała Rosalind w grubej nocnej koszuli. Nie patrzyła na Wolfa, tylko wbiła wzrok w ogień. Widać było po jej pozie - opuszczonej głowie, przygarbionych plecach i zwieszonych ramionach - że wiadomość o śmierci matki była dla niej ciężkim ciosem. Wolf, który przeżywał jej ból jak swój własny, nie mógł już dłużej patrzeć na jej cierpienie.

- Tak mi przykro - powiedział cicho, żałując, że nie może odwrócić losu i wyczarować dla niej szczęśliwego zakończenia.

Życie jest jednak ciężkie, niesprawiedliwe i ponure. Przypomnił sobie swoje egoistyczne zachcianki, aby jej to wpoić. A teraz, kiedy już o tym wiedziała równie dobrze jak on, nie odczuwał żadnej satysfakcji, lecz tylko ból szarpiący za serce. Gdyby mógł przejąć na siebie jej cierpienie, uczyniłby to bez wahania.

- Rosalind - wyszeptał, ale ona nawet się nie obejrzała. To znaczy, że prawda jeszcze do niej nie dotarła. Ale już wkrótce to nastąpi i jej ból będzie tym dotkliwszy.

Odwrócił ją delikatnie ku sobie i wziął w ramiona.

Mimo że stała tak blisko ognia, ciało jej było zimne, a palce wręcz lodowate.

Gdy podniosła na niego oczy, mignął w nich płomyk nadziei.

- Jesteś pewny, Wolf? Może twoi informatorzy się mylili?

Nie chciał rozwiewać jej złudzeń, ale musiał. Gdyby w imię własnego spokoju postąpił inaczej, byłoby to egoistycznym okrucieństwem.

- Przykro mi, Rosalind - powiedział - ale usłyszałem tę wiadomość z ust samego lorda Stanegate'a.

Kiwnęła głową i zmusiła się do uśmiechu, pokrywając nim rozpacz i niedowierzanie. Wysunęła się z jego objęć i przeszedłszy przez pokój, osunęła się na fotel, blada jak kreda.

- Dziękuję panu - powiedziała zimnymi, zdrętwiałymi wargami. - Rano pojedę do siostry. Spełnił pan z nawiązką swoje obietnice, więc raz jeszcze bardzo panu dziękuję - dorzuciła, jakby odprawiała służącego. Odwróciła głowę, czekając, by wyszedł, ale on zamknął drzwi na klucz, po czym usiadł w najbliższym fotelu.

Siedzieli tak w milczeniu obok siebie i tylko ogień trzaskał w palenisku, a zegar tykał głośno na kominku.

Rosalind nie była w stanie się ruszyć, nie mogła ani mówić, ani myśleć. Wiedziała, że powinna powiedzieć Wolfowi, aby sobie poszedł, zanim ona wróci do tego wielkiego białego łoża, ale nie potrafiła się do tego zmusić. Jej mama umarła, a wraz z nią nadzieja na połączenie rodziny, podtrzymująca ją na duchu przez te wszystkie lata wymuszonej rozłąki. Jak to możliwe, że nic o tym nie wiedziała, chociaż tak bardzo ją kochała? Powinna była mieć jakieś przeczucia, bodaj mgliste, czy choćby jakiś sen. Tymczasem nic takiego się nie wydarzyło. Myśli jej biegły teraz wartkim strumieniem. Co się stało z Nell po śmierci ich mamy? Czy jej mała siostrzyczka poślubiła swojego wicehrabiego jeszcze za jej życia?

Tyle pytań, a potem już tylko pustka, która zdawała się ją paraliżować. Nie potrafiła powiedzieć, jak długo tak siedziała, zapatrzona w ogień. Kiedy płomienie przygasły, Wolf wstał i dorzucił do kominka.

Pomyślała, że powinna jak najszybciej odwiedzić Nell i sprawdzić, czy jej siostra jest szczęśliwa. Wypytać o szczegóły z jej życia i dowiedzieć się wszystkiego o matce. Powinna także odszukać Nathana. Jest tyle rzeczy do zrobienia, a ona nie miała siły ruszyć się z miejsca. Siedziała taka samotna, z pustką w sercu. A jednak nie była sama, bo Wolf siedział przy niej, podtrzymując ją na duchu swoją milczącą obecnością. Z jego oczu wyzierało szczere współczucie, zdolne uleczyć jej zranione serce. Jedyne mały stolik rozdzielał ich fotele. Położyła rękę na blacie i zaczęła ją powolutku przesuwać w stronę Wolfa.

Wolf nakrył dłonią jej dłoń i trwał tak przez minutę czy dwie. Rękę miał na tyle gorącą, by przegonić z jej serca dotkliwy chłód. Odwróciła dłoń pod jego dłoń, a wtedy splótł z nią palce. Nagle przestało mieć znaczenie to, że cofnął swoją propozycję matrymonialną, i czy ją kochał, czy nie. W tej chwili liczyło się tylko to, że był przy niej.

Było jej tak zimno, i tak bardzo chciała się ogrzać. A Wolf był ciepły i mógł wypełnić tę ziejącą w niej pustkę. Sama nie wiedziała, kiedy wstała i podeszła do łóżka. Słyszała za sobą jego kroki. Wślizgnęła się pod kołdry, a on zrzucił surdut i buty i wyciągnął się obok niej. Trzymał ją potem w objęciach przez wiele godzin, aż wreszcie powiedziała:

- Kochaj się ze mną, Wolf. Ten jeden, ostatni raz.

Potrząsnął głową.

- Nie mogę, moja słodka, dla dobra nas obojga.

Przytknęła usta do jego ust i złożyła na nich delikatny pocałunek. Gdy wstanie dzień, przeniesie się na Bruton Street, gdzie wprawdzie będzie Nell, ale zabraknie Wolfa. Zaczęła go całować coraz namiętniej, wkładając w te pocałunki całą swoją bolesną tęsknotę.

- Kochaj się ze mną... proszę - wyszeptała i widząc, że zdejmuje koszulę, zrozumiała, że spełni jej prośbę.

Całował ją potem i pieścił tak długo, aż zaczęły nią wstrząsać dreszcze.

- Wolf - wyszeptała w uniesieniu.

Wtedy wszedł w nią i zaczęli się poruszać w zgodnym, pradawnym rytmie. Rosalind wychodziła naprzeciw każdemu jego pchnięciu, szczęśliwa, a zarazem świadoma, że to jeszcze nie wszystko, że musi być coś więcej. Czekwała na to i dążyła do tego, a mężczyzna, którego pokochała, wielbił ją każdą cząstką swojego jestestwa, każdym tchnieniem.

Usłyszała jego głuchy pomruk, poczuła, jak wstrząsnął nim spazm, i nagle trysnęły w niej migoczące fajerwerki rozkoszy. Jej serce łomotało przy jego sercu i była już tylko wszechogarniająca miłość.

Wolf opadł na nią wyczerpany i mokry od potu.

- Rosalind, pozostaniesz na zawsze moją miłością. - Zaczął ją głaskać, całować i tulić, jakby jej nigdy nie chciał puścić.

Następnego dnia Wolf zawiózł ją do domu wicehrabiego Stanegate'a. Podczas krótkiej jazdy wcale ze sobą nie rozmawiali i znów dało się wyczuć między nimi skrepo-

wanie. Rosalind była spięta i blada, a on robił sobie wyrzuty, że kochał się z nią tej nocy. Dżentelmen tak by się nie zachował, ale on nie był przecież dżentelmenem i nigdy nim nie będzie, choćby się bardzo starał. Miniona noc jeszcze raz dowiodła, że nie jest dla Rosalind odpowiednią partią i że odwożąc ją na łono rodziny, postępuje słusznie. Kocha ją i właśnie dlatego zrobi to, co dla niej najlepsze, nawet gdyby miało mu to złamać serce.

Po tym dniu pewnie już nigdy jej nie zobaczy. Nie uszedł przecież jego uwagi podejrzliwy wzrok, jakim przyglądał mu się lord Stanegate. Szczerze mówiąc, nie miał nawet o to do niego pretensji. Gdyby to on był na miejscu Stanegate'a, też by się pewnie zdziwił, gdyby taki podejrzany typ stanął nagle na progu jego domu z wiadomością, że przyprowdzi mu zaginioną szwagierkę.

Chciał jak najlepiej dla Rosalind, ale teraz musiał jeszcze wziąć pod uwagę komplikacje, jakie mogły wyniknąć z ich ostatniej nocy. Dlatego nie mógł się z nią rozstać, nie poruszywszy tego tematu. Jeżeli owocem ich miłosnej nocy miałyby być dziecko, zniweczyłoby to zarówno jego najlepsze intencje, jak i szanse Rosalind na lepsze życie.

- Rosalind... - zaczął.

- Wszystko zostało między nami powiedziane, Wolf - przerwała mu, zapatrzona w okno.

- Niezupełnie.

Wtedy odwróciła się i spojrzała na niego.

- Nasze zachowanie minionej nocy... jeżeli będzie dziecko... - Wykazał się karygodną lekkomyślnością, ale miłość zawładnęła nim do tego stopnia, że nie był w stanie się kontrolować. A teraz od rana wyrzucał sobie, że mógł popsuć Rosalind widoki na lepszą przyszłość. Bo czymże innym byłoby dla niej wymuszone małżeństwo z nim, jeśli nie mezaliansem?

- Jeżeli będzie dziecko, to je będę kochała i będę się o nie troszczyć - oświadczyła, nie dając mu dokończyć.

- Nie masz pojęcia, jak potraktowałyby cię socjeta, gdybyś urodziła nieślubne dziecko.

- Jestem to sobie w stanie wyobrazić - powiedziała. - Już i tak mam zrujnowaną reputację.

- Los bękarta nie jest godzien pozazdroszczenia, Rosalind. Dlatego dasz mi znać, gdyby...

- Po co? - Znow mu przerwała i oczy zapłonęły jej gniewem. - Żeby mógł się pan ze mną ożenić? - Policzki jej pałały. - Przecież ja pana nie chcę, panie Wolversley!

Ubodły go jej słowa, ale czuł, że sobie na nie zasłużył. Widząc jej przygnębienie, postanowił nie wracać na razie do tego tematu. Gdyby się okazało, że Rosalind jest przy nadziei, to i tak się o tym dowie. Nie należy załatwiać zbyt wielu rzeczy naraz. Zajmie się tą sprawą, jeśli zajdzie potrzeba.

Gdy dotarli na Bruton Street, Rosalind była zła i przygnębiona. Nie miało dla niej znaczenia, że tego ranka, po raz pierwszy odkąd się poznali, Wolf wyjątkowo starannie zadbał o swoją powierzchowność. Znikło gdzieś przyniszczone robocze ubranie, a jego miejsce zajął strój godny zamożnego dżentelmena. Jego czarny płaszcz o doskonałym kroju został uszyty u najlepszego londyńskiego krawca, podobnie jak kamizelka, przy której połyskiwał zegarek ze złotą dewizką. Jasnopopielaty fular, w odcieniu jego oczu, był skromny, lecz elegancki i sprawiał wrażenie, jakby zawiązała go mistrzowska ręka najwprawniejszego lokaja.

Obcisłe beżowe bryczesy podkreślały długość i muskulaturę jego nóg, zaś czarne buty do konnej jazdy były tak wypucowane, że można się było w nich przejrzeć. Włosy miał schludnie uczesane, a jego starannie ogolone policzki aż się prosiły, żeby je pocałować. Wolf nigdy jeszcze nie wydawał się Rosalind tak przystojny i imponujący. Człowiek wynajmowany do łapania złodziei stał się teraz w każdym calu dżentelmenem.

Ta zaskakująca przemiana czyniła jego decyzję o zerwaniu tym trudniejszą do przyjęcia, a zarazem tym łatwiejszą do zrozumienia. Wolf pragnął zostać uznany za dżentelmena, a małżeństwo z córką mordercy zniweczyłoby jego szanse. Wyglądało na to, że wbrew wszelkim zapewnieniom dbał jednak o swoją reputację.

Rosalind pozwoliła mu, aby jej towarzyszył do holu, starała się jednak go nie dotknąć. Gdy zostali później poproszeni do salonu, Wolf stanął przy oknie i z posępną miną wpatrywał się w pustą ulicę, a ona usiadła na sofie, spięta, i splotła nerwowo palce.



Szkoda, że to się musi tak skończyć, pomyślała. Tak nie powinno być po tym wszystkim, przez co przeszli, i po tym, jak go pokochała.

Drzwi otworzyły się nagle i do salonu wkroczył wysoki, dobrze ubrany mężczyzna. Już sama jego postawa kazała jej domyślić się w nim pana tego domu. Wicehrabia Stanegate miał ciemne włosy i konwencjonalną urodę a jego poważna i raczej surowa twarz nasuwała podejrzenie, że uśmiech gości na niej niezbyt często. Gdy spojrzała na Wolfa, marszcząc lekko brwi, wydał się jeszcze mniej sympatyczny. Rosalind zaczęła się nawet obawiać o szczęście swojej siostry u jego boku.

Poczuła, że ogarnia ją panika. Dopiero teraz dotarło do niej w pełni, że przyjechała, aby zdać się na łaskę tego człowieka. A przecież to jego dom i jego życie. Czy miała prawo mu się narzucać? Może Nell nie chce jej wcale widzieć, bo obecność siostry otoczonej aurą skandalu przysporzy jej tylko wstydu? Może Nell nie powiedziała mężowi o ich ojcu i teraz tajemnica się wyda?

Wstała, gotowa przeprosić i zniknąć, lecz w tym momencie drzwi otworzyły się ponownie - i w progu ukazała się Nell.

Nell, z tą swoją śliczną buzią, złotobrazowymi włosami i lśniącymi z podniecenia oczami, pełnymi nieskończonej dobroci i miłości - dokładnie taka, jaką ją Rosalind zapamiętała sprzed lat.

Nell podbiegła do niej i zarzuciła jej ręce na szyję.

- Rosalind! Rosalind, to naprawdę ty!

Rosalind w jednej chwili zapomniała o rozterkach. Myślała już tylko o jednym - że to jej ukochana mała siostrzyczka. Czas jakby się cofnął i te dwie dorosłe kobiety ujrzały teraz w sobie tamte dziewczynki, jakimi były, zanim się rozstały.

- Tak się cieszę, że cię widzę, tak bardzo się cieszę!

Śmiejąc się i płacząc na przemian, zaczęły się całować i ścisnąć. Wolf, widząc ich szczęście, utwierdził się w przekonaniu, że choć raz w życiu postąpił słusznie. Ból, jaki sprawiło mu jego poświęcenie, był niczym wobec radości Rosalind z powodu odnalezienia siostry. To tutaj było jej miejsce, w tym eleganckim domu, wśród tych eleganckich ludzi.

Siostry miały takie same orzechowe oczy i były do siebie podobne, chociaż jego Rosalind nie była tak wysoka jak lady Stanegate i miała ciemniejsze włosy. Jego Rosalind? Już nie, bo już do niego nie należała. Zaczął się zastanawiać, czy mógł ją kiedykolwiek nazwać swoją.

Pożegnał się ze Stanegate'em i chciał się niepostrzeżenie wymknąć. Był już przy drzwiach, kiedy Rosalind go zobaczyła.

- Wolf!

Zatrzymał się, ale się nie obejrzał, nie chcąc utrudniać sobie pożegnania. Nie miał jednak wyjścia, więc się w końcu odwrócił.

- Panno Wardale? - powiedział ostrożnie.

- Już pan wychodzi? - Kolory, jakie zabarwiły jej policzki na widok siostry, nagle jakby przybladły.

- Wychodzę. - Moja misja jest skończona. Wróciła pani do swojej siostry - zdrowa i cała.

Zagryzła wargi, jakby chciała powstrzymać słowa cisnące jej się na usta. Na jej twarzy odmalowały się ból, rozpacz i samotność - ale tylko na ułamek sekundy, bo potem wszystko wróciło do normy. Wolf dostrzegł jednak jej cierpienie i myśl, że to on był jego przyczyną, legła mu kamieniem na sercu.

Rosalind opanowała się w mgnieniu oka i wygładziła nieistniejące zmarszczki na spódnicy.

- Dziękuję panu za pomoc i opiekę.

Jedno krótkie skinienie głowy. Wiedział, że musi odejść, ale ona wciąż nie przestawała na niego patrzeć, taka cicha i blada, a jednak pełna zawziętej dumy. Pomyślał, że obraz ten zachowa na zawsze w pamięci.

- Do widzenia, panno Wardale - wykrztusił.

- Do widzenia, panie Wolversley.

Serce ścisnęło mu się z bólu. Odwrócił się szybko, póki jeszcze starczyło mu na to sił, i wyszedł, zostawiając Rosalind na Bruton Street - u siostry, gdzie będzie mogła wieść takie życie, do jakiego się urodziła. Ale już bez niego.

## Rozdział siedemnasty

Była szczęśliwa, że odnalazły się z siostrą, a jednak tęskniła za Wolfem, nawet jeśli nie chciała się do tego przyznać. Siedziały teraz obie w zalanym słońcem saloniku. Nell odpoczywała na sofie, a Rosalind trzymała na kolanach jej synka. William, liczący sobie dziewięć miesięcy, był krzepkim dzieckiem o buzi cherubinka. Miał puciołowate policzki, różowe usteczka i szare oczy swojego ojca. Kiedy zaczął się nadmiernie wiercić, Rosalind pocałowała go w czubek głowy, całej w złotych loczkach, i posadziła na dywanie, aby mógł się bawić u jej stóp szmacianą lalką.

- Możesz być pewna, że dołożymy wszelkich starań, abyś zrobiła dobrą partię, Rosalind. Marcus ma rozliczne kontakty - mówiła Nell z ożywieniem.

- Ale ja nie chcę zrobić dobrej partii. Do szczęścia wystarczy mi, jeśli będę mogła zostać z wami i pomagać wam przy Williamie i... - zerknęła na brzuch Nell - i przy następnym maleństwie, które pojawi się pod koniec roku. - Nagle stropiła się. - Chyba że wam to nie odpowiada?

- Ależ zostań z nami, najdroższa siostrzo, bardzo cię proszę - powiedziała Nell z przekonaniem. - Mamy jeszcze tyle do nadrobienia. Ale musimy także wziąć pod uwagę twoją przyszłość i zastanowić się, co będzie dla ciebie najlepsze. Marcus jest absolutnie przekonany, że potrafi znaleźć ci mężczyznę, z którym będziesz naprawdę szczęśliwa.

- Tak jak ty z Marcusem? - zapytała Rosalind, która zauważyła rozpromienioną twarz siostry i jej ciepły głos, ilekroć mówiła o mężu.

- O, tak - westchnęła Nell. - Nie masz pojęcia, jaka jestem szczęśliwa i ile radości można odnaleźć w małżeństwie. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić życia bez Marcusa. On mnie uratował.

- Przed czym? - zapytała Rosalind. - Nie powiesz mi, co się z tobą działo, kiedy zostałaś sama po śmierci mamy?

Nell jednak potrząsnęła tylko głową, jak zawsze, ilekroć Rosalind próbowała się czegoś dowiedzieć.

- Rosalind Wardale, nie próbuj zmieniać tematu - powiedziała tonem żartobliwej nagany. - Dobrze wiem, o co ci chodzi. I zamierzam znaleźć ci męża tak wspaniałego jak Marcus.

- Nell, naprawdę nie ma potrzeby. Jestem za stara na takie głupstwa i jako kobieta niezamężna czuję się całkiem szczęśliwa. - Zaczęła się zastanawiać, czy jeszcze kiedykolwiek zazna szczęścia. - Zostanę starą panną i będę wam pomagała przy dzieciach. - Powiedziała to wprawdzie ze śmiechem, ale było jej ciężko na sercu.

- Też coś! - przerwała jej surowo Nell. - Masz dopiero dwadzieścia pięć lat i jeszcze mnóstwo czasu, żeby wyjść za mąż. Moglibyśmy wyprawić wesele latem w Stanegate Court. To wiejska rezydencja Marcusa, przepięknie położona wśród wzgórz Chiltern, z widokiem na dolinę Aylesbury. Nie uważasz, że to cudowny pomysł?

Rosalind bynajmniej nie uważała, że to cudowny pomysł, ale oczy Nell błyszczały z podniecenia. Mówiła i mówiła, coraz bardziej podekscytowana, i nagle stuknęła się w czoło.

- Och, czemu wcześniej na to nie wpadłam? Jest przecież Hal, młodszy brat Marcusa. Jest majorem dragonów i jest prawie tak przystojny jak Marcus. Prawie... Obecnie stacjonuje ze swoim regimentem w Brukseli, ale z tego co wiem, ma już wkrótce przyjechać do domu na urlop.

- Nell... - Rosalind spróbowała jej przerwać.

- Jest po prostu jak stworzony dla ciebie i na pewno nie będzie miał nic przeciwko naszej przyjaźni. - Nell zmarszczyła brwi. - Ale jest też trochę rozpuszczony i lekkomyślny. Przez te jego wyskoki Marcus gotów zamartwić się na śmierć. Z jego ostatniego listu do Marcusa wywnioskowałam, że... - Urwała i oblała się rumieńcem. - Ale... - zawahała się - och, mniejsza o to.

- Nell...

- Przecież każdy lekkoduch może się ustatkować, poza tym jego reputacja jest z pewnością przesadzona. Porozmawiam z Marcusem.

Rosalind nie mogła już tego słuchać.

- Proszę cię, nie rób tego. Nie mogę wyjść za Hala. Ani za żadnego innego mężczyznę.

Nell urwała i spojrzała na siostrę.

- Wybacz mi, nie chciałam cię zdenerwować.

Rosalind potrząsnęła głową.

- To ja powinnam cię przeprosić. Ty mi tylko próbujesz pomóc.

Nell spojrzała na nią oczyma, które zdawały się dostrzegać zbyt wiele. Po dłuższym milczeniu zapytała:

- Kto to jest, Rosalind? Ten mężczyzna, któremu już oddałaś swoje serce?

- Jesteś w błędzie, siostro. Nie ma nikogo takiego - zachnęła się Rosalind, ale zdradził ją ciemny rumieniec.

Nell usiadła prosto i znów się zamyśliła, a potem nagle powiedziała:

- To pan Wolversley, prawda?

- Nie! - Rosalind serce zabiło szybciej. - Oczywiście, że nie. Pan Wolversley to... pan Wolversley - zająknęła się, bo zabrakło jej słów.

- Tego dnia, kiedy cię tu przywiózł, widziałam, jak na ciebie patrzył... Jak oboje patrzyliście na siebie... Zupełnie jak para kochanków. - Nell roześmiała się, kręcąc głową. - Jak to możliwe, że od razu na to nie wpadłam?

Rosalind czuła, że powinna zaprzeczyć, powiedzieć, że Wolf jest dla niej nikim, ale kłamstwo nie chciało jej przejść przez usta. Mijały sekundy, aż wreszcie powiedziała cicho:

- Masz rację... jak para kochanków.

- Więc mu się oddałaś? - zapytała Nell.

Rosalind kiwnęła głową. Wspomnienie ich miłości było wciąż żywe.

- Wobec tego może być dziecko...

- Nawet jeżeli tak, będę je kochać i dbać o nie jak najlepiej.

- Och, Rosalind... - powiedziała z westchnieniem Nell.

- Nie oburza cię to, że twoja siostra jest kobietą upadłą? Jeżeli uznasz, że powinnam opuścić twój dom, zrozumieć i nie będę miała żalu.

Nell potrząsnęła energicznie głową.

- Nigdzie nie pójdziesz, ty głuptasie. Już raz cię straciłam i nigdy więcej się na to nie zgodzę.

Serce Rosalind wezbrało miłością i wdzięcznością. Ze wzruszenia nie była w stanie wykrztusić słowa.

- Moglibyśmy zaaranżować małżeństwo pomiędzy tobą i panem Wolversleyem. - Nell znów się ożywiła. - Rzecz jasna, w tych okolicznościach...

- Nie! - oświadczyła Rosalind kategorycznym tonem.

- A jeśli będzie...

- Pan Wolversley dał mi jasno do zrozumienia, że ślub ze mną jest mu nie w smak, a ja nigdy nie posłużyłabym się dzieckiem, aby go zmusić do małżeństwa, na które nie ma ochoty.

- Patrząc na niego, odniosłam całkiem inne wrażenie, Rosalind - stwierdziła Nell, kręcąc głową.

- Zapewniam cię, że to prawda. - Rosalind była już lekko zirytowana.

Nell nic na to nie odpowiedziała. Ta uparta, rozgniewana Rosalind w niczym nie przypominała zgodnej, potulnej siostry, jaką знаła do tej pory.

- Przepraszam, Nell, nie chciałam sprawić ci przykrości. - Rosalind dotknęła jej ręki. - Nie powinnam była w ogóle mówić o panu Wolversleyu. Nie rozmawiajmy już o nim nigdy więcej.

Nell pokiwała głową, lecz na jej twarzy pojawił się wyraz głębokiej zadumy.

W mrocznym wnętrzu tawerny „Pod Czerwonym Lwem” samotnie, przy stoliku w rogu, siedział Wolf. Ta obskurna knajpa stanowiła ulubione miejsce spotkań weteranów, a jej wątpliwa reputacja gwarantowała wieczór wolny od towarzystwa dżentelmenów. Tego wieczoru panował w niej zwykły tłok. Wolf trzymał się jednak na uboczu, już samą swoją miną odstręczając każdego, kto chciałby mu dotrzymać kompanii. Sączył powoli piwo, pamiętając o tym, że musi zachować trzeźwą głowę.

Płonące polana trzaskały na kominku, a wokół słychać było przyciszony gwar.

Wolf był przez ostatnie dni niebywale zajęty. Wszystko po to, aby nie myśleć o Rosalind. Mimo to miał ją nieustannie przed oczyma. Na drugim końcu sali w drzwiach, zobaczył zwalistą sylwetkę Campbella, który musiał się pochylić, aby wejść do środka. Szkot odczekał chwilę, aż oczy mu się przyzwyczają do panującego wewnątrz półmroku,

po czym ruszył w jego stronę. Dosiadł się do jego stolika, zsunął kapelusz na tył głowy i uśmiechnął się od ucha do ucha, gdy obsługująca dziewczyna przyniosła mu pełny kufel. Pociągnął spory łyk i westchnął błogo, jakby zamiast cienkiego, taniego piwa podano mu brandy najlepszego gatunku.

- Och, jak to piwo dobrze smakuje.

Wolf uśmiechnął się.

- Tylko jeżeli się go nie piło przez dłuższy czas.

Campbell roześmiał się i znów upił łyk. Wolf o nic go nie pytał, bo wiedział, że i tak za chwilę się dowie. W końcu Campbell odstawił kufel i spojrzał na przyjaciela.

- Johnny wrócił z informacją, o którą ci chodziło... - przerwał, a gdy Wolf tylko się uśmiechnął, ciągnął dalej: - Miałeś rację, Stephano Beshaley i Stephen Hebden to ta sama osoba. Ale to jeszcze nie wszystko. Z tym Hebdenem wiąże się pewna ciekawa historia. Jego ojcem był Christopher Hebden... - Campbell zawiesił głos dla większego efektu.

- Mów dalej.

- Lord Framlingham! - Campbell uśmiechnął się z satysfakcją.

- I co? - Framlingham... Wolfowi coś zaświtało w głowie. - Framlingham - powtórzył głośno i już wiedział, gdzie słyszał to nazwisko. A raczej przeczytał, mówiąc dokładniej, w tej gazecie dostarczonej Rosalind. Człowiek, którego zamordował jej ojciec, nazywał się Framlingham. - Niech to diabli! - zaklął.

- No właśnie - przytaknął Campbell. - Wygląda na to, że ten twój Beshaley chce wyrównać rachunki.

Wolf zasepił się.

- Rzeczywiście! Zrujnowana reputacja Rosalind może mu wobec tego nie wystarczyć. Jeżeli ją śledzi, będzie wiedział, że nie odwieźliśmy jej do Evedona.

- U Stanegate'a powinna być bezpieczna.

- Powinna, ale lepiej nie ryzykować. Trzeba ostrzec Stanegate'a przed Beshaleyem. Poza tym, jeżeli Beshaley wytropił Rosalind, jest wysoce prawdopodobne, że będzie chciał odnaleźć również jej rodzeństwo. O ile już tego nie zrobił.

- Czyli już jutro, z samego rana, będziesz musiał złożyć Stanegate'owi wizytę...

- Mhmm.

- A co z panną Wardale? Zobaczysz się z nią, jak będziesz na Bruton Street?

Bóg jeden wie, jak bardzo Wolf pragnął zobaczyć się z Rosalind. Tęsknota za nią sprawiała mu dotkliwy, fizyczny ból. Niestety, Rosalind była już dla niego niedostępna.

- Nie, porozmawiam tylko ze Stanegate'em. Już on zadba o jej bezpieczeństwo. Tak będzie lepiej - dodał, widząc minę Campbella.

- Skoro tak uważasz, Wolf. - Campbell spojrział na niego z powątpiewaniem.

A potem wychylił kufel do dna i skinął na dziewczynę, aby im znów nappełniła szklanice.

Pora była jeszcze zbyt wczesna, aby Nell już mogła wstać. Rosalind weszła do gabinetu szwagra. Stanegate siedział przy biurku, przeglądając papiery.

Rosalind źle sypiała, odkąd zamieszkała na Bruton Street. Codziennie budziła się przed świtem. Tego dnia, korzystając z wczesnej pobudki, postanowiła porozmawiać z Marcusem w cztery oczy, bez siostry. Było tyle pytań, które pragnęła mu zadać, zbyt przygnębiających dla Nell.

Na jej widok Marcus uniósł z dezaprobatą brew, ale nie przerwał lektury.

- Nell jest jeszcze w łóżku. Proponuję, żebyś przyszła później.

- Ale ja chciałam porozmawiać z panem.

Brew powędrowała jeszcze wyżej, lecz pisząca coś na papierze ręka zamarła. Marcus odłożył pióro i zmierzył ją wzrokiem, który trudno było uznać za zachęcający. Jeszcze niedawno taka reakcja podziałałaby na Rosalind onieśmielająco, jednak ostatnie tygodnie zmieniły ją, bardziej nawet, niż chciałyby się przyznać.

- Przyszłam zapytać, czy zna pan miejsce pochówku naszej matki, bo chciałabym odwiedzić jej grób. Próbowalam dowiedzieć się tego od Nell, ale temat choroby naszej mamy i jej śmierci tak bardzo ją przygnębia, że nie chcę jej przysparzać dodatkowych cierpień.

- Przyznam, że mi ulżyło, kiedy to usłyszałem - powiedział Marcus, udowadniając po raz kolejny, jak bardzo troszczy się o żonę. - Nell kazała pochować panią Wardale na cmentarzu Christ Church w Spitalfields.



- Czy grób jest w jakiś sposób oznaczony?

- Teraz tak, ale kiedy wasza matka umarła, Nell była bez grosza i stać ją było jedynie na najuboższą mogiłę. Po naszym ślubie postawiliśmy kamienny nagrobek.

- Dziękuję - powiedziała Rosalind. - Zatem poznaliście się z Nell i wzięliście ślub już po śmierci mamy?

- Tak.

Rosalind zaczerpnęła tchu.

- Ten okres, kiedy Nell została sama... Ona nie chce o tym rozmawiać.

- To jej decyzja. Powie ci, kiedy do tego dojrzeje.

- Martwię się, że musiała wiele przecierpieć.

- Nell jest teraz bezpieczna, a ja zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby była szczęśliwa.

Znowu to słowo „bezpieczna”, które powodowało, że Rosalind zaczynała się jeszcze bardziej martwić o siostrę. Dręczyło ją niejasne przeczucie, że coś zagraża bezpieczeństwu Nell, coś, czego źródeł należałoby doszukiwać się w odległej przeszłości. Jednak ani Nell, ani Marcus nie chcieli jej powiedzieć, o co chodzi.

- W życiu nie widziałam jej równie szczęśliwej jak teraz.

Marcus nie odpowiedział, ale na wzmiankę o Nell rysy mu złagodniały i uśmiech przemknął przez twarz. A potem nagle przestał się uśmiechać i spojrzał na Rosalind.

- Jeżeli to już wszystko, panno Wardale... Rosalind, wybacz, ale jestem bardzo zajęty.

Odprawa była tak obcesowa, że zakłopotana Rosalind poczerwieniała.

- Oczywiście, dziękuję... - Wyszła pospiesznie z gabinetu i omal się nie zderzyła w holu z rozespaną Nell.

- Rosalind, jadłaś śniadanie z Marcusem? - Nell była blada, ale uśmiechnięta. - Ja nie mogę nawet patrzeć na jedzenie tego ranka.

- Powinnaś wrócić do łóżka i odpoczywać.

Nell zaśmiała się cicho.

- Zaczynasz mówić zupełnie jak Marcus. Przyszłam sprawdzić, czy mój ukochany mąż się przypadkiem nie przepracowuje. Gdyby nie ja, codziennie wstawałby o bladym świcie.

Z jej słów Rosalind wywnioskowała, że Marcus co noc dzieli z nią łóżko. Drzwi gabinetu otworzyły się i Marcus wytknął głowę. Na widok żony twarz mu się rozpromieniła.

- Nell, kochanie, co ty tu robisz? Wracaj natychmiast do łóżka!

Nell rzuciła siostrze wymowne spojrzenie z rodzaju „a nie mówiłam” i lekceważąc polecenie męża, podeszła do niego z rozanielonym uśmiechem.

Rosalind pomknęła szybko na górę, a kiedy się obejrzała, zobaczyła Marcusa i Nell całujących się namiętnie na progu gabinetu.

Po powrocie do swojego pokoju Rosalind zamknęła drzwi na klucz i podeszła do okna. Zapowiadał się pogodny dzień. Na błękitnym niebie bez jednej chmurki świeciło słońce, zalewając pokój jasnym, ciepłym światłem. Jego promienie odbijały się od kryształowych kandelabrow i rzucały tęcze refleksy na białą puchową pościel. Taki piękny dzień, w tak luksusowym otoczeniu... Rosalind pomyślała, że powinna być szczęśliwa. Evedon już jej nie groził i połączyła się z siostrą, a mimo to nigdy nie czuła się bardziej przygnębiona.

Kochała Nell i cieszyła się jej szczęściem, ale udane małżeństwo Marcusa i Nell, a także ich miłość zbyt boleśnie przypominały jej to, co sama utraciła i czego nigdy nie odzyska. Wolf odszedł i już do niej nie wróci. A jeśli wierzyć słowom Nell, nawet Nathan znalazł miłość i był szczęśliwie żonaty. Nie powinna zazdrościć rodzeństwu ich szczęścia, ale jej serce wciąż krwawiło od świeżych ran. Usłyszała ciężkie kroki za drzwiami, stłumiony chichot, a po nim szept Nell, która bała się, że Marcus gotów ją upuścić, a Rosalind może ich usłyszeć.

- Cały świat może nas usłyszeć. Nie dbam o to - dobiegła odpowiedź Marcusa, a potem drzwi do ich sypialni zatrzasnęły się i zapadła cisza.

Przypomniała sobie Wolfa i ich upojną miłosną noc, ale szybko odepchnęła od siebie tę myśl. Przecież to już nic nie da.

Narzuciła na siebie ciemnozieloną pelisę, założyła brązowy czepek i niebieskie rękawiczki z kozłej skóry, dosyć już zniszczone po długiej podróży, po czym wymknęła się z pokoju. Zeszła na palcach do holu i zapytała pokojówkę, gdzie może złapać dorożkę do Spitalfields, a potem wyszła. Drzwi frontowe zamknęły się za nią bezgłośnie. Chciała pogrzebać duchy przeszłości i oczyścić umysł, ale nie dało się tego zrobić w tym domu.

Zegar w holu wybił godzinę dziesiątą.

Wolf otworzył drzwi powozu i spojrzął na zegarek. Była jedenasta. Znów zaczął się zastanawiać, czy nie jest jeszcze za wcześnie na wizytę u lorda Stanegate'a, zdecydował się jednak, bo już od siódmej rano czekał w napięciu na to spotkanie. Musiał ostrzec Stanegate'a, dla dobra Rosalind, poza tym miał nadzieję, że uda mu się ją zobaczyć, bodaj przelotnie. Na myśl o Rosalind poczuł lekki dreszczyk podniecenia. Nie było chwili, żeby o niej nie myślał, bez względu na to, jak usilnie starał się o niej zapomnieć.

Wchodząc do kantorku, w którym czekał Wolf, Stanegate wciąż poprawiał sobie fular.

- Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś pana zobaczę, panie Wolversley - powiedział, przyglądając potargane włosy.

Wyglądał jak mężczyzna, który właśnie wstał z łóżka. Wolf skonstatował to z kwaśną miną.

- Przybyłem tu w ważnej sprawie. Chciałbym pana ostrzec przed pewnym człowiekiem. Niektórzy znają go jako Cygana, Stephano Beshaleya, inni jako dżentelmena, Stephena Hebdena.

- Beshaley! - Stanegate zamarł na ułamek sekundy.

- Zna go pan?

- O, tak. Miałem z nim do czynienia w przeszłości.

- To znaczy, że nachodził już pańską żonę?

- Jego vendetta obejmowała więcej osób, nie tylko lady Stanegate.

Wolf poczuł, że wzbiera w nim gniew.

- To miło z pańskiej strony, że ostrzegł pan Rosalind.

- Nie wiedzieliśmy nic o losie panny Rosalind Wardale. Moja żona straciła z nią kontakt wiele lat temu.

- A po opublikowaniu tego artykułu o niej?

- Przeprowadziłem własne dyskretne śledztwo - powiedział Stanegate. - Dopóki się nie znalazła, nie można było nic zrobić.

- Trzeba było ją ostrzec przed Beshaleyem. I mnie też.

- Niech mi pan powie, czemu, na Boga, miałbym pana. wciągać w sprawy rodzinne? Przecież to nie pański interes. Wiem przecież, kim pan jest, panie Wolversley. Dlatego razi mnie pański przesadnie familiarny ton, jakim pan mówi o siostrze mojej żony.

- Doprawdy? - Oczy Wolfa były jak dwa srebrne sztylety. - Może wobec tego powinienem panu powiedzieć, że to Beshaley stoi za tą kradzieżą, o którą oskarżono Rosalind.

Słyszając to, Stanegate uniósł brwi, ale Wolf udał, że tego nie widzi, i ciągnął dalej:

- A ten skandaliczny artykuł w gazecie to także jego sprawka. Chciał zniszczyć Rosalind. Raz na zawsze. Dlatego myślę, że nie będzie zadowolony z obrotu spraw.

- Beshaley to rzeczywiście człowiek bardzo groźny, panie Wolversley, ale panna Wardale jest u nas bezpieczna. Beshaley nie ośmielił się tu pokazać.

- Wobec tego będzie pan przede mną odpowiadał za bezpieczeństwo panny Wardale. - Wolf powiedział to cicho, lecz w jego słowach kryła się groźba.

- Bezpieczeństwo tej damy to nie pańska sprawa - stwierdził zimno Stanegate.

Wolf podszedł jeszcze bliżej.

- Wręcz przeciwnie, milordzie, to moja sprawa, o czym się pan przekona, jeżeli przydarzy jej się coś złego, kiedy będzie pod pańską opieką.

Stanegate spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Grozi mi pan, panie Wolversley?

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi i w progu stanęła lady Stanegate. Uśmiechnęła się do Wolfa, a jemu od razu przypomniała się Rosalind.

- Witam, panie Wolversley - powiedziała, podając mu rękę.

Atmosfera w kantorku była przesycona wrogością, ale lady Stanegate zdawała się nie dostrzegać, że niespodziewany gość oraz jej mąż wyglądają jak dwa psy spuszczone

ze smyczy. Wolf spojrział na jej wyciągniętą rękę, niepewny, czy powinien ją ucałować, czy nią potrząsnąć, by w końcu wybrać to drugie. W jeszcze większe zakłopotanie wpędziło go pytanie, jakie padło z ust tej damy:

- Przyszedł pan odwiedzić Rosalind?

Zaprzeczenie byłoby nietaktem. Potwierdzenie czymś jeszcze gorszym, zważywszy na niechęć, jaką darzył go Stanegate. Oczywiście najlepiej byłoby powiedzieć prawdę. Jednak, jeśli lady Stanegate była już kiedyś celem zemsty Beshaleya, Wolf wolał nie wymieniać jego nazwiska w jej obecności. Chrząknął i odpowiedział:

- Przyszedłem, bo mam pewną sprawę do pani męża.

- Ach tak. Ale skoro już pan tu jest, na pewno zechce się pan zobaczyć z moją siostrą?

Była to prawda. Wolf niczego bardziej nie pragnął, jak ujrzeć Rosalind. Próbując oprzeć się pokusie, gorączkowo starał się przypomnieć sobie, dlaczego podjął taką decyzję, że on i Rosalind nie powinni się już nigdy więcej spotkać.

- Pan Wolversley właśnie wychodził - oznajmił sucho Stanegate.

- Och, jestem pewna, że znajdzie kilka minut, aby wypić herbatę z Rosalind - powiedziała jego żona.

- Lady Stanegate... - zaczął Wolf.

- Panie Wolversley, nalegam.

- Nell... - Lord Stanegate rzucił żonie ostrzegawcze spojrzenie.

Lady Stanegate popatrzyła mężowi przeciągle w oczy. W jej wzroku kryła się nie ma prośba oraz zapewnienie, że doskonale wie, co robi.

Stanegate skinął nieznacznie głową, po czym zwrócił się do Wolfa:

- Zechce pan wypić z nami herbatę, panie Wolversley.

- Bardzo proszę - dodała lady Stanegate.

Wolf nie mógł odmówić prośbie tej miłej damy bez względu na to, jaką miał opinię o jej mężu. Pomyślał też o Rosalind.

- Dziękuję - powiedział.

Tymczasem, kiedy posłano po Rosalind, okazało się, że zniknęła. Wolf zaczął nawet podejrzewać, że dowiedziała się już o jego wizycie i nie chce się z nim zobaczyć.

Przykre to, choć nie mógł mieć o to do niej pretensji. Potem jednak dowiedzieli się od pokojówki, że panna Wardale wyszła z domu jakiś czas temu, pytając o drogę do Spital-fields.

- Pojechała na grób mamy! - wykrzyknęła zaniepokojona lady Stanegate,

- Nell, przepraszam cię - odezwał się Stanegate. - Twoja siostra przyszła do mnie rano i pytała o jej grób. Nie miałem pojęcia, że chce się tam wybrać już dziś, i to sama.

- Ale chyba nic jej tam nie grozi? - W słowach lady Stanegate kryło się więcej nadziei niż przekonania. - Chyba w pobliżu nie ma już nikogo, kto chciałby ją skrzywdzić?

Wolf i Stanegate starli się wzrokiem, aż w końcu wicehrabia odwrócił oczy i powiedział cicho do żony:

- Wygląda na to, że Stephano Beshaley próbuje dawnych sztuczek. Jest teraz w Londynie, Nell.

Lady Stanegate przeraziła się.

- Ale on nie może wiedzieć, gdzie jest obecnie Rosalind. Nie może jej skrzywdzić...

- Już wyrządził jej wielką krzywdę - odezwał się Wolf.

Z ust lady Stanegate wyrwał się cichy krzyk. Zbladła i zachwiała się na nogach. Stanegate rzucił się, by ją podtrzymać.

- Nie denerwuj się, najdroższa. Zaraz pošlę powóz do Christ Church.

- Nie ma potrzeby, Stanegate - odezwał się Wolf. - Ja tam pojedę.

- Posłuchaj no... - zaczął Stanegate, ale żona chwyciła go za rękę.

- Pozwól mu jechać, Marcusie. On nam ją odwiezie zdrową i całą.

Wolf już tego nie słyszał, bo wyszedł pośpiesznie. Jego kroki odbiły się echem od ścian w holu, a potem rozległ się huk zatraskiwanych frontowych drzwi.

- Jest coś, co powinieneś wiedzieć o Rosalind i panu Wolversleyu - powiedziała cicho lady Stanegate, spoglądając znacząco na męża.

## Rozdział osiemnasty

Minęło już pięć dni, odkąd Rosalind pożegnała się z Wolfem, a ona dopiero zaczęła oswajać się z myślą, że ich rozstanie było definitywne. W pierwszych dniach miała nadzieję, że po nią wróci, ale teraz już wiedziała, że nie.

Dorożka zatrzymała się przed kościołem Christ Church w Spitalfields. Rosalind dała stangretowi resztę pieniędzy, jakie jej jeszcze zostały, po czym wysiadła i popatrzyła na monumentalne białe kolumny przy frontowej ścianie świątyni. Był do duży, piękny kościół ze strzeliście zakończoną wieżą, wznoszącą się ku bezchmurnemu niebu.

Rosalind przeszła pod opustoszałą kolumnadą i skierowała się na cmentarz. Była zupełnie sama, wokół nie było żywego ducha, co dodawało jeszcze powagi temu miejscu wiecznego spoczynku.

Szła wyżwirowaną ścieżką prowadzącą między okazałymi grobowcami i beziemiennymi grobami biedaków, czytając napisy na każdym nagrobku. Nogi same ją niosły. Wreszcie znalazła ten, którego szukała: niewielki marmurowy nagrobek z wygrawerowanym epitafium. Wyrte w białym marmurze czarne litery tworzyły prosty napis:

*Catherine Wardale*

*Ukochana Matka*

*Zmarła 12 stycznia 1810 roku*

*w wieku lat 47*

Tylko tyle - i nic więcej.

Zatrzymała się przy grobie i długo stała z pochyloną głową, zatopiona we wspomnieniach i modlitwie, aż wreszcie pogodziła się ze śmiercią matki i spokój spłynął w jej serce.

W pewnej chwili usłyszała za sobą ciche kroki i już wiedziała, że nie jest sama. O dziwo, choć przez tyle lat ukrywała się, uciekała i żyła w strachu, tym razem się nie bała. Przemknęło jej przez myśl, że to Evedon po nią przyszedł, mimo wszystko, odwróciła się więc, aby stawić mu czoło.

Jakiś mężczyzna stał w pewnej odległości od niej, ubrany na czarno. Miał na sobie doskonale uszyty czarny surdut, czarne spodnie i czarne buty do konnej jazdy, czarną kamizelkę i misternie upięty fular, jakby byli na najelegantszym przyjęciu, oraz koszulę tak nieskazitelnie białą, jakby mu ją dostarczono tego ranka. Miał też złoty kolczyk w jednym uchu. Nie był to Evedon, ale ów smagły, egzotyczny nieznajomy. Człowiek, o którym Wolf mówił, że nazywa się Stephano Beshaley, i który zadał sobie tyle trudu, aby ją zniszczyć.

- Dzień dobry, panno Wardale - odezwał się tonem dość aroganckim, z lekkim cudzoziemskim akcentem.

- To pan! - wyszeptała.

Po raz pierwszy miała okazję przyjrzeć mu się z bliska. Cerę miał oliwkową, kruczoczarne włosy i oczy czarne jak węgle, osadzone w niezaprzeczalnie urodziwej twarzy. Jego gibkie ciało, zwinne, acz niespieszne ruchy i czujne spojrzenie upodabniały go do wielkiego czarnego kocura. W garści ścisnął czarne skórzane rękawiczki i uderzał nimi niedbale o udo.

- Do pani usług, lady Rosalind. - Skłonił się szyderczo i posłał jej uśmiech kompletnie pozbawiony życzliwości, a mimo to tak przykuwający, że nie mogła oderwać od niego wzroku. - Nareszcie się spotkaliśmy. - Podniósł jej dłoń do ust.

Poczuła ich ciepły dotyk na grzbiecie dłoni, jego oddech muskał pieszczotliwie jej skórę. Czarne oczy spotkały się z jej oczyma. Było w nich coś przerażającego, a zarazem fascynującego.

- Nie boi się pani? - zapytał.

- Nie - odparła i uświadomiła sobie, że to prawda.

Tym razem jego uśmiech był mroczny i tajemniczy.

Rosalind przeszedł dziwny dreszcz - od głębi trzewi aż po czubki piersi.

- Czemu mi pan to robi? - zapytała spokojnym, niemal nonszalanckim tonem.

- Czy siostra pani nie powiedziała?

- Nell? - Nagle wszystkie te zagadkowe aluzje do „bezpieczeństwa”, jakie słyszała z ust Nell i Marcusa, zaczęły mieć sens. - A więc ją także próbował pan zniszczyć! - Po-



patrzyła na niego z nieukrywanym przerażeniem i w jej głowie zrodziła się straszna myśl. - I Nathana też?

- I Nathana też - potwierdził z leniwym uśmiechem. - Za dużo tajemnic jest w tej rodzinie. Za dużo wstydu, aby można go było ukryć - dorzucił, a ona odniosła wrażenie, że nie tylko jej rodzinę miał na myśli.

Nagle wzdrygnął się i przycisnął palce do czoła, jakby mu z bólu pękała głowa.

- Dobry Boże - wyszeptała Rosalind.

- Bóg pani nie pomoże - powiedział Beshaley. - Mnie w każdym razie nie pomógł, bez względu na moje żarliwe modły.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. W ciszy, jaka zapadła, usłyszała melodyjne tryle kosa, a gdy spojrzała w stronę pączkujących krzewów, skąd dobiegał ten ptasi śpiew, coś czarnego mignęło między gałęziami. Gdy znów przeniosła wzrok na Beshaleya, zobaczyła w jego ręku wycelowany w nią srebrny pistolet.

- Chce mnie pan zabić? - To dziwne, ale nie poczuła ani paniki, ani strachu. Co więcej, zauważyła nawet misterny wzór na lufie oraz elegancką kolbę z kości słoniowej.

Nagle zachciało jej się śmiać.

- Nie - odparł. - Chcę tylko dokończyć to, co zacząłem. Jeżeli Evedon odda panią pod sąd, uniemożliwi to pani szybki powrót do łask, dzięki pani arystokratycznym koneksjom. Jedziemy do Evedon House. - Chwycił ją jedną ręką za łokieć, w drugiej nadal trzymał pistolet. - Mój powóz czeka tu niedaleko.

Omiotła wzrokiem cmentarz, szukając jakiegoś wyjścia z tej sytuacji, ale go nie znalazła.

Ciemny, nieoznakowany powóz czekał na poboczu drogi. Kiedy byli już blisko, postanowiła zaryzykować ucieczkę, ale Beshaley musiał odgadnąć jej intencje, bo poczuła pod żebrem lekki nacisk lufy.

Nie miała zatem wyboru. Pozostało jej tylko wspiąć się po schodkach, podstawionych przez służącego, i wsiąść do powozu. Jego wnętrze, w porównaniu z panującą na zewnątrz słoneczną pogodą, wydało jej się wyjątkowo ponure i mroczne. Tym bardziej że większość czarnych aksamitnych zasłon zaciągnięto, aby odciąć dostęp światła dziennego.

Beshaley zajął miejsce naprzeciw niej, drzwi zatrzasnęły się i powóz ruszył gładko z miejsca.

- Nie uważa pan, że skoro mnie pan zawozi do Evedona, jest mi przynajmniej winien wyjaśnienie, dlaczego wziął się pan tak na mnie i na moją rodzinę? Czemu chce nas pan skrzywdzić?

- Krzywda za krzywdę - odparł ponuro, po czym umilkł ze wzrokiem wbitym w podłogę. Myślała, że już się niczego więcej nie dowie, ale wtedy właśnie podniósł na nią oczy i wychylając się ku niej, zapytał: - Wiesz chociaż, kim jestem?

- Wolf powiedział mi, że handluje pan biżuterią i drogimi kamieniami, panie Beshaley.

- Ach, Wolversley - westchnął Beshaley. - Ten łowca złodziei, który ocalił skórę mojej małej złodziejce. - W mrocznym wnętrzu zaślnęły jego czarne oczy i rozległ się cichy śmiech, od którego Rosalind przeszedł dreszcz.

- Nie znam pana, panie Beshaley. I nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi.

- O grzechy ojców, za które muszą zapłacić ich dzieci - odparł głosem, w którym dało się wyczuć znużenie.

- Ale mój ojciec nie żyje.

- Został powieszony - potwierdził, a jej przypomniała się czarna pętla, zwisająca pomiędzy palcami Evedona, a później także Wolfa. - Za morderstwo - dodał.

- Tak przynajmniej mówili. - Patrzyła na niego z uwagą, niepewna, ku czemu zmierzał.

- A kogo zabił, Rosalind? Kto był jego ofiarą?

Potrząsnęła energicznie głową, jakby chciała wszystkiemu zaprzeczyć.

- Wiesz, kto to był? - powtórzył.

- Jakiś człowiek nazwiskiem Framlingham.

- Lord Framlingham. Albo, jak wolisz, Christopher Hebden - powiedział Beshaley.

- Czyli mój ojciec.

Wlepiła w niego oczy, serce zaczęło jej łomotać jak oszalałe.

- Przecież pan się nazywa Beshaley.

- Beshaley to nazwisko mojej matki. Była Cyganką i kochanką mojego ojca. Urodziłem się jako Stephen Hebden i przez pierwszych siedem lat mego życia wychowywałem się w domu rodzinnym Hebdenów.

Rosalind słuchała go, oszołomiona. Nie wierzyła własnym uszom.

- Twój ojciec zamordował mojego ojca, doprowadzając tym samym do śmierci moją matkę, a mnie rujnując przyszłość - ciągnął Beshaley. - Rodzina Hebdenów wyrzekła się mnie i oddała do przytułku dla podrzutków. Stamtąd trafiłem na ulicę, gdzie w końcu odnaleźli mnie ziomkowie mojej matki i zabrali do siebie.

- Tak mi przykro.

- Czyżby? - Spojrzał jej przenikliwie w oczy, a ją znów przeszedł dreszcz.

- Oczywiście, że tak - powiedziała. - Był pan wtedy dzieckiem, podobnie jak ja. Żadne z nas nie zasłużyło na swój los.

- Teraz już za późno. Co ma się stać, to już się nie odstanie. Klątwa dosięgnie tych wszystkich, którzy maczali w tym palce - Hebdenów i Carlowów, ale przede wszystkim Wardale'ów, bo to twój ojciec popełnił zbrodnię. Nie uciekniesz przed tym, co jest ci pisane: skandal ma zniszczyć twoją reputację. Dlatego nie mogę pozwolić, aby Wolf pokrzyżował mi szyki.

- Już i tak jestem skończona. I to pańskie dzieło. Po co panu był jeszcze ten artykuł w gazecie? A to, teraz? Po co to wszystko? Już sama kradzież wystarczyła, aby mnie doszczętnie pograżyć, jeżeli o to panu chodziło.

- Niestety, moja słodka - westchnął. - Jak się okazało, nie wystarczyła, bo Evedon postanowił zatuszować sprawę. Musiałem go, że się tak wyrażę, przycisnąć, za pomocą tego artykułu. A jeśli pytasz o to, teraz - rzecz w tym, że Stanegate ma rozliczne koneksje. Posiedzisz sobie rok na wsi, dopóki skandal nie ucichnie, a potem, jakby nigdy nic, wrócisz do Londynu.

- Przecież pan wie, że tak nie będzie - powiedziała.

- Ależ będzie, jeżeli Wolf postawi na swoim.

- Więc mnie pan zabije? - zapytała, nie wierząc, że chce ją naprawdę zawieźć do Evedona.

Kiedy siedziała z nim tak twarzą w twarz w ciemnym powozie, nie czuła paniki, raczej dziwny spokój.

- To w twoich żyłach płynie krew mordercy, a nie w moich, Rosalind. - Imię jej wymówił tonem wręcz pieszczotliwym i nagle, ku jej zdumieniu, zmysłowym gestem obwiódł jej policzek.

Cofnęła się jak oparzona.

- Co wobec tego zamierza pan ze mną zrobić?

Jego oczy prześlizgnęły się po niej tak sugestywnie, że pod ich spojrzeniem poczuła się naga i oblała się zarem.

- A co byś chciała?

Poczerwieniała jeszcze bardziej.

- Niech mnie pan puści wolno, bardzo proszę.

Jego drapieżny uśmiech upodobił go nagle do Wolfa.

- Jesteś bardzo przekonująca, Rosalind - westchnął ponownie - ale obawiam się, że muszę zrobić to, co jest mi pisane, i wydać cię w ręce Evedona. A potem pozostanie mi jeszcze ta drobna sprawa z panem Wolversleyem, bo mi narobił kłopotów. - Oczy błysnęły mu drapieżnie. W półmroku jego twarz wydawała się równie zacięta jak twarz Wolfa.

Serce zamarło jej na moment, by znów ruszyć w oszalałym tempie.

- Przecież pan nie ma żadnych zatargów z Wolfem.

- Tylko ten jeden, o ciebie.

- Nie, błagam pana, niech mu pan nie robi krzywdy!

Beshaleyowi twarz nagle się zmieniła. Rosalind zobaczyła na niej zdumienie.

- Tobie na nim zależy! - powiedział, jakby dokonał wielkiego odkrycia.

Spojrzała mu prosto w oczy, bez lęku i bez wstydu.

- Ja go kocham.

- Zapomniałaś, że to człowiek, który cię schwytał? Bękart, odtracony przez całe lepsze towarzystwo... - Głos mu zamarł, ale Rosalind wydawało się, że usłyszała cichy szept: - Tak samo jak ja.

- Może i bękart - zgodziła się - ale nie znam lepszego człowieka. Cały świat może go sobie odtrącić - dla mnie to bez różnicy.

- A więc Kempster miał rację: Wolf sypiał z tobą.

Uniosła głowę.

- Nie wstydzę się tego, że go Kocham. I pojedę z panem do Evedona, ale pod warunkiem, że zostawi pan Wolfa w spokoju.

- Pojedziesz ze mną tak czy siak.

- Lecz mogę to panu w znacznym stopniu utrudnić, panie Beshaley.

Roześmiał się i wyjął pistolet z kieszeni.

- Wydaje mi się, że nie, panno Wardale.

- To się panu źle wydaje. - Spojrzała na niego i strach powrócił.

Nie bała się jednak o siebie, tylko o Wolfa. Kto wie, co Beshaley mógłby mu zrobić? Przecież bez względu na to, jak silny, szybki i sprawny był Wolf, on i Beshaley byli do siebie zbyt podobni: obaj byli nieobliczalni. W odruchu desperacji wyciągnęła rękę i zacisnęła palce wokół wylotu lufy. Beshaley pokiwał głową.

- No, no, chyba rzeczywiście musisz mieć pewną słabość do tego łowcy złodziei.

Nie odpowiedziała, patrzyła tylko na niego z determinacją, jakiej nigdy dotąd nie odczuwała, i nadal trzymała rękę na pistolecie.

- Przecież to bękart, człowiek z ulicy, który przebijał się przez życie o własnych siłach. Wyrzutek, odtrącony przez wyższe sfery.

- Wszystko to prawda, a jednak ci wszyscy, którzy go potępiają, nie dorastają mu do pięt. To dobry człowiek, panie Beshaley. Naprawdę nie znam lepszego.

- Niech pani nie popełni błędu, panno Wardale. Jeżeli wystrzelę z tego pistoletu, umrze pani, bo ręką nie zatrzyma pani kuli. Czy pani to rozumie?

- Doskonale rozumiem.

- A jeżeli powiem, że nie będę zgłaszał żadnych pretensji do Wolfa, pojedzie pani ze mną dobrowolnie do Evedona?

- Jeżeli poręczy pan słowem za bezpieczeństwo Wolfa - powiedziała.

- Naprawdę chce pani mieć moje słowo? - Beshaley uniósł z niedowierzaniem brwi.

- Tak, musi mi pan dać słowo - potwierdziła z naciskiem.

- Więc oddałabyś się dobrowolnie w ręce Evedona, Rosalind? Zaryzykowałabyś kulę? A wszystko dla tego twojego Wolfa?

- Tak.

Beshaley popatrzył na nią i twarz jakby mu złagodniała. Zabezpieczył pistolet i schował go do kieszeni, po czym zastukał laską w sufit i powóz się zatrzymał. Odsunął potem na moment zasłonę i opuściwszy szybę, krzyknął coś do stangreta. Pojazd znowu ruszył, ale Beshaley już się do niej nie odezwał. Siedział zapatrzony w mrok, jakby jej w ogóle nie dostrzegał. Sprawiał wrażenie tak smutnego i zmęczonego, że Rosalind poczuła nawet coś w rodzaju współczucia.

W końcu ekwipaż zatrzymał się. Stangret otworzył drzwi i Rosalind zobaczyła schody, które nie przypominały jednak tych do rezydencji Evedona. Podniosła głowę, wzrok jej padł na frontową fasadę domu przy Bruton Street i serce jej szybciej zabiło.

Wnętrze powozu zalało jaskrawe światło, wydobywając z mroku posępną twarz Beshaleya.

- Pani rola w tej grze jest już skończona. Los bywa nieubłagany i prowadzi nas ścieżką, której sami nigdy byśmy nie wybrali - a wszystko w imię zemsty.

Zemsta. To ona legła u źródeł wszelkich jego poczynań. Tak samo zresztą było z Wolfem.

Ulica tonęła w blasku słońca.

Beshaley dał jej znak, żeby wysiadła. Frontowe drzwi domu otworzyły się i wyszedł z nich Wolf. Serce na moment jej zamarło. Już miała wysiąść, ale zawahała się i obejrzała na Beshaleya, wietrząc jakiś podstęp.

- Idź, Rosalind! Możesz mi wierzyć albo nie, ale wołałbym, żebyś nie była córką Williama Wardale'a. - Uśmiechnął się, choć jego ciemne oczy znów były pełne bólu. - Wracaj do tego twojego łowcy złodziei - powiedział na pożegnanie.

Wolf tymczasem zbiegał już po schodach w jej stronę. Gdy wyszła na zalaną słońcem ulicę, rzuciła się ku niemu i sama nie wiedząc kiedy, znalazła się w jego ramionach.

Popchnął ją za siebie, wyciągnął pistolet i wycelował w stronę otwartych drzwi powozu. Odgadując jego intencje, złapała go za dłoń trzymającą broń.

- Nie, Wolf! Pozwól mu odjechać! Proszę! On mi nic nie zrobił.

Drzwi powozu zatrzasnęły się, smagła ręka odsunęła czarną zasłonę. Stephano Beshaley spojrział wprost na Wolfa i zasalutował, jakby byli dawnymi towarzyszami broni, a potem odjechał, zostawiając Rosalind i Wolfa na schodach przy Bruton Street.

Wolf zabezpieczył pistolet i schował go do kieszeni, po czym odwrócił się do Rosalind i wziął ją w ramiona.

- Dzięki Bogu, jesteś bezpieczna - powiedział, miażdżąc ją w uścisku. - Dzięki Bogu - powtórzył, ukrywając twarz w jej włosach. - Myślałem, że on... - słowa jego były niewiele głośniejsze od szeptu - myślałem... - i znów nie był w stanie tego wymówić.

- Wszystko w porządku, Wolf. Jestem zdrowa i cała.

Cofnął się i spojrział jej w oczy.

- Nie wyrządził ci krzywdy?

- Nie. Chciał mnie zawieźć do Evedona.

- A jednak przywiózł cię tutaj, do twojej siostry.

- On mnie przywiózł do ciebie, Wolf.

W oczach Wolfa błysnął niepokój.

- Co on znowu knuje, Rosalind? Przecież to nieślubny syn Framlinghama!

- Wiem, kim on jest.

- To człowiek opętany żądzą zemsty.

Potrząsnęła głową i wzięła go za rękę.

- On się uważa za ramię sprawiedliwości, wymierzające karę za dawne krzywdy. My wszyscy pokutujemy za grzechy naszych ojców, Wolf, choć przecież nie ma w tym naszej winy. - Uśmiechnęła się gorzko.

- Bardzo cię przepraszam, Rosalind.

Lekki wietrzyk burzył mu włosy, które w blasku słońca wydawały się złote. Na jego przystojnej, męskiej twarzy malowało się wzburzenie.

- Za co mnie przepraszasz? - spytała. - Za uratowanie mi życia? Czy może za to, że zламаłeś mi serce?

Wolf zachnął się tylko na te słowa.

- Gdyby to twój ojciec był mordercą, kochałabym cię równie mocno. Za grzechy ojców nie odpowiadają przecież synowie... czy córki.

- Rosalind... - Wolf spojrział jej w oczy. - Czy ty myślałaś, że pozwoliłem ci odejść z powodu tego, co zrobił twój ojciec?

- A z jakiego innego powodu?

- Ty wychowałaś się jako hrabianka, a ja jako bękart ulicznej dziewczki.

- I twoim zdaniem mamy za to pokutować do końca życia? Cokolwiek by mówić, ty i Beshaley aż tak bardzo się od siebie nie różnicie.

Wolf zacisnął zęby. Słowa Rosalind były dla niego szokiem i ubodły go do żywego, ale prawda zaczęła wreszcie do niego docierać. Patrzył na dziewczynę z takim napięciem, jakby chciał jej zajrzeć w głąb duszy.

- Czy wyszłabyś za skończonego głupca? - zapytał.

Bez mrugnięcia wytrzymała jego spojrzenie.

- Może i tak, gdyby mnie poprosił.

- No to wyjdź za mnie, Rosalind.

- Czy tym razem także zamierzasz zmienić zdanie?

- Nigdy w życiu!

- Wobec tego wyjdę za ciebie, Wolf.

Roześmiał się, porwał ją w ramiona i zaczął całować z takim zapamiętaniem, że nie mogła już wątpić w jego miłość.

- Wejdźmy lepiej do domu. Trzeba powiedzieć Nell i Marcusowi...

Wolf uśmiechnął się, wskazując wzrokiem na dom.

- Myślę, że już wiedzą...

Rosalind popatrzyła w ślad za jego spojrzeniem: Nell z Marcusem stali w oknie gabinetu. Nell uśmiechała się promiennie, za to Marcus był wyraźnie zaszokowany.

Wolf roześmiał się i znowu pocałował Rosalind.

- To dla równego rachunku, żeby zrozumieli, że konieczny jest przyspieszony ślub.

Rosalind i Wolf powiedzieli sobie „tak” pięć dni później, podczas cichej ceremonii w domu Wolfa. Lista gości była krótka: Nell z Marcusem i małym Williamem, Struan Campbell i - jako prezent ślubny dla Rosalind od Wolfa - brat Nathan z żoną Dianą. Tak



więc rodzina nareszcie się połączyła, a Rosalind już na zawsze odnalazła szczęście. Łzy radości popłynęły jej po policzkach, kiedy Wolf wsunął jej na palec złotą obrączkę. Serce jej wezbrało miłością do tego mężczyzny, który od tej chwili był już jej mężem.

Później, kiedy goście się rozeszli i nowożeńcy zostali sami w przytulnym pokoiku Wolfa, Wolf usiadł w fotelu przy kominku i posadził sobie Rosalind na kolanach. Postanowiła wtedy zadać mu ostatnie, drobne pytanie, które nie dawało jej spokoju:

- Zastanawiałam się, Wolf... - zaczęła.

- Mhmm? - mruknął, całując loczki na jej karku.

- Chodzi o Evedona.

Wolf oderwał na chwilę usta od jej włosów.

- Evedon już nigdy nie będzie nas niepokoić. Masz na to moje słowo. Nie zaprzataj sobie nim głowy.

- Ale skąd ta pewność? - Odwróciła się do niego przodem. - Przecież on ma list, więc może zrobić, co tylko zechce, a my nie będziemy go mogli powstrzymać.

Wolf potrząsnął głową.

- Moja słodka Rosalind - wyszeptał, głaszcząc ją po policzku. - Jest coś, czego ci nie mówiłem, choć pewnie powinienem, i to zanim poprosiłem cię o rękę.

Poczuł, jak zamarła w jego objęciach, niepewna, co jeszcze usłyszy.

- Evedon dotrzyma słowa, bo... - zawahał się - bo jest moim przyrodnim bratem - dokończył.

- Twoim bratem?! - Rosalind spojrzała na niego osłupiała. - Jak to możliwe?

- List, który zabrałaś Evedonowi, zawiera informację, że jego prawdziwym ojcem jest Robert Veryan, wicehrabia Keddington. Keddington przyprawił rogi staremu lordowi Evedonowi i zrobił dziecko jego żonie. Ten sam Keddington uwiódł i doprowadził do zguby moją matkę.

Rosalind potrząsnęła głową.

- Keddington jest twoim ojcem?

- Niestety, tak - odparł Wolf i nagle uświadomił sobie, że po raz pierwszy w życiu na myśl o nim nie zalała go fala nienawiści, wstydu i goryczy. Gorąca miłość do Rosalind sprawiła, że uczucia te, w porównaniu z nią, stały się błahe i pozbawione sensu. Co

więcej, ta sama miłość pomogła mu uwolnić się od brzemienia przeszłości. - W tej sytuacji Evedon nie będzie chciał pchać kija w to gniazdo szerszeni - dodał.

- Masz rację - przytaknęła z powagą. - Wolf...

Tym razem on zamarł, czekając na jej słowa.

- Mimo to cię kocham - powiedziała z uśmiechem, po czym cmoknęła go w usta.

- I ja ciebie, moja miła, i ja ciebie.

Nell i Marcus siedzieli na sofie w saloniku swego domu przy Bruton Street, wtuleni w siebie.

- Tak się cieszę, że Rosalind i Wolf są nareszcie szczęśliwi. On ją tak bardzo kocha.

- To prawda. - Marcus objął Nell ramieniem. - Z początku nie wiedziałem, do czego zmierza. Zwłaszcza że na pierwszy rzut oka wydał mi się... - Urwał, szukając stosownego słowa.

- Niebezpieczny, w jakiś podniecający sposób - podsunęła mu żona.

- Nie to chciałem powiedzieć, ale owszem, on ma w sobie coś z groźnego wilka. - Uśmiechnął się do Nell. - Myślę jednak, że będzie bardzo dbał o Rosalind.

Siedzieli przez dłuższą chwilę w milczeniu, po czym Nell powiedziała:

- Cieszę się, że ta sprawa z Beshaleyem nareszcie dobiegła końca. Przynajmniej Hal nie musi się już go obawiać i jest bezpieczny w Brukseli.

- Tak, bardzo bezpieczny, walcząc z Francuzami - rzekł sarkastycznym tonem Marcus.

- Och, wiesz przecież, co mam na myśli. Beshaley już go tam nie dosięgnie. - Uśmiechnęła się. - Zanim się dowiedziałam o Wolfie, myślałam, że uda mi się skojarzyć Rosalind z Halem.

- Wiesz co? Robisz się równie okropna jak mama, która desperuje, że Hal jeszcze się nie ustatkował z jakąś miłą dziewczyną. A ja nie mam odwagi jej powiedzieć, że to ostatnia rzecz, na jakiej Halowi zależy.

- Biedny Hal - mruknęła Nell. - Ale przynajmniej nie muszę się już martwić o Rosalind.

- Bogu niech będą za to dzięki! - powiedział Marcus.

Nell uniosła kieliszek z lemoniadą i stuknęła nim o szklaneczkę brandy, z której popijał jej mąż.

- Za Rosalind i Wolfa! Oby byli równie szczęśliwi jak my.

- Za Rosalind i Wolfa!



TLR